POLSKA–NIEMCY
Coraz dalsi sąsiedzi: nowy bilans sił

KTO JAK NIE KSIĄDZ
Kościołowi nie szkodzi brak powołań

STANY PODZIELONE
Amerykański sen i inne koszmary

SZCZURY
One mają tylko nas

DUSZA SEKSU
Jak się kochać długo i szczęśliwie

Kraków 21 sierpnia 2022 nr 34 (3815) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

ANNA GACEK
Moje przeboje

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

WYDANIE SPECJALNE

Kraków 17 sierpnia 2022 nr 2-3 (22-23)
cena 28 zł (w tym 8% VAT)

ciało się udało

UPRAWIA SPORT I JE, PRZEŻYWA ROZKOSZ I PRACUJE, MENSTRUUJE I RODZI, ŚNI I MEDYTUJE, JEST ROZBIERANE I UBIERANE, STARZEJE SIĘ, UMIERA I MARZY O NIEŚMIERTELNOŚCI...

bella ciało!

OD DZIŚ!

-> W NAJLEPSZYCH MIEJSCACH Z PRASĄ

ZAMÓW!

Z GRATISOWĄ DOSTAWĄ
W SPRZEDAŻY WYSYŁKOWEJ
-> NAPISZ NA
ZAMOWIENIA@TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

CZYTAJCIE O ASANACH I ORGAZMACH, ANATOMII I SILE DOTYKU, CIAŁOPOZYTYWNOŚCI I ŻYCIU Z NIEPEŁNOSPRAWNOŚCIAMI.

ODKRYJCIE FENOMEN LUDZKIEJ CIELESNOŚCI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // ILUSTRACJA: JOANNA RUSINEK

20 Prawo dla zwycięzcy
STEFAN SĘKOWSKI
Spór o praworządność został przez polityków sprowadzony do kłótni o pieniądze i suwerenność. Ta fałszywa perspektywa będzie miała konsekwencje dla każdego obywatela Polski.

58 Na cyfrowej kozetce
JĘDRZEJ GRODNIEWICZ
Z powodu niedoboru specjalistów i obaw przed stygmatyzacją większość osób zmagających się z chorobami psychicznymi pozostaje bez profesjonalnej opieki. Czy pomoże im sztuczna inteligencja?

64 Moja lista przebojów
ROZMOWA Z ANNĄ GACEK, DZIENNIKARKĄ MUZYCZNĄ:
Gdy ze sceny dobiega świetny utwór, mam poczucie, że wszyscy jesteśmy dzieciakami, które skaczą i wrzeszczą. Jesteśmy wolni.

27 Nasi najbliżsi
ADAM ROBIŃSKI
Z uwagi na fizjologiczne i genetyczne podobieństwo do człowieka wykorzystywany jest w pracach laboratoryjnych dla dobra ludzkości. Ale jako niepoliczalny, mnogi, to wciąż budzący lęk najeźdźca.

32 Boski antyklerykalizm
PIOTR SIKORA
Tam, gdzie świeccy biorą odpowiedzialność za wspólnotę, Kościół staje się miejscem, w którym doświadczyć można zdrowych, wspierających relacji i rozwijać otrzymane od Boga talenty.

78 Cały ten seks
ROZMOWA Z MARTĄ NIEDŹWIECKĄ, PSYCHOLOŻKĄ:
Ciało jest drogą do samopoznania i poznania w ogóle. Można dzięki niemu dotknąć świata za zasłoną. Świętej przestrzeni.

ATTILA HUSEJNOW / ZUMA PRESS / FORUM // PIOTR DZIURMAN / REPORTER // PIERRE ADEN / ADOBE STOCK // JOANNA RUSINEK DLA „TP" // ALEKSANDRA MODRZEJEWSKA DLA „TP" // GRANT ROONEY / EAST NEWS

6 Wojna coraz bardziej pozycyjna
PAWEŁ PIENIĄŻEK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Prawo dla zwycięzcy
STEFAN SĘKOWSKI

24 W cieniu recesji
PIOTR WÓJCIK:
Tylko rynku pracy nikomu nie udało się jeszcze popsuć

27 Nasi najbliżsi
ADAM ROBIŃSKI

WIARA

32 Boski antyklerykalizm
PIOTR SIKORA

36 Jaki Kościół, taka wiara. I odwrotnie
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
o przyszłości parafii

38 Zakonnice mają myśleć podobnie
ROZMOWA Z IZABELĄ MOŚCICKĄ, BYŁĄ SIOSTRĄ ZAKONNĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ CENTRUM POMOCY DLA SIÓSTR ZAKONNYCH

ŚWIAT

42 Musimy iść, gdzieś nas zabierają
CHRISTINA LAMB:
Relacje o gwałtach dochodzą z wielu miejsc Ukrainy. To historie o bestialstwie. I odwadze kobiet

47 Strefa Gazy: pod ramię z wrogiem
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU:
Szanse na powrót do rozmów o pokoju pozostają płonne

TEMAT TYGODNIKA

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

12 Coraz dalsi sąsiedzi
ŁUKASZ GRAJEWSKI
W świecie rządzonym przez rozsądek wypadałoby właśnie dokonywać resetu w stosunkach polsko-niemieckich. Problem w tym, że politycy po obu stronach Odry kierują się partyjnymi interesami, a nie rozsądkiem.

FELIETONY

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
63 TOMASZ STAWISZYŃSKI
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ANNA GACEK, SIERPIEŃ 2022 R.
FOTOGRAFIA:
ALEKSANDRA MODRZEJEWSKA DLA „TP"

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

49 Czemu w Ameryce nie ma miejsca na słabość
ROZMOWA Z NICHOLASEM D. KRISTOFEM, DZIENNIKARZEM I PISARZEM

52 Na pewno nas zapomnieli
MAREK RABIJ:
W położeniu Rohingów od 5 lat nie zmieniło się nic

HISTORIA

54 Dwie siostry
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Rozdzieliła je II wojna światowa. Spotkały się po 63 latach

NAUKA

58 Na cyfrowej kozetce
JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

62 Co prowadzi do kary
KATARZYNA DZIADOWICZ
o złości i wyrównywaniu rachunków

KULTURA

64 Moja lista przebojów
ROZMOWA Z ANNĄ GACEK

68 Zawsze wchodzą
ŁUKASZ NAJDER:
Postanowiłem, że przeczytam raz jeszcze książki Siergieja Lebiediewa

71 Czuły obserwator
PIOTR KOSIEWSKI:
Witkacy był także krytykiem i polemistą kultury

74 Taniec na kraterze
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Wulkan miłości" Sary Dosy

ZMYSŁY

78 Cały ten seks
ROZMOWA Z MARTĄ NIEDŹWIECKĄ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Władze przekonywały Rosjan, że najlepsze wakacje są na Krymie. Tajemnicze wybuchy położyły kres tej legendzie – pisze
ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Strona świata
Somalijscy talibowie najechali Etiopię. To wzmocni ich pozycję w terrorystycznej międzynarodówce, Al-Kaidzie – relacjonuje
WOJCIECH JAGIELSKI | tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Serwisy specjalne: patrz szerzej
GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

WOJNA CORAZ BARDZIEJ POZYCYJNA

Z powodu braku ludzi i sprzętu ukraińska kontrofensywa na południu kraju wciąż nie może ruszyć na dobre. Nie powiedzie się bez większej pomocy z zagranicy.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Nad białymi drewnianymi domami i altanami unoszą się kłęby ciężkiego dymu. Jedni turyści nagrywają, inni uciekają. „Musimy jechać, to jakiś bałagan", „Nasz drewniany domek przed niczym nas nie uchroni" – słychać głosy zza kadru. Łącznie rozległo się od kilku do kilkunastu wybuchów, a na miejsce natychmiast wyjechały karetki. Do wydarzenia doszło 9 sierpnia w pobliżu bazy lotniczej Saki na okupowanym Krymie. To pierwszy taki incydent od początku ponownej rosyjskiej inwazji na Ukrainę 24 lutego.

Rosyjskie władze przyznały, że doszło do eksplozji, ale, jak twierdzą, nie do ataku. Pociski zdetonowało celowo wojsko, a stacjonujące tu samoloty nie ucierpiały. To nieprawda – na zdjęciach satelitarnych opublikowanych przez amerykańską firmę Planet Labs widać zniszczone przynajmniej osiem maszyn i infrastrukturę bazy. Strona ukraińska nie podała jednej wersji wydarzeń. Prezydent Wołodymyr Zełenski powiedział: „Ta wojna przeciwko Ukrainie i całej wolnej Europie rozpoczęła się od Krymu i na Krymie ma się zakończyć, tzn. jego wyzwole-

Kemping nad Morzem Czarnym w chwili wybuchu w bazie lotniczej Saki koło Sewastopola. Krym, 9 sierpnia 2022 r. (kadr z amatorskiego nagrania wideo)

niem". Ministerstwo Obrony w prześmiewczym poście na Facebooku napisało, że nie może ustalić przyczyn wybuchów, ale przypomina Rosjanom o zasadach bezpieczeństwa i niepaleniu w miejscach, które nie są do tego przeznaczone.

Trwają spekulacje na temat sposobu przeprowadzenia tego ataku – szczególnie że baza lotnicza Saki jest chroniona przez obronę przeciwlotniczą, w tym nowoczesne systemy S-400. W Kijowie popularnością cieszy się teza, że Amerykanie po cichu przekazali rakiety ATACMS do użytkowanych już przez armię ukraińską wyrzutni typu HIMARS i MLRS – Ukraina od dawna chce je dostać, ale do tej pory, przynajmniej oficjalnie, nie otrzymała pozytywnej odpowiedzi. Jedno ze źródeł „New York Timesa" mówiło o działaniach partyzantów na Krymie. Natomiast rosyjska redakcja BBC skłania się do tego, że do ataku wykorzystano tzw. drony kamikaze. Wcześniej, 31 lipca, właśnie taka maszyna uderzyła w siedzibę sztabu Floty Czarnomorskiej na półwyspie.

Niezależnie od tego, co naprawdę wydarzyło się w bazie lotniczej na Krymie, wybuchy wywołały falę radości wśród Ukraińców. Powód jest zrozumiały – po raz kolejny przyniosły nadzieję na zwycięstwo. I to w krytycznym momencie. Wojna rosyjsko-ukraińska weszła w trudną fazę. Fronty krzepną, a linie okopów rozciągają się na tysiące kilometrów. Spektakularne i przełomowe bitwy zastępuje „pełzająca" ofensywa. Z jednej strony dla Kijowa to dobrze. Według Pentagonu obecnie rosyjskie straty (ranni i zabici) sięgają ok. 500 żołnierzy dziennie, a łącznie od 24 lutego ich liczba mogła sięgnąć nawet 80 tys. W ostatnich tygodniach ofensywa w obwodzie donieckim przyniosła Kremlowi tylko nieznaczne sukcesy. Natomiast osiągnięcie celu minimum, czyli zajęcie tego terytorium we wschodniej Ukrainie, może nie udać się do końca roku.

Z drugiej strony coraz bardziej pozycyjna wojna jest ogromnym ciężarem dla Ukrainy. Oznacza brak możliwości odbudowy przyfrontowych miast, znaczące osłabienie gospodarki i wysokie bezrobocie. A także ciągłe mobilizacje i znaczące straty w ludziach. Ukraińska strona nie informuje o rannych i poległych żołnierzach; prezydent Zełenski wspomniał o 100-200 poległych dziennie. To wojna na wyniszczenie i coraz ważniejsze staje się pytanie, kto zachowa więcej sił. Bez wsparcia z zagranicy Ukrainie trudno będzie skutecznie walczyć, nie wspominając już o przejściu do kontrofensywy na południu, która, mimo zapowiedzi, z powodu braku ludzi i sprzętu wojskowego nie może ruszyć na dobre.

Rosja zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, dlatego będzie starała się przeciągać tę wojnę jak najdłużej, by podobnie jak po aneksji Krymu i początku wojnie w Donbasie w 2014 r. poczekać, aż Zachód straci zapał do wspierania Ukrainy i zajmie się swoimi sprawami. A gdy nadejdą zimowe chłody – będzie bardziej skłonny do ustępstw. ©

TWITTER

Czy życie powróci kiedyś do Odry

KRZYSZTOF STORY

Pierwsze obrazy szokowały: tysiące śniętych ryb, martwy bóbr, martwa rzeka. O katastrofie w Odrze wiemy coraz więcej. Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska we Wrocławiu złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, a Marek Gróbarczyk, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury, powiedział: „Jestem przekonany, że dojdziemy do tego, kto to zrobił, (...) i zostaną wyciągnięte najsroższe konsekwencje". Czyli maksymalnie pięć lat więzienia.

Nic nie naprawi krzywdy, której doznała Odra. Skażenie rzeki to jeden z najsmutniejszych pokazów tego, jak ograniczone są nasze kompetencje w naprawie szkód. Możemy wybierać z rzeki śnięte ryby, by za jakiś czas nie zbierać martwych ptaków. Możemy zmienić prawo, by wprowadzić ciągły monitoring stanu wody (obecnie są tylko badania okresowe, co ułatwia bezkarne wylewanie toksyn do wody). Możemy rzadziej zezwalać zakładom przemysłowym na zrzuty do rzek. Ale w obliczu już trwającej katastrofy jesteśmy bezradni.

Gdy dwa lata temu podobnie skrzywdzona została rzeka Barycz, zarządzono awaryjny zrzut wody ze zbiornika Stawno, by rozcieńczyć truciznę i uratować Stawy Milickie, największą hodowlę ryb w kraju. Mimo to Dolina Baryczy do dziś odczuwa skutki tamtej katastrofy.

Rozcieńczanie redukuje szkodliwy wpływ wszystkich zanieczyszczeń, a w przypadku niektórych to jedyna metoda. Ale tu mówimy o drugiej największej rzece w kraju. Do Odry trzeba by wtłoczyć hektolitry wody z wodociągów i zbiorników – mówi ekohydrolog dr Sebastian Szklarek, autor blogu „Świat Wody".

Szef Wód Polskich, Przemysław Daca, przyznał, że sytuację w Odrze pogorszyły: niski poziom wody i wysoka temperatura. „W takich warunkach wystarczy niewielka ilość ścieku lub szamba, aby doszło do katastrofy ekologicznej" – mówił. Wody Polskie szacują straty na kilkanaście milionów złotych.

Nie wiem, jaki jest dobry przelicznik życia na złotówki. Tylko do 3 sierpnia wędkarze i wolontariusze usunęli z Odry 8 ton martwych ryb. One są pierwszymi i najbardziej widocznymi, ale nie ostatnimi ofiarami. Katastrofa nie oszczędziła na pewno też wielu mikroorganizmów, na których opiera się ekosystem. Dokładną skalę pokażą badania, ale pewne jest, że Odra zubożeje na lata. Populacje ryb odbudowują się bardzo wolno, większość gatunków wyprowadza tylko jedno pokolenie na rok. Możemy to wesprzeć sztucznym zarybianiem (oby na koszt podatnika i państwa). Poza tym zostaje nam wyciągnięcie lekcji, lata opieki nad wracającą do życia rzeką i żal. Jak pisał na stronie „Tygodnika" Adam Robiński: „Obrazy, które dziś oglądamy – martwe ryby i ssaki – to nie płacz rzeki, ale jej agonia. Płakać powinniśmy my". ©℗

Tekst ukończono 12 sierpnia.

Wędkarze wyławiają martwe ryby z Odry. Cigacice, woj. lubuskie, 11 sierpnia 2022 r.

NEWSLUBUSKI / EAST NEWS

Nieudany gambit premiera

MAREK KĘSKRAWIEC

Kiedy na początku czerwca Ursula von der Leyen występowała w Polsce na wspólnych konferencjach z Mateuszem Morawieckim, w gabinetach polityków PiS mógł wystrzelić niejeden korek od szampana. Minęło jednak dwa i pół miesiąca i widać, że Komisja Europejska nie dała się nabrać na piruety, które wykonywał premier w towarzystwie ministra Konrada Szymańskiego, usiłując wmówić Europie, że cokolwiek naprawiają w ustawach sądowych.

Gambit nie wyszedł i teraz ktoś musi za to zapłacić. Tak głośno dzielono już te miliardy, obiecując wielkie projekty cywilizacyjne, że teraz trudno będzie wmówić społeczeństwu, iż fundusze z KPO są bez znaczenia – zwłaszcza u progu kryzysu.

Pojawiły się plotki, że stanowisko może stracić premier. To jednak bardziej myślenie życzeniowe niż fakty. Dymisja byłaby klęską wizerunkową dla PiS-u, na dodatek bez żadnej gwarancji, że następca poradzi sobie lepiej. Szuflady z pomysłami mogącymi porwać elektorat są puste, a wymieniany w kontekście następcy Mariusz Błaszczak nie ma charyzmy, by oczarować Polaków. Bardziej prawdopodobne jest w tej chwili odwołanie Szymańskiego i podległych mu negocjatorów oraz zupełna zmiana strategii. Ośrodkiem decyzyjnym w sprawach UE nie będzie już kancelaria premiera, ale siedziba PiS. Kurs też się zmieni: słowem najczęściej wymienianym ma być weto, bo Jarosław Kaczyński uważa, że już tylko szantażem możemy wyrwać fundusze z KPO. To będzie jednak balans na linie – na taką politykę nie odważyły się nawet Węgry. ©℗

Przymus bezpośredni do zmiany

MA CHRONIĆ pacjentów, a bywa szkodliwy i dla nich, i dla lekarzy. Rzecznik praw obywatelskich napisał do ministra zdrowia, proponując zmiany w zasadach stosowania przymusu bezpośredniego w szpitalach psychiatrycznych. Chodzi przede wszystkim o izolację i nadużywanie unieruchomień, które powinny być stosowane tylko wtedy, gdy pacjent zagraża życiu lub zdrowiu swojemu bądź innych. Marcin Wiącek punktuje sytuacje, w których obowiązujące prawo bywa bezradne. Chodzi m.in. o brak jednoznacznego przepisu zobowiązującego placówki do stosowania unieruchomień tylko w jednoosobowych salach (wieloosobowe naruszają w tej sytuacji godność pacjenta), a także brak obligu używania monitoringu, mogącego skuteczniej wyłapywać pogorszenie stanu pacjenta.

W 2022 r. rzecznik praw pacjenta odnotował 70 skarg od osób twierdzących, że naruszono ich godność i intymność w szpitalu psychiatrycznym. RPP badał też z własnej inicjatywy zasadność stosowania przymusu bezpośredniego. Naruszenia stwierdzono w dziewiętnastu przypadkach.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

KRAJ W SKRÓCIE

KARMA WRACA

54 sekundy poświęciły „Wiadomości" TVP katastrofie ekologicznej w Odrze, podczas gdy w 2019 r., po awarii oczyszczalni ścieków w rządzonej przez polityka PO Warszawie, temat skażonej wody przez wiele dni nie opuszczał sprzyjających władzy mediów, a rządowe Centrum Bezpieczeństwa wysyłało na smartfony obywateli specjalne alerty.

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

PODRĘCZNIK PORUSZA

„Tylko chory i obłąkany z nienawiści umysł może dokonywać takich dopowiedzeń pomiędzy wierszami" – napisało na oficjalnym profilu w mediach społecznościowych Ministerstwo Edukacji i Nauki po tym, jak wyraźnie poruszony Donald Tusk odczytał w trakcie spotkania z wyborcami fragmenty podręcznika do historii i teraźniejszości, w których mowa o „hodowli" i „produkowaniu" dzieci z in vitro.

PANI PREZES MIESZA

Losowanie przez I prezes Sądu Najwyższego sędziów, spośród których prezydent wybierze członków nowej Izby Odpowiedzialności Zawodowej, nie obyło się bez problemów technicznych. „Może lepsze byłyby jajka z niespodzianką" – zastanawiała się głośno Małgorzata Manowska, kiedy trzeba było wymieniać plastikowe kulki, otwierające się podczas mieszania przez nią w wielkim szklanym naczyniu.

WŁODZIMIERZ WRÓBEL, SĘDZIA IZBY KARNEJ SN:

Gra pozorów

GRAŻYNA MAKARA

MAREK KĘSKRAWIEC: Panie Profesorze, co Pan zrobi, jeśli prezydent powoła Pana do Izby Odpowiedzialności Zawodowej i trafi Pan do składu orzekającego?

WŁODZIMIERZ WRÓBEL: Jeśli trafię do składu, w którym znajdzie się sędzia niewłaściwie powołany, to nie będziemy w stanie wydać orzeczenia, które miałoby szansę ostać się przed międzynarodowym trybunałem, gdyby zostało zaskarżone. Wyobraźmy sobie przypadek prokuratora, który spowodował wypadek po alkoholu. Jeśli zdejmiemy mu immunitet, to może dojść do sytuacji, w której decyzja izby zostanie uchylona i jeszcze trzeba będzie sprawcy wypłacić odszkodowanie. Na coś takiego nie umiem się zgodzić. Istnieją pewne ścieżki procesowe związane z oprotestowaniem własnej obecności w takim składzie, które będą zapewne przez sędziów uruchamiane.

A jeśli w składzie będą tylko „starzy" sędziowie, prawidłowo powołani?

Wtedy problem też nie zniknie, gdyż ostateczny skład całej izby wybiera prezydent, czyli polityk, który dla swej decyzji musi uzyskać kontrasygnatę premiera. To jest sprzeczne z trójpodziałem władzy.

Czym właściwie różni się stara izba od nowej?

Poprzednia była w zasadzie osobnym sądem, z własnym budżetem. To znika i co do zasady jest dobre. Kłopot w tym, że I prezes SN nie jest prawidłowo obsadzony, tylko jest nominatem rządzących. I druga różnica: poprzednią izbę powoływała KRS, którą obsadzili politycy. Teraz ten pośrednik znika i w jego miejsce od razu pojawia się polityk – prezydent, który może wybrać samych neosędziów do izby. To wszystko gra pozorów. ©℗

ARTURO HERNÁNDEZ / FUTURE PUBLISHING / GETTY IMAGE

ŚWIĘTO LUDÓW. O konieczności zwrócenia uwagi na różnorodność kultur i trudną sytuację mieszkańców różnych części globu ma przypominać Międzynarodowy Dzień Ludności Rdzennej na Świecie (9 sierpnia). Ustanowiony przez ONZ w 1994 r., miał być początkowo obchodzony do roku 2004. Szacuje się, że np. w samej Brazylii ludność rdzenna to około 850 tys. osób oraz ponad 200 grup etnicznych. Stanowi to zaledwie jedną trzecią liczby rdzennych mieszkańców zamieszkujących terytorium obecnej Brazylii pod koniec XVI w.
Na zdjęciu: przedstawiciele społeczności rdzennych ze stanu Meksyk podczas ceremonii dziękczynnej za deszcze i plony. Toluca, Meksyk, 10 sierpnia 2022 r. ©℗ JT

Agenci w domu byłego prezydenta

MARTA ZDZIEBORSKA

Donalda Trumpa można uznać za prekursora. Jest pierwszym amerykańskim przywódcą dwukrotnie poddanym procesowi impeachmentu, a od kilku dni jedynym byłym prezydentem, któremu FBI przeszukało dom. Zapracował na to – po zakończeniu kadencji zabrał z Białego Domu pudła z poufnymi dokumentami, a potem zwlekał z oddaniem ich do narodowych archiwów. Ostatecznie śledczy wystąpili o sądowy nakaz rewizji jego rezydencji w Mar-a-Lago na Florydzie. Przeszukanie Trump nazwał atakiem „motywowanym politycznie", a jego zwolennicy grozili w internecie wybuchem przemocy. Agenci FBI przeszukali dom Trumpa podejrzewając, że jest on nadal w posiadaniu tajnych dokumentów, w tym wrażliwych danych dotyczących broni jądrowej. Departament Sprawiedliwości zwrócił się już do sądu o upublicznienie nakazu rewizji oraz listy rzeczy zabranych z Mar-a-Lago.

Akcja FBI to kolejna odsłona prawno-medialnej burzy wokół byłego prezydenta. Departament Sprawiedliwości i komisja śledcza w Kongresie od miesięcy badają jego rolę w szturmie na Kapitol w styczniu 2021 r. Trwa również śledztwo w Georgii, gdzie Trump naciskał na gubernatora, by ten „doliczył się" na jego korzyść 11 tys. głosów. W stanie Nowy Jork prokurator generalna bada zaś, czy The Trump Organization odpowiada za nieprawidłowości przy wycenie nieruchomości (sztuczne zawyżanie ich cen, by dostać lepsze warunki pożyczek, i zaniżanie tych wartości w dokumentach podatkowych). Wezwany w minionym tygodniu na przesłuchanie Trump odmówił odpowiedzi na pytania śledczych. Powołał się na piątą poprawkę do konstytucji, która pozwala świadkowi odmawiać zeznań, jeśli mogą mu zaszkodzić.

Nawet jeśli polityk zostanie skazany za bezprawne przywłaszczenie dokumentów państwowych, to i tak będzie mógł ubiegać się o reelekcję. Konstytucja USA nie zabrania bowiem skazanym startu w wyborach, a jedyną drogą do uprzykrzenia Trumpowi życia byłaby długa batalia sądowa z finałem w Sądzie Najwyższym. Nie brakuje wręcz głosów, że akcja FBI pomoże Republikanom w mobilizacji elektoratu przed listopadowymi wyborami do Kongresu. ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

Tanie latanie już się skończyło

TO BYŁO WYCZEKIWANE LATO – po dwóch wakacjach z covidowymi ograniczeniami podróżni i linie lotnicze chcieli powrotu do częstego i taniego latania. Pod koniec sezonu urlopowego wiadomo jednak, że te życzenia spełniły się tylko połowicznie.

Wiele lotnisk, także w Polsce, notuje rekordy liczby odprawianych pasażerów, lecz w Europie ostatnie tygodnie upłynęły pod znakiem kryzysu. W największych portach lotniczych wydłużają się kolejki do odprawy (na podamsterdamskim Schiphol sięgały 6 godzin), linie odwołują loty (ok. 8 tysięcy skasowanych połączeń na całym kontynencie); strajkowali też piloci w Skandynawii, niemieccy pracownicy ochrony lotnisk w Niemczech i włoscy kontrolerzy lotów.

Przyczyn jest kilka, ale jedna podstawowa, dzielona zresztą z innymi branżami gospodarki: brak chętnych do pracy. Z powodu zmniejszonego popytu podczas pandemii wiele towarzystw lotniczych zwalniało pilotów i członków personelu pokładowego. Ponowne wyszkolenie załóg (przysposobienie do procedur stosowanych w danej firmie) trwa nawet 4 miesiące – niepewność co do rozwoju rynku spowodowała, że szkolenia rozpoczęły się z opóźnieniem.

Jeszcze gorzej jest z chętnymi do pracy na lotniskach. W Wielkiej Brytanii słychać coraz częstsze apele o wydawanie wiz pracowniczych wszystkim chętnym z Europy. Jak zauważa tygodnik „The Economist", paraliż na lotniskach może być zapowiedzią podobnych braków kadrowych np. w domach opieki, hotelach i innych miejscach, które bazują na niewykwalifikowanej sile roboczej. Rosnąca na całym kontynencie inflacja napędza żądania płacowe pracowników – a wiele firm twierdzi, że nie stać je na wyższe płace.

Optymistyczny zwykle Michael O'Leary, prezes największej w Europie linii Ryanair, za tegoroczny chaos wini głównie zarządzających portami lotniczymi – rozkłady lotów były znane z dużym wyprzedzeniem. I mówi, że skończyła się era najtańszych biletów – rosnące ceny energii oraz, w mniejszym stopniu, możliwa kolejna fala covidu sprawią, że średnia cena biletu na lot tą linią wzrośnie ze 187 do 234 zł. Powrotu do taniego latania sprzed pandemii już nie będzie.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Słowo przeciwko słowu

W WYWIADZIE dla „Newsweeka" były kleryk Andrzej Pogorzelski zarzucił biskupowi świdnickiemu Markowi Mendykowi (na zdjęciu) molestowanie seksualne. Wspominał, że w wieku ośmiu lat zachorował na świnkę, która przeszła w zapalenie opon mózgowych. Do leżącego w szpitalu chłopca rodzina wezwała księdza – był nim właśnie Mendyk – by udzielił namaszczenia. W takiej sytuacji miało dojść do molestowania.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Bp Mendyk opublikował oświadczenie, w którym stwierdził, że zarzut jest nieprawdziwy, zapowiedział kroki prawne i zażądał publicznych przeprosin. Murem za hierarchą stanęła Akcja Katolicka („mamy do czynienia z kolejnym personalnym atakiem na Jego osobę") i dziekani diecezjalni („stajemy solidarnie przy swoim Pasterzu"). Biskup w wywiadzie dla KAI ocenił, że „to wszystko się wpisuje w nagonkę na biskupów i na księży" i wskazał na niejasności w relacji Pogorzelskiego: w wymienionym szpitalu raczej nie było wówczas oddziału dziecięcego ani zakaźnego (a taką chorobą jest świnka). A jeśli chory leżał w izolatce, to nikogo by do niego nie dopuszczano.

Zaangażowany w pomoc ofiarom molestowania przez duchownych dziennikarz Tomasz Terlikowski przypomniał, że sytuacja „słowo przeciwko słowu" jest w takich przypadkach częsta i wezwał polski Kościół, by zgodnie z zaleceniami Stolicy Apostolskiej zadbał o prześwietlenie oskarżenia.

Kolejne oświadczenie bp Mendyk sformułował już w innym tonie: poinformował, że zwrócił się do metropolity wrocławskiego z prośbą o zbadanie sprawy.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MODLITWA

„Proszę, by powrócić do śpiewania Suplikacji" – zaapelował metropolita częstochowski abp Wacław Depo. W jej słowach „streszcza się wszystko, czego w tych niezwykłych czasach dane nam jest doświadczyć: »morowe powietrze« pandemii, głód, którego groźba staje dziś przed wieloma zakątkami świata, ogień pożogi, która trawi miejsca dotknięte katastrofalną suszą, wreszcie wojna, która toczy się tuż za naszą granicą".

CZUWANIE

„Czuwać to znaczy domagać się takich ustaw w naszym prawodawstwie, które strzegłyby praw ludzi wierzących, żeby nie były deptane i ośmieszane najświętsze dla nas sprawy, jak to się niestety dzisiaj dzieje, usprawiedliwiane przez kolejne wyroki sądów, które są wyrazem wielkiej niesprawiedliwości" – nauczał na Jasnej Górze metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski.

ŚWIADECTWO

„Kościół jako wspólnota przestaje być wiarygodnym świadkiem Chrystusowego pokoju, gdy przykłada rękę do podziałów, gdy promuje jednych, a innych wyklucza, gdy pociągają go trony, gdy zamyka uszy na wołanie o sprawiedliwość, gdy tworzy klimat stałego zagrożenia" – zauważył biskup pomocniczy krakowski Damian Muskus podczas nabożeństwa na Przeprośnej Górce pod Częstochową.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

Papież nie z tego świata

EDWARD AUGUSTYN

Watykańska dyplomacja w czasie wojny była tematem wywiadu, jaki kard. Pietro Parolin udzielił miesięcznikowi „Limes", zajmującemu się polityką międzynarodową. Papieski sekretarz stanu mówił o nieudanych i obecnie już nierealnych zabiegach mediacyjnych, o prawie strony napadniętej do obrony i otrzymania pomocy, także militarnej, o zawieszonym, ale nie przerwanym dialogu z Moskwą. Odrzucił zdecydowanie zarzuty o prorosyjskość papieża, zapewniając o jego jednoznacznym wsparciu dla ofiar.

Wydaje się, że pół roku od rosyjskiej agresji Stolica Apostolska przemawia wreszcie jednym głosem. Co jednak nie jest w stanie zatrzeć jej wizerunkowej porażki, do jakiej doprowadziły pierwsze, niejednoznaczne wypowiedzi Franciszka (uzasadniane wiarą w mediacyjną rolę Watykanu), przedwczesne i źle przyjęte zabiegi o pojednanie rosyjsko-ukraińskie (Droga Krzyżowa w Koloseum), zrównywanie ofiar po obu stronach konfliktu (kard. Parolin mówi o papieskiej wobec nich, „równobliskości"). Nie jest też w stanie ukryć kryzysu watykańskiej dyplomacji.

Jego przyczyną nie jest tylko Franciszek, choćby nieprzewidywalny i antyamerykański. W dużo większym stopniu jest nią wieloletnia polityka wschodnia Watykanu, której słabości wojna w Ukrainie obnażyła. Trudno z jednej strony mówić o wsparciu dla niepodległości i samostanowienia państw (choćby Ukrainy i Gruzji), a z drugiej wykazywać zrozumienie dla istnienia „stref wpływu" (do których odwołuje się Rosja); trudno jednocześnie zabiegać o pokój i krytykować sojusze, które ten pokój gwarantują. I jest nią – *last but not least* – sprzeczność najpoważniejsza, bo immanentna: trudno głosić Ewangelię – przesłanie miłości i pokoju – i przyznawać prawo do wojny, choćby obronnej. Bo trudno w realnym świecie realizować zasady „królestwa nie z tego świata". ©℗

Biskupi zatroszczą się o autokary

WYPADEK AUTOBUSU z polskimi pielgrzymami do Medziugorja nie pozostał bez reakcji episkopatu. Przewodniczący Rady KEP ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek bp Krzysztof Zadarko wyraził żal i solidarność w żałobie z bliskimi ofiar. Stwierdził, że potrzeba refleksji „nad stanem przestrzegania przez organizatorów pielgrzymek i wyjazdów turystycznych standardów bezpieczeństwa". Zapowiedział ogłoszenie jesienią br. „Wskazań dla duszpasterstwa pielgrzymów", w których znajdą się nie tylko zalecenia duszpasterskie, ale także szczegółowe zasady dotyczące bezpieczeństwa, np. sugestie, jakimi autokarami należy przewozić ludzi na długich trasach, zalecane zakresy ubezpieczeń, kwalifikacje i zadania opiekunów grup.

Z jednej strony to dobrze, że biskupi troszczą się o ruch pielgrzymkowy. Z drugiej konieczność formułowania przez nich odgórnych, a szczegółowych wskazań i regulacji, zwłaszcza dotyczących kwestii zupełnie świeckich (jak zasady bezpieczeństwa), pokazuje chaos i pomieszanie kompetencji we wspólnocie. ©℗ PIOTR SIKORA

KULTURA W SKRÓCIE

SMOKI NA PLATFORMACH

22 sierpnia na platformie HBO Max będzie miał premierę „Ród smoka" – prequel „Gry o tron". Akcja rozgrywa się 200 lat przed wydarzeniami z „Gry..." i skupia się na smoczym rodzie Targaryenów. Niedługo później, 2 września, należący do Amazona Prime Video pokaże pierwszy odcinek „Pierścieni Władzy", serialu, którego akcja rozgrywa się tysiące lat przed wydarzeniami z „Władcy Pierścieni".

BELMONDAWG NA WINYLU

Wytwórnia The Very Polish Cut-Outs ogłosiła współpracę z Tytusem Szylukiem „Belmondawgiem". Płyta „Sztossingery" pojawi się na jesieni, a za oprawę graficzną albumu i towarzyszących mu materiałów odpowiada Bartosz Minkiewicz. Portret rapera opublikowaliśmy w „TP" 33/21, czytaj: **powszech.net/belmondawg**

ŻADAN W PAŁACU

18 sierpnia o godz. 18.00 w krakowskim Pałacu Potockich odbędzie się spotkanie z Serhijem Żadanem, ukraińskim pisarzem i obrońcą Charkowa. Rozmowę poprowadzi Małgorzata Nocuń, autorka wojennego portretu poety (**powszech.net/zadan**). Będzie ono transmitowane w internecie, m.in. w naszej grupie dyskusyjnej na FB „Książki w Tygodniku". Pisarz odwiedzi także Warszawę (17 sierpnia) i Lublin (20 sierpnia).

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopogląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

MAREK ZAJDLER / EAST NEWS

KAJKO I KOKOSZ SKOŃCZYLI 50 LAT. Komiks Janusza Christy (1934-2008) pt. „Złote prosię", w którym po raz pierwszy pojawili się słynni woje księcia – później kasztelana – Mirmiła, zaczął się ukazywać w odcinkach na łamach gdańskiego „Wieczoru Wybrzeża" 10 sierpnia 1972 r. Od 1975 r. ich przygody publikował „Świat Młodych", później też „Relax", a w latach 80. zaczęły się nakładem KAW ukazywać wydania zeszytowe (przy czym „Złote prosię" wyszło jako „Złoty puchar"). Osadzone w bajkowym średniowieczu perypetie sprytnego Kajka i gargantuicznego Kokosza były pełne inteligentnego humoru – choć Christa uwielbiał też slapstick – i parodii absurdów PRL-u (od przydziałów na wczasy po chroniący gród przed szturmem święty napis „Zamknięte remanent"). Kultowe dla pokolenia lat 80. komiksy wznawiane są do dziś, a następcy Christy tworzą ich kontynuacje. ©℗ MK

Mózg nie urósł...

CZŁOWIEKA Z HERTO (na zdjęciu) odkryto w Etiopii w 1997 r. Wśród tych skamieniałości znajdują się fragmenty dwóch czaszek, dorosłego i dziecka, pochodzące sprzed ok. 160 tys. lat (z końcówki środkowego plejstocenu). Czaszki te mogły mieścić mózg o tych samych rozmiarach co czaszki współczesnych ludzi, ale różnią się od nich kształtem. Część badaczy uznała, że ta różnica oddaje ważny aspekt ewolucji mózgu: w środkowym plejstocenie wprawdzie miał on przestać rosnąć, ale za to zmienił swoją strukturę. Coraz nowocześniejsza organizacja mózgu miała zaowocować dalszym rozwojem ludzkiej kultury i technologii.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Christoph Zollikofer i współpracownicy właśnie podważyli na łamach „PNAS" tę hipotezę. Wykonane przez nich badania sugerują, że mózgi nasze i Człowieka z Herto były podobnie zorganizowane. Różnica w kształcie czaszek ma wynikać głównie ze zmian, do jakich doszło w obrębie twarzy – i mogła mieć związek ze specyfiką diety i stylu życia tej etiopskiej populacji. ©℗ ŁK

...ani nie zmalał

W NASZYM GATUNKU – wedle innej hipotezy – zaledwie 3 tys. lat temu miało dojść do skurczenia się mózgu. Przedstawił ją w ubiegłym roku Jeremy DeSilva (znany w Polsce z książki „Pierwsze kroki. Jak staliśmy się ludźmi") po przeanalizowaniu rozmiarów prawie tysiąca ludzkich czaszek ze zbiorów różnych muzeów. Badacz tłumaczył zaobserwowany nieznaczny spadek rozmiarów czaszek (i mózgów) powstaniem bardziej złożonych struktur społecznych. Dzięki nim ludzie nie musieli już przetwarzać i magazynować tak wielu informacji jak wcześniej – mogli zdać się na „inteligencję" czy „pamięć" grupy. Skurczenie się mózgu miało być korzystne, ponieważ zmniejszało zapotrzebowanie organizmu na energię.

I ta hipoteza została jednak właśnie podważona. Brian Villmoare i Mark Grabowski zastosowali nieco inne metody statystyczne niż DeSilva i stwierdzili, że do żadnego globalnego skurczenia się mózgu wcale nie doszło. Pomyłka DeSilvy ich zdaniem wynika ze źle dobranego zbioru danych. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

CORAZ DALSI SĄSIEDZI

W świecie rządzonym przez rozsądek wypadałoby właśnie dokonywać resetu w stosunkach polsko-niemieckich. Problem w tym, że politycy po obu stronach Odry kierują się partyjnymi interesami, a nie rozsądkiem.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

Inwazja Rosji na Ukrainę powinna być momentem, w którym wśród partnerów kłótnie odkłada się na bok i skupia się na wspólnych działaniach. Piętrzących się globalnych problemów żaden kraj nie pokona w pojedynkę. Wbrew tej logice w sercu Europy zaostrza się jednak konflikt pomiędzy Warszawą a Berlinem. „Niemcy walczą o realizację konstrukcji niemiecko-rosyjskiej, która dałaby im pełnię władzy w Europie" – powiedział Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla tygodnika „Sieci". To jasny sygnał: w kampanii przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi i parlamentarnymi antyniemiecka karta ma być jokerem, który pozwoli zmobilizować elektorat i sięgnąć po kolejne zwycięstwo. Po wypowiedzi prezesa politycy PiS ruszyli do mediów, aby prześcigać się na krytyczne połajanki pod adresem Berlina. Również w blokowaniu przez Komisję Europejską wypłaty środków z Krajowego Planu Odbudowy rząd w Warszawie doszukuje się instrukcji z Berlina.

Z hukiem powraca też temat reparacji. 1 września ma zostać przedstawiona suma, którą Niemcy mieliby być nam winni za zniszczenia dokonane podczas II wojny światowej. Poseł Arkadiusz Mularczyk fantazjuje nawet, że istnieją szanse na to, iż Niemcy wypłacą Polsce reparacje „w perspektywie kilku lat, a może nawet szybciej". Tyle że to także kiełbasa wyborcza – po latach rozmów z ekspertami po obu stronach Odry mogę z pełnym przekonaniem napisać, że uzyskanie reparacji wojennych, w dosłownie prawnym, a nie publicystycznym znaczeniu tego terminu, jest niemożliwe. Jedyną możliwą formą jest jakiś rodzaj zadośćuczynienia, które jednak wymagałoby politycznego kompromisu. A że sprawa wypływa tylko przy okazji wyborów w Polsce, żadne konkretne żądania nie zostały Berlinowi przedstawione.

Jeśli tak wygląda zaledwie początek kampanii, to można mieć obawy, iż Niemcy zostaną w niej uznani za źródło wszystkich problemów, ↦

Kanclerz Niemiec Olaf Scholz i premier Mateusz Morawiecki, Warszawa, grudzień 2021 r

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

↦ które spadły, spadają lub dopiero spadną na Polskę.

Maraton Schadenfreude

Do wzięcia zachodniego sąsiada na celownik zachęcają polityczne błędy i zaniedbania, których Berlin dopuścił się w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. W efekcie od lutego obserwujemy znaczną zmianę dynamiki stosunków polsko-niemieckich.

Ukraińcy zadziwili świat odwagą i poświęceniem, ale Polacy także zaskoczyli, pewnie również samych siebie – w krótkim czasie kilka milionów uchodźców z tej wojny otrzymało u nas schronienie i pomoc. Warszawa zaczęła wieść prym w europejskiej polityce wymierzonej w militarystyczne imperium Putina.

Po drugiej stronie Odry, kilka dni po rozpoczęciu wojny kanclerz Olaf Scholz ogłosił zerwanie z powojennym niemieckim dogmatem pacyfizmu, neutralności i uciekania od przywódczej roli. Niestety, za słowami nie poszły czyny. Berlin wielokrotnie obiecywał Ukraińcom broń, po czym zmieniał zdanie – dostarczał niewielką jej ilość lub odraczał dostawy. Gdy UE nakładała sankcje na Rosję, niemieccy politycy spowalniali tempo prac i wymuszali ich opóźnianie. Coraz więcej dowiadywaliśmy się też o tym, jak w przeszłości niemiecki establishment umożliwiał rosyjskim koncernom energetycznym oplecenie Europy swoimi mackami.

Niezrozumiałe podejście Berlina do wojny powoduje, że w Polsce wraz z festiwalem solidarności ze wschodnim sąsiadem trwa również maraton Schadenfreude, jak za Odrą zwykło się określać czerpanie satysfakcji z czyjegoś nieszczęścia. Każde kolejne potknięcie niemieckiego rządu, każda rzucona na wiatr obietnica, każde niedotrzymane zobowiązanie są nad Wisłą przyjmowane retorycznym: „A nie mówiliśmy?”.

Pochowali się zwolennicy zaciskania więzów z Berlinem. Niemców strofują już nie tylko politycy PiS, ale i liderzy PO czy Lewicy. Larsa Klingbeila, przewodniczącego rządzącej SPD, przyjął w Warszawie tylko Włodzimierz Czarzasty, a i to głównie ze względu na przynależność jego ugrupowania do tej samej frakcji socjaldemokratycznej w Parlamencie Europejskim. Najgłośniej tryumfuje oczywiście polska prawica, która konsekwentnie przestrzegała przed zbyt bliskimi związkami Niemiec z Rosją i podporządkowaniem narodowych interesów polityce Berlina.

Te emocje czują zdumieni partnerzy zza Odry. Czy tyle zainwestowanego czasu, środków, wymian młodzieży, stypendiów i sympozjów poszło na marne? Ile zostało z wielokrotnie ogłaszanej przez polityków w latach 90. XX w. polsko-niemieckiej przyjaźni? Urzędujący od lipca nowy ambasador Niemiec w Polsce Thomas Bagger w inauguracyjnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” zapytał wprost: „Czy Polacy chcą dobrych relacji z Niemcami?”.

Jeszcze jedna wojna

Aby odpowiedzieć na pytanie ambasadora, musimy zrozumieć, skąd bierze się tak różna percepcja konfliktu na Ukrainie po obu stronach granicy.

Na wojnę obronną przeciwko potężniejszemu przeciwnikowi Polacy reagują niemal z automatu. Ostatnia rosyjska napaść to dla nas powtórka z historii. Czy terytorialne żądania Putina nie są dla ukraińskiej państwowości tak samo obraźliwe jak w 1939 r. próba wymuszenia od Polski zgody na budowę autostrady eksterytorialnej do Prus Wschodnich? Na podobne sygnały reagują u nas wszystkie warstwy społeczne, a intelektualiści zbierają pieniądze na drona dla armii ukraińskiej; wychowani na pacyfizmie pisarze i myśliciele niemieccy piszą zaś listy otwarte do kanclerza, aby broni nie wysyłać.

Potrzeby walki z nieprzyjazną Rosją nie kwestionuje w Polsce żadna partia czy grupa mająca wpływ na opinię publiczną. Co więcej: wierzymy, że w tej wojnie Ukraińcy bronią przed imperializmem Kremla także inne państwa regionu – w tym nasz kraj. A niemiecka percepcja różni się od polskiej diametralnie. Dla Niemców Ukraina była i nadal jest – pomimo obecnego zainteresowania – prowincjonalnym, efemerycznym quasi-państwem, postrzeganym przede wszystkim jako część byłego Związku Sowieckiego. Niepokojąco często w Niemczech podnosi się historyczne i kulturowe związki ziem ukraińskich z Moskwą. W społecznej geografii Niemców Ukraina znajduje się cywilizacyjnie dużo dalej na wschód niż Polska.

Dlatego po pierwszym szoku wielu naszych sąsiadów z Zachodu zaczęło traktować ten konflikt tak jak inne toczące

Wzloty

ANDRZEJ ŚLUSARCZYK / FUNDACJA KRZYŻOWA

12.11.1989 Msza Pojednania w Krzyżowej z udziałem premiera Tadeusza Mazowieckiego i kanclerza Helmuta Kohla: symboliczne nowe otwarcie stosunków obu państw w obliczu upadku bloku komunistycznego.

14.11.1990 Pomimo krytyki ze strony niemieckich wypędzonych podpisano traktat uznający przebieg granicy wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej.

17.06.1991 Traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy. Powstaje szereg instytucji, w tym Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, Polsko-Niemiecka Współpraca Młodzieży oraz Fundacja Polsko-Niemieckie Pojednanie, które przez kolejne dekady będą pracowały na rzecz zbliżenia obu narodów.

12.03.1999 Polska, m.in. dzięki wsparciu RFN, zostaje członkiem NATO.

01.05.2004 Polska wstępuje do Unii Europejskiej. Również w tym przypadku pomogło wsparcie zachodniego sąsiada.

21.12.2007 Polska przystępuje do układu z Schengen: z granicy polsko-niemieckiej znikają kontrole paszportowe.

01.05.2011 Niemiecki rynek pracy otwiera się dla polskich obywateli.

31.10.2020 Bundestag podejmuje decyzję o stworzeniu w centrum Berlina miejsca pamięci polskich ofiar II wojny światowej.

się w świecie wojny. Ewentualna przegrana Ukraińców nie byłaby jeszcze dla Niemców katastrofą. W końcu dla nich rolę bufora przed Rosją odgrywamy my i państwa bałtyckie. Więcej obaw wywołuje natomiast wizja wojny atomowej – co z kolei w Polsce traktowane jest raczej jako straszak Putina na bojaźliwych mieszkańców zachodniej Europy.

Rosja nie jest dla Niemców wrogiem. Ale jest jeszcze jeden, psychologiczny aspekt. W najważniejszych momentach historii Niemcy sami byli agresorami i kolonizatorami. W ich kolektywnej pamięci brak pozytywnych odniesień do wojny obronnej. To właśnie z powodu własnego dziedzictwa nie wysyłali dotychczas broni na tereny objęte konfliktem (z wyjątkiem Izraela, co również ma uzasadnienie w historii).

Rosjanie, czyli wyzwoliciele

Podejście Niemców do Rosji przypomina rozdwojenie jaźni. Oczywiście, do upadku III Rzeszy przyczynili się wszyscy alianci, ale wśród miejscowych historyków panuje zgoda co do tego, że bez gigantycznego zaangażowania i ofiar Związku Sowieckiego historia XX wieku mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej.

W Polsce często wypiera się to, że – wedle niektórych wyliczeń – zaangażowanie ZSRR w wojnę z III Rzeszą kosztowało życie blisko 42 mln ludzi. Ale w Niemczech to właśnie z tego powodu nie wypomina się głośno czerwonoarmistom, że masowo zabijali i gwałcili niemieckich cywilów. Choć dla postronnego obserwatora wyświetlany na Bramie Brandenburskiej napis *„spasibo”* może wyglądać dziwnie, na tym polega paradoks niemieckiej kultury pamięci, która celebruje przegraną i własny wstyd, a cześć oddaje byłym wrogom, którzy wyzwolili Niemców spod tyranii ich własnych nazistów. Błędem, obecnie powoli korygowanym, było myślenie o sowieckich żołnierzach niemal wyłącznie jako Rosjanach – choć w walce z Hitlerem ginęli przedstawiciele wszystkich narodów wchodzących w skład Związku Sowieckiego.

To wszystko powoduje jednak, że wysyłanie na Ukrainę broni, która ma zabijać rosyjskich żołnierzy, przychodzi Niemcom z wielkim trudem.

Niemiecki słowniczek

Jeden z pierwszych dni mojego rocznego wolontariatu w niemieckiej organizacji pozarządowej zaczął się od zaproszenia na cotygodniowe planowanie. Usiedliśmy przy okrągłym stole, na którym wszyscy rozłożyli grube kalendarze. Był luty.

Rosja nie jest dla Niemców wrogiem. Ale jest jeszcze jeden, psychologiczny aspekt. W najważniejszych momentach historii Niemcy sami byli agresorami i kolonizatorami.

„Przyjrzyjmy się najpierw jednemu z wrześniowych spotkań – powiedziała dyrektorka. – Czy wszystkim pasuje, żeby odbyło się w czwartek szesnastego, o 9.15?”. Uczestnicy zerknęli do kalendarzy, przytaknęli i zapisali termin.

Poczułem się jak w skeczu Monty Pythona. Po co jakieś mało ważne spotkanie we wrześniu planować już w lutym i wpisywać co do minuty do kalendarza? Był to jednak dla mnie dopiero początek poznawania kultury planowania, które dla zrozumienia Niemców jest nie mniej potrzebne niż przyswojenie sobie pojęcia *„Ordnung”*, czyli porządku.

„Struktur” – to jeszcze jedno słowo, które pada tu nagminnie podczas niemal każdego spotkania. Wszystko powinno posiadać określony porządek. Dlatego zanim zacznie się spotkanie, celebrowane jest ustalanie jego formy i listy tematów. Umawiając się na pizzę z kolegami, zaczynamy od spojrzenia w kalendarze w telefonach i ustalenia terminu kolejnego spotkania; rodzinny zjazd z okazji Bożego Narodzenia może zacząć się dopiero po przedyskutowaniu, gdzie odbędzie się spotkanie przyszłoroczne. Kalendarze, listy i reguły – to wszystko wielu Niemcom pozwala prowadzić jak najbardziej przewidywalne życie.

Nie wynika to jednak tylko z wygody. Termin „German Angst”, co można rozumieć jako „niemieckie lęki”, określa stan, w którym Niemcy boją się, że coś niezaplanowanego zburzy ich spokój, albo że jakaś zdecydowana zmiana poprowadzi ich na manowce. Właśnie dlatego niemieckie społeczeństwo planuje i zabezpiecza się z każdej strony. Bezpieczeństwo jest w Niemczech ważniejsze niż wolność. W Polsce system hierarchii wartości wygląda inaczej – a wolność, również ta w konsekwencji autodestrukcyjna, jest silnie zakorzeniona w naszych zwyczajach.

Jak się to ma do wojny na Ukrainie? Wielu czynników nie da się w niej przewidzieć. To, jak będzie się dalej toczyć, nie zależy od Niemców. Nawet gdyby zaczęli na wielką skalę dozbrajać Ukrainę, prawdopodobnie nie zmieniłoby to losów wojny – tu kluczowe są Rosja, USA i jedność państw NATO. Berlin nie jest też zabezpieczony na wypadek zimowego kryzysu gazowego. Jeśli Putin odetnie dopływ gazu, Niemcy będą marzli, bo co drugie mieszkanie ogrzewają właśnie gazem.

Tak niepewna sytuacja, sprowadzająca największą gospodarkę Europy do roli zależnej od światowych wydarzeń, fatalnie wpływa na zbiorowe samopoczucie Niemców. W sytuacji zagrożenia nie ma więc co od nich wymagać odruchów typowych dla Polaków – choćby moralnego wzmożenia. To społeczeństwo splątane strachem. Stąd tak głośno rezonują w nim głosy ekspertów i polityków, którzy nawołują do jak najszybszego dogadania się stron konfliktu. „Jeżeli nie mamy żadnego scenariusza, żadnych pewnych prognoz, to zawsze lepiej próbować znajdować się po bezpiecznej, czyli nieeskalującej stronie” – stwierdził w popularnym niemieckim *talk-show* Harald Welzer, psycholog społeczny i komentator, który opowiada się za wstrzymaniem dalszych dostaw broni dla Ukrainy.

Ale oprócz społecznych uwarunkowań w przystąpieniu do koalicji antyrosyjskich „jastrzębi” przeszkadzają Berlinowi powiązania biznesowe.

Prusy nie żyją, niech żyje Hanza

Gdy polskim ministrem gospodarki była Jadwiga Emilewicz, w resorcie za cel postawiono sobie zbudowanie porządnych relacji z Niemcami. Jeden z urzędników odpowiedzialnych za kontakty z Berlinem narzekał wtedy, że Niemcy, odrzucając po wojnie pruski imperializm, zwrócili się ku tradycjom związanym z Hanzą. Średniowieczne miasta kupieckie zrzeszone ↦

↦ w tym związku dbały o kanały dialogu i starały się dogadać z każdym, z kim można było ubić interes.

Dla powojennych Niemiec była to wygodniejsza forma rozwoju niż trzymanie się tradycji pruskiej, w której ważną rolę odgrywała siła militarna. Ten model stworzył ich współczesną potęgę. Niemcy są dumni z bycia czempionem eksportu. Sam fakt wyprodukowania danego towaru w RFN stał się wartością dodaną, a za krótkim „made in Germany" kryje się obietnica najwyższej jakości.

We współczesnym świecie Niemcy miały więc produkować, handlować i bogacić się. Nie było w tej wizji miejsca na konflikty i wojny. Każdy problem da się w końcu wyjaśnić w drodze szczerej rozmowy i poprzez wypracowanie kompromisu, powiadają nasi zachodni sąsiedzi. Lepiej przecież się bogacić, niż ze sobą wojować. W tej reinterpretacji ducha Hanzy zapomina się jednak, że współpracujące ze sobą miasta, żeby realizować swoje biznesowe cele, sięgały też po szantaż, twardą politykę, a nawet po armię.

Największym błędem współczesnych Niemiec było oparcie modelu rozwojowego na tanich surowcach z Rosji. Aby bezproblemowo zasilać własny przemysł, stworzono alternatywną rzeczywistość, w której Moskwa, przy odrobinie starań po stronie Zachodu, mogłaby być wiarygodnym partnerem. Narody Europy Środkowej uznawano za rusofobów, których ostrzeżenia wobec knowań Kremla były tylko echem przeszłości. „Nie wolno izolować Rosji" – pouczał jeszcze rok temu podczas wizyty w Warszawie były już szef niemieckiego MSZ, Heiko Maas z SPD.

W tworzenie zakłamanego wizerunku Rosji angażował się w Niemczech cały aparat państwowy. Biznes podkreślał zaufanie, jakim darzono jeszcze do niedawna rosyjskie koncerny energetyczne. „Rosjanie są niezawodni, przesyłali gaz nawet w czasie zimnej wojny" – usłyszałem od przedstawiciela niemieckiego przemysłu na parę miesięcy przed ponowną agresją Rosji na Ukrainę.

Aby łatwiej budować kolejne gazociągi, Niemcy tworzyli polityczne atrapy, jak programy typu „Partnerstwo dla Modernizacji", które miały udowodnić, że putinowską Rosję da się zbliżyć do Europy. Na zadawane przez dziennikarzy pytania o geopolityczne niebezpieczeństwa związane z budową Nord Stream 2 kanclerz Angela Merkel zawsze miała tylko jedną odpowiedź: że to projekt wyłącznie biznesowy. Doszło do tego, że rosyjscy lobbyści dosłownie dyktowali niemieckim politykom, co mają wpisać do uchwalanych regulacji, aby ominąć amerykańskie sankcje nałożone na rurociąg.

SPD tak bardzo zaangażowała się w interesy z Rosją, że do realizacji wspólnych celów zaczęła stosować metody rodem z republiki bananowej. Trwającym po dziś skandalem jest działalność Gerharda Schrödera, który mimo rosyjskiej inwazji wciąż lata do Moskwy na spotkania ze swoim przyjacielem Władimirem Putinem, a po powrocie do kraju głosi, że rząd powinien umożliwić Rosjanom uruchomienie Nord Stream 2. Partia rządząca wciąż trzyma byłego kanclerza w swoich szeregach.

Przed wojną Berlin kreował się na prymusa w kwestii ochrony klimatu i transformacji energetycznej. Ta druga okazała się jednak w dużej mierze wydmuszką, którą napędzały rosyjskie surowce. Z powodu ryzyka niedogrzanych mieszkań rządzący pracują nad planami wydłużenia prac elektrowni węglowych, a nawet jądrowych. A jeszcze w ubiegłym roku, kiedy pytałem, czy nie sensowniej byłoby jeszcze jakiś czas korzystać z elektrowni atomowych, moi rozmówcy dawali do zrozumienia, że takich niepostępowych pytań w ogóle nie powinienem zadawać.

Korekta nierówności

Paradoksalnie ten niebezpieczny moment światowej historii to dobry czas na reset relacji polsko-niemieckich.

Od 30 lat ich podstawowym problemem były i są nierówności. Interesy, możliwości i perspektywy Niemiec są inne od tych, którymi dysponuje Polska, europejski średniak. Rozwojowy dystans między sąsiadami drażni Polaków. Jednak w obliczu wojny doszło do pewnej korekty politycznej pozycji obu państw.

Polska awansowała, ze względu na skuteczne wspieranie walczącego Kijowa. Niemal cały zachodni sprzęt wojskowy jest dostarczany na Ukrainę przez terytorium naszego kraju. Operacja odbywa się sprawnie, co jest dostrzegane także przez Niemców. Ton w mediach znacznie się zmienił – w „Der Spiegel", „Die Welt" czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung" napi-

Upadki

CHRISTIAN THIEL / IMAGO / / EAST NEWS

06.09.2000 Z inicjatywy Eriki Steinbach powstaje fundacja Centrum przeciwko Wypędzeniom, która w kolejnych latach będzie promowała budowę miejsca upamiętniającego niemieckich wypędzonych. Plany te spotkają się z ostrą krytyką Polski.

KOMMERSANT / / GRANANGULAR / EAST NEWS

29.08.2006 Niemieckie i rosyjskie spółki powołują w Moskwie konsorcjum Nord Stream, w którego władzach znajdzie się także były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder. Budowa dwóch linii gazociągu z czasem urośnie do największego problemu w relacjach między Warszawą i Berlinem.

08.11.2014 Niemcy odrzucają wniosek Związku Polaków w Niemczech w sprawie nadania Polakom mieszkającym w tym kraju statusu mniejszości narodowej.

29.09.2017 W polskim Sejmie powstaje zespół ds. reparacji.

17.12.2021 Sejm z inicjatywy PiS obcina fundusze na nauczanie języka niemieckiego dla mniejszości niemieckiej w Polsce.

2022 Trwa kryzys wywołany ultimatum Władimira Putina z grudnia 2021 r., domagającego się uznania przez Zachód Ukrainy za strefę jego wpływów, i inwazją Rosji na Ukrainę z lutego 2022 r.

sano ostatnio o Polsce wiele dobrego. Obrazki z udzielania pomocy ukraińskim uchodźcom w dużym stopniu zniwelowały obraz Polski jako kraju zajadle antyimigranckiego.

Tak wzmocnieni politycznie moglibyśmy odważniej podejść do rozmów z Niemcami, którzy w ostatnich miesiącach stracili sporo międzynarodowego zaufania i pewności siebie. Dalsze wsparcie Ukrainy i wzmocnienie bezpieczeństwa energetycznego Europy to zadania, w których realizacji przydałaby się ścisła współpraca Warszawy i Berlina. Z pewnością niezbędna będzie przy tym świadomość zrozumienia własnych różnic. Tego, że Polacy uważają, iż pokój nastąpi tylko w wyniku upadku reżimu Putina. A Niemcy – że niezbędne będą rozmowy i ustępstwa.

W świecie rządzonym przez rozsądek odpowiedź na pytanie, czy Polacy chcą dobrych relacji z Niemcami, powinna być twierdząca. Przy tak niestabilnej sytuacji międzynarodowej nonsensem byłoby odrzucanie współpracy. W szczególności, że Polsce i Niemcom w ostatnich trzech dekadach udało się naprawdę dużo osiągnąć. I chodzi nie tylko o rosnącą wymianę handlową, ale i o pozornie banalne, choć w zasadzie najważniejsze poznawanie się ludzi ze względu na otwarte granice, rynki czy łatwy dostęp do uczelni. Czyli to, o czym najczęściej zapominamy, skupiając się na doraźnych sporach.

> Przed wojną Berlin kreował się na prymusa ochrony klimatu i transformacji energetycznej. Ta druga okazała się jednak w dużej mierze wydmuszką, którą napędzały rosyjskie surowce.

Konflikt, jak zawsze

Niestety, największy wpływ na relacje pomiędzy państwami i narodami mają politycy – a ci z kolei częściej niż rozsądkiem kierują się interesem partyjnym.

PiS nie zrezygnuje z antyniemieckiej kampanii, licząc, że ta może przynieść wyborcze zwycięstwo. Po drugiej stronie Odry nie widać natomiast, żeby rządzący socjaldemokraci palili się do poważnego rozliczenia szkodliwego prorosyjskiego kursu własnej formacji. O wiele lepiej od nich rozumiejący Europę Środkowo-Wschodnią Zieloni w rządzącej koalicji są tylko mniejszym partnerem. Kluczowe decyzje będą zapadać w urzędzie kanclerskim, gdzie umościli się politycy SPD. A w tej partii wciąż roi się od skorumpowanych oportunistów, którzy nie zawahają się wrócić do biznesów z Rosją, gdy tylko Europa zmęczy się wojną. Zmiany nastrojów możemy doświadczyć jeszcze tej zimy, jeśli Rosja zdecyduje się na szantaż energetyczny.

Dzisiejsza SPD nie jest więc ugrupowaniem gotowym do podjęcia szczerego dialogu z Polską. Prędzej można się spodziewać, że Olaf Scholz postawi na budowanie silniejszych więzów z krajami starej Unii, w tym na rozwijany od dekad tandem z Francją czy współpracę z Beneluksem. A to już prosta droga do powstania Europy dwóch prędkości. W jednym bloku liderem będzie na pewno Berlin. W drugim niewykluczone, że Warszawa.

Możliwe zatem, że bliska współpraca była tylko krótką przerwą w długiej i krwawej historii relacji obu państw. I że właśnie obserwujemy powrót do historycznie pojętej normalności. Do rywalizacji.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Autor jest stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego". Od lat mieszka w Niemczech, w 2022 r. został laureatem Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego za opublikowany w „Tygodniku" reportaż „Prawdziwe koszty szparaga" (czytaj na powszech.net/szparagi).

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Przydział ziemi*

Po pokonaniu amorydzkich królów Sichona i Oga oraz udanej kampanii przeciw Midianitom Izraelici szykują się do podboju Kanaanu. Tymczasem szczepy Gada i Ruwena, posiadające niezwykle liczne stada, proszą o możliwość osiedlenia się w obfitującym w pastwiska Gileadzie, na wschód od Jordanu. Początkowo wyprowadzony tym z równowagi Mojżesz przypomina o demoralizującym wpływie raportu szpiegów na lud. I wyraża obawę, że tamta sytuacja się powtórzy: oto znów część dzieci Izraela odmawia wejścia do ziemi obiecanej! Pozostałych czeka długa i ciężka wojna – czy dwa plemiona opuszczą swoich braci w potrzebie?

Potomkowie Gada i Ruwena wyjaśniają sytuację: nie chcą uniknąć udziału w walce; wręcz przeciwnie – są gotowi stanąć na czele zbrojnych hufców. Mówią: „Zagrody dla bydła zbudujemy tu dla naszych stad i miasta dla naszych dzieci" (Lb 32, 16), po czym sami pomożemy braciom.

Mojżesz aprobuje ich chęć uczestnictwa w działaniach wojennych – widać, że te dwa szczepy czują odpowiedzialność wobec całej społeczności. Jednak zacytowane słowa wskazują na to, że ich priorytety są niewłaściwe: wpierw mówią o budowie zagród dla bydła, dopiero potem o domach dla dzieci. Czyżby ważniejsze były dla nich stada niż dzieci? Nie wspominają też ani słowem o Bożej roli w podboju Kanaanu – twierdzą, że sami doprowadzą resztę plemion do celu. Mojżesz akcentuje właściwą hierarchię wartości: „Zbudujcie sobie miasta dla waszych dzieci i zagrody dla waszego bydła" (wers 24). Przypomina również o Najwyższym. Potomkowie Gada i Ruwena rozumieją błąd. Odpowiadają jednym głosem – w wersie 25 pierwszy czasownik („powiedział") występuje w liczbie pojedynczej. W wersie 26 zachowują już właściwą kolejność: „nasze dzieci, nasze żony, nasze stada". Mojżesz przydziela im ziemie zajordańskie, które mają dzielić z połową szczepu Manassesa. Dlaczego? Przecież to plemię nie prosiło o przydział ziemi na tamtym terenie...

Ależ prosiło – utrzymuje jeden z egzegetów. Jednak ponieważ tylko połowa plemienia zwróciła się z tą prośbą, nie zostało to wcześniej odnotowane. Drugi w swoim komentarzu do Pwt 3, 16 twierdzi, że członkowie szczepu Manassesa otrzymali kawał ziemi w Transjordanii, by swoją uczonością w Torze wesprzeć tamtejszą społeczność. Trzeci ma inny pogląd: rozdzielono ziemię w ten sposób, żeby dzieci Izraela nie mogły w przyszłości twierdzić, że mieszkający za Jordanem do nich nie należą. Szczep Manassesa, jako potomkowie Józefa, ucieleśnia wszystkie dzieci Izraela. Również córki Celofchada, które wywalczyły sobie ojcowiznę, będą rezydować w Ziemi Izraela, a ich teściowie – za Jordanem. Dzięki temu lud będzie świadom faktu, że mieszkający w Transjordanii są ich braćmi. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jezus zamknięty w Kościele*

Ktoś zapytał Jezusa: „Panie, czy tylko nieliczni będą zbawieni?", a On odpowiedział: „Starajcie się wejść przez ciasną bramę, bo mówię wam, że wielu będzie chciało wejść, ale nie zdołają". Z tego wynika, że ludzkie życie toczy się przed bramą, w miejscu, gdzie stara ziemia i stare niebo przeradzają się w „nowe niebo i nową ziemię". Zbawionymi, uratowanymi będą ci, którzy przyłożą rękę do powstawania tej nowej rzeczywistości. Dlatego już teraz odbywa się sąd, który polega na tym, że – jak mówi Jezus – „na świecie pojawiła się światłość, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność niż światłość, ponieważ ich czyny były złe". Dlatego autor Listu do Hebrajczyków przypomina: „Nie zapominajcie o zachęcie, jaką Bóg kieruje do was jako synów: Nie gardź, mój synu, karceniem Pana i nie zniechęcaj się Jego upomnieniem, bo kogo Pan miłuje, tego karci, wymierza karę każdemu, kogo uznaje za syna!".

Pan ostrzega ludzi dobrej woli, ale bezczynnie stojących, czy też z premedytacją utrudniających pracę budującym świat po Bożemu, że przyjdzie taki czas, a właściwie już jest, „kiedy gospodarz wstanie i zamknie bramę, wy zostaniecie na zewnątrz i będziecie kołatać do bramy, wołając: »Panie, otwórz nam«. On wam odpowie: »Nie znam was! Skąd jesteście?«. Wtedy zaczniecie mówić: »Jedliśmy i piliśmy z tobą, a ty nauczałeś na naszych ulicach«. Odpowie wam: »Nie znam was! Skąd jesteście? Odejdźcie ode mnie wszyscy, którzy dopuszczacie się niesprawiedliwości. Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów, gdy zobaczycie Abrahama, Izaaka i Jakuba, i wszystkich proroków w królestwie Bożym, a siebie wyrzuconych na zewnątrz«". Za to inni ludzie „przyjdą ze wschodu i z zachodu, z północy i z południa i zasiądą przy stole w królestwie Bożym. Tak oto ostatni będą pierwszymi, a pierwsi będą ostatnimi". I jak na zawołanie „właśnie wtedy przyszli jacyś faryzeusze i powiedzieli Mu: »Wyjdź stąd i oddal się, gdyż Herod chce Cię zabić«".

Papież Franciszek mówi, że dzisiaj dzieje się podobnie, ale na odwrót. Jezus nadal puka do drzwi, ale nie dlatego, że chce wejść, lecz wyjść. Został bowiem zamknięty... w Kościele widzianym jako wspólnota i jako budynek. Przez kogo? Na pewno nie tylko przez „grzeszny świat, pogrążony w ciemności". Jezus żadnego świata się nie boi. Przeciwnie: uważa, że Jego miejsce jest właśnie w takim świecie, jaki jest. „Tak bardzo bowiem Bóg umiłował świat, że dał swojego jednorodzonego Syna, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, lecz miał życie wieczne. Bóg przecież nie posłał swego Syna na świat, aby go sądził, lecz aby go zbawił". Uważajcie więc, „abyście nie sprzeciwili się Mówiącemu", słysząc tylko to, co chcecie usłyszeć. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Krzyż i życie

W ubiegłym tygodniu czytaliśmy w Liturgii mszalnej 18. rozdział Ewangelii św. Mateusza. Jest on w całości poświęcony tematowi wspólnoty – ściślej: braterskiej wspólnoty, jaką jest Kościół. Rozdział otwiera pytanie: „Kto jest [w tej wspólnocie] największy?”, a zamyka Jezusowa odpowiedź na inne pytanie: „Ile razy mam przebaczyć, jeśli mój brat wykroczy przeciwko mnie?”.

Pojawiają się między nimi jeszcze inne kwestie: zgorszenie (biada każdemu, kto się go dopuszcza), konieczność radykalnego przeciwdziałania zgorszeniu, ale również Jezusowy zakaz łatwego potępiania i lekceważenia „maluczkich” podatnych na zgorszenie. A także Mateuszowa wersja przypowieści o zgubionej owcy: jest wolą Ojca, by jej szukać, pozostawiwszy w górach dziewięćdziesiąt dziewięć takich, „które się nie zabłąkały”. I zasady upomnienia braterskiego: idź! (nie wołaj go do siebie); w cztery oczy; jeśli to bezskuteczne, weź jednego lub dwóch świadków; ostatecznie donieś Kościołowi. A po tym wszystkim będąca odpowiedzią na pytanie o granice przebaczenia przypowieść o nielitościwym dłużniku.

Widać wyraźnie, że wspólnota, o której mówi Jezus, to wspólnota realna, nie wyidealizowana – to wspólnota braci grzeszących, także wobec siebie nawzajem; wspólnota, która szuka właściwych dróg (i pyta o nie Jezusa) zmierzenia się z grzechem swoim i swoich członków. Wspólnota rozdzierana ambicjami i pychą, lekceważąca tych, którzy mogą najmniej; wspólnota upokorzona gorszącym – skandalicznym – zachowaniem tych, których grzech staje się przyczyną upadku innych; wspólnota, której łatwiej przychodzi osąd niż pomoc grzesznikowi; wreszcie wspólnota braci, którzy niczego nie rozumieją z przebaczenia i miłosierdzia, jakim obdarowuje ich Ojciec. Wspólnota braci ulegających złu i nieradzących sobie z taką prawdą o sobie.

Czy jest w tym rozdziale jakakolwiek Dobra Nowina o tej wspólnocie? Czy jest w nim zapisana jakakolwiek Obietnica? Jest.

Oto ona: „Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyczy im mój Ojciec, który jest w niebie. Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18, 19-20).

Jezusa uobecniają w świecie dwaj albo trzej grzesznicy. Nie idealny, lecz grzeszny (czasami wręcz ciężko grzeszny) Kościół jest sakramentem obecności Jezusa w świecie – sakramentem, czyli znakiem i zawsze skutecznym narzędziem. ©

By Go ujrzeć,
musimy wejść
do czystego spoczynku.

MISTRZ ECKHART

W słowach cenna jest myśl.
Myśl podąża za czymś,
czego nie można
wyrazić słowami.

ZHUANGZI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (21-28 VIII)

21. niedziela zwykła: Iz 66, 18-21; Ps 117; Hbr 12, 5-7. 11-13; Łk 13, 22-30;
Poniedziałek: 2 Tes 1, 1-5. 11b-12; Ps 96; Mt 23, 13-22;
Wtorek: 2 Tes 2, 1-3a. 14-17; Ps 96; Mt 23, 23-26;
Środa: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
Czwartek: 1 Kor 1, 1-9; Ps 145; Mt 24, 42-51;
Piątek, uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej: Prz 8, 22-35; Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11;
Sobota: 1 Kor 1, 26-31; Ps 33; Mt 25, 14-30;
22. niedziela zwykła: Syr 3, 17-18. 20. 28-29; Ps 68; Hbr 12, 18-19. 22-24a; Łk 14, 1. 7-14.

PRAWO DLA ZWYCIĘZCY

Spór o praworządność został przez polityków sprowadzony do kłótni o pieniądze i suwerenność. Ta fałszywa perspektywa będzie miała konsekwencje dla każdego obywatela Polski.

STEFAN SĘKOWSKI

Mijają kolejne miesiące, a Polska nie otrzymała ani jednego eurocenta z pieniędzy, jakie powinniśmy dostać na realizację Krajowego Planu Odbudowy. I wiele wskazuje na to, że długo tych środków nie zobaczymy, o ile w ogóle do nas trafią. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen nie pozostawia wątpliwości: Polska nie spełniła jeszcze warunków dotyczących praworządności, które umożliwiłyby wypłatę funduszy. „Nowa ustawa nie gwarantuje sędziom możliwości kwestionowania statusu innego sędziego bez ryzyka, że zostaną pociągnięci do odpowiedzialności dyscyplinarnej" – stwierdziła w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej", komentując likwidację Izby Dyscyplinarnej, która zdaniem prezydenta Andrzeja Dudy oraz Prawa i Sprawiedliwości miała rozwiązywać wszystkie kwestie sporne z Komisją Europejską. Dodała też, że Polska nie zrealizowała nadal postanowień Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w sprawie zawieszonych sędziów, zwłaszcza zobowiązania do przywrócenia ich do pracy.

Dla opozycji sprawa jest jasna: powinniśmy zrealizować oczekiwania KE i wziąć jak najszybciej pieniądze. Jej politycy coraz częściej nie przebierają w słowach, jak Szymon Hołownia, który podczas jednej z konferencji prasowych powiedział, że „dzisiaj Morawiecki, PiS powinni wyjść i powiedzieć tym wszystkim, którzy nie dostaną pieniędzy: nie dostaniecie pieniędzy, bo ja mam niestety Ziobro na karku, a przecież nie zrezygnuje z dostępu do koryta, dla siebie i dla swojej sitwy". I przedstawił grafikę, z której wynika, że przez upór rządzących tylko w tym roku stracimy prawie 20 mld zł, które mogłyby popłynąć do rolników, „zielonych" firm technologicznych oraz opieki zdrowotnej.

W świetle takiej narracji przed otrzymaniem pieniędzy z KPO broni nas jedynie ośli upór rządzących, którzy nie chcą się zgodzić na realizację logicznych postulatów Brukseli. Omawianie zagrożeń związanych ze zmianami forsowanymi przez Ziobrę zeszło na dalszy plan. Paradoksalnie, takie ustawienie sporu jest Prawu i Sprawiedliwości bardzo na rękę. Dzięki temu może postawić na prosty przekaz, w ramach którego opór wobec Komisji Europejskiej to obrona naszej niepodległości oraz rządu, który stara się wszystkimi sposobami obalić Bruksela. Tymczasem eurokraci nie mają prawa narzucać nam, jak ma wyglądać polski system sądownictwa. A jeśli chcą nas szantażować odebraniem należnych nam funduszy? Bez łaski. Poradzimy sobie bez tych pieniędzy.

W ostatnim wywiadzie dla tygodnika „Sieci" mówił o tym wprost Jarosław Kaczyński, zdaniem którego celem Komisji nie była ochrona praworządności europejskiej, ale rozmontowanie praworządności w Polsce. Aby osiągnąć ten cel, Bruksela pod rękę z Niemcami ma nam – wedle prezesa PiS – odebrać każde możliwe fundusze. „Próbuje się nam zabrać wolność, suwerenność i jeszcze obrabować" – stwierdził Kaczyński, dodając: „Czas wyciągnąć wnioski".

O jakie wnioski może chodzić? Europoseł prof. Zdzisław Krasnodębski w Radiu Wnet stwierdził, że „czas przeciąć te negocjacje i powiedzieć, że rezygnujemy z tych środków". Jeszcze dobitniej wyraził to Bronisław Wildstein, publikując w tygodniku „Sieci" tekst pod znamiennym

ATTILA HUSEJNOW / ZUMA PRESS / FORUM

Protest przed Trybunałem Konstytucyjnym, Warszawa, sierpień 2021 r.

tytułem „Praworządność, czyli utrata niepodległości", w którym stwierdzał, że Unii stawiającej nam coraz to nowe żądania nie możemy zaakceptować i „albo możemy zablokować jej zgubny dryf, albo musimy się z nią rozstać". Jeśli będzie trzeba, to i Polexit możemy rozważyć.

Suwerenne mydlenie oczu

Sprowadzanie całej sprawy do sporu o pieniądze i suwerenność jest wygodne dla każdej ze stron politycznej wojny w Polsce. Skomplikowane kwestie związane z sądownictwem nie oddziałują na wyobraźnię wyborców tak, jak rzekome zagrożenie utratą niepodległości (jako Polacy dobrze wiemy, że nie jest ona dana nam raz na zawsze). Z drugiej strony, nie robią też takiego efektu jak miliardy, których nie wydamy na walkę z suszą czy budowę żłobków na wsiach.

Oczywiście, 35 mld euro grantów i pożyczek piechotą nie chodzi, więc głupio byłoby je stracić. Tylko co, jeśli rzeczywiście Bruksela wykorzystuje sytuację, by poszerzyć swoje władztwo nad Wisłą albo szerzej – nad państwami narodowymi? Jeśli Komisja Europejska żądałaby od nas wprowadzenia szkodliwych praw, wykrzywiających nasz system polityczny, uderzających w nasze bezpieczeństwo i gospodarkę, wówczas należałoby się temu przeciwstawić, niezależnie od tego, o ile mniej mielibyśmy pieniędzy na zieloną energię czy nawet na podwyżki dla pielęgniarek. Głosy o nadmiernym poszerzaniu swych kompetencji przez Komisję pojawiają się w dyskusji europejskiej od dłuższego czasu, dlatego warto się przynajmniej nad tym problemem pochylić, nawet jeśli nie ma to większego znaczenia dla merytorycznej oceny przeprowadzanych w Polsce zmian.

Tu bowiem w ogóle nie chodzi o pieniądze z KPO. Sednem jest to, że po upadku PRL, po 25 latach mozolnego budowania w Polsce państwa prawa, które – to prawda – w 2015 r. pozostawiało wiele do życzenia, za rządów Prawa i Sprawiedliwości nastąpił ↦

↦ poważny regres. Pozwala on wręcz mówić o upadku praworządności w naszym kraju. To nie jest bowiem wąski spór dotyczący przetasowań w ramach polityczno-prawniczych elit o to, czyje koleżanki będą pełnić najważniejsze funkcje w Trybunale Konstytucyjnym i Sądzie Najwyższym i czyi koledzy będą prezesami sądów powszechnych. Przez ostatnie siedem lat, w wyniku kolejnych zmian wprowadzanych przez obóz Zjednoczonej Prawicy, nasze bezpieczeństwo prawne realnie się pogorszyło. Gdyby nie to, pewnie nie byłoby tematu ani wstrzymania pieniędzy na realizację KPO, ani prób poszerzania swoich kompetencji przez unijne instytucje.

Izba Dyscyplinarna – o którą obóz PiS toczy spór z KE – była przejawem tego zjawiska. Zakaz kierowania do TSUE pytań prejudycjalnych czy możliwość dyscyplinowania sędziów za wydawane przez nich orzeczenia – były daleko idącym ograniczeniem ich niezawisłości. A to uderza zarówno w zasadę „demokratycznego państwa prawnego" zawartą w polskiej Konstytucji, jak i w unijne rozumienie praworządności. Nie jest to tylko kwestia komfortu pełnienia swojego zawodu przez sędziów, ale okoliczność godząca w bezpieczeństwo obywateli. Sędzia może obawiać się wydania sprawiedliwego wyroku, niekorzystnego, dajmy na to, dla kolegi partyjnego bądź krewnego ministra sprawiedliwości czy innej persony związanej z obozem władzy, by nie zostać pociągniętym pod jakimś pozorem do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Uchwalona przez parlament ustawa likwidująca Izbę Dyscyplinarną odpowiada tylko na część związanych z nią problemów. Dlatego KE nadal nie chce wypłacić należnych nam pieniędzy.

No dobrze, ale dlaczego UE właściwie się zajmuje tą sprawą – i czy w ten sposób nie przekracza swoich kompetencji? Na mechanizm warunkowości zgodziły się same państwa członkowskie. Pomysł, by taki warunek wprowadzić, pojawił się, ponieważ poziom praworządności ma związek z poziomem pieniędzy rozkradanych z unijnych funduszy. Prym wśród krajów, w których środki te znikają najczęściej, wiodą Węgry. W Polsce problem ten był, według Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych, w latach 2015-2019 nawet poniżej unijnej średniej. Jednak nikt nie da gwarancji, że sytuacja się nie zmieni, jeśli polscy rządzący stwierdzą, że jest to świetna okazja do tego, by i u nas zbudować oligarchię bliską partii władzy, która dzięki pieniądzom defraudowanym z funduszy europejskich będzie kreowała własne bogactwo oraz finansowe zaplecze swojego stronnictwa. A uzależnieni od nich śledczy czy sędziowie mogą patrzeć na to przez palce.

Gdy Zbigniew Ziobro stawał na czele resortu sprawiedliwości, przeciętna sprawa w pierwszej instancji trwała 4,2 miesiąca. W ubiegłym roku było to już 7,1 miesiąca.

Nie twierdzę, że politycy Prawa i Sprawiedliwości mają takie intencje. Do tej pory zaplecze finansowe swojego obozu budowali raczej sięgając po środki z ministerstw czy spółek skarbu państwa. Jednak pokusa może się pojawić.

W tym kontekście Polacy i instytucje unijne (pośrednio działające także w naszym imieniu) mają wspólne interesy. KE nie chce, by politycy i związani z nimi biznesmeni czy samorządowcy przechwytywali unijne środki. Polakom na rękę jest posiadanie niezawisłego sądownictwa. Gdy więc politycy PiS wmawiają nam, że powinniśmy w imię rzekomej obrony suwerenności rezygnować jednocześnie z niezawisłości sędziowskiej oraz środków unijnych, to tak jakby mówili nam: na złość Brukseli odmroźcie sobie uszy.

Było źle, jest gorzej

Co ofiarowują nam na pocieszenie? Po pierwsze, ugruntowanie zasady, że zwycięzca w wyborach nie musi oglądać się na reguły konstytucyjne, które – jak zgodziliśmy się ćwierć wieku temu – mają trzymać go w ryzach. I że strojąc się w piórka jedynego prawdziwego reprezentanta narodu, może ustalać zasady, które spodobają się tylko zwycięzcy. Po drugie, zamiast usprawniania procedur, obiecanego uczynienia sędziego koroną zawodów prawniczych i zwiększenia społecznej kontroli nad sądami – zaoferowali wymianę kadr, zastraszanie sędziów i propagandową walkę z nimi. To nie mogło się dobrze skończyć. Przez siedem ostatnich lat Polki i Polacy nie doczekali się poprawy sytuacji w polskim sądownictwie. Spośród państw UE tylko Chorwaci mają gorsze od Polaków zdanie o niezawisłości własnych sędziów. Jak wynika z badania Eurobarometru, w 2021 r. aż 64 proc. ankietowanych Polaków na pytanie, „jak oceniasz system wymiaru sprawiedliwości w swoim kraju pod kątem niezależności sądów i sędziów" odpowiedziało „dość źle" lub „bardzo źle", zaś „dość dobrze" lub „bardzo dobrze" – tylko 24 proc. Dla porównania, jeszcze w 2016 r. optymiści (45 proc.) przeważali nad pesymistami (44 proc.).

Zmiany w systemie nijak nie przekładają się też na przyspieszenie procesów sądowych. 2021 rok był najgorszym, jeśli chodzi o długość postępowań od 2011, kiedy zaczęto publikować zbiorcze informacje. Gdy w 2015 r. Zbigniew Ziobro zaczynał swoją drugą przygodę z kierowaniem ministerstwem sprawiedliwości, przeciętna sprawa w I instancji trwała 4,2 miesiąca. W ubiegłym roku było to już 7,1 miesiąca. Wśród analizowanych postępowań (resort bierze pod lupę ok. połowy wszystkich spraw) ponad 104 tys. trwało dłużej niż trzy lata, co oznacza trzykrotny wzrost w stosunku do 2015 r. (33 tys. spraw). By to dobitnie zobrazować – jeśli, czytelniku, toczysz długą batalię z nieuczciwym kontrahentem lub twoja sprawa w sądzie rodzinnym się ślimaczy, to współwinnym jest bałagan, jakiego narobił Zbigniew Ziobro.

Niewiele wskazuje na to, że będzie szybciej. Mimo iż w kraju nie obowiązuje już stan epidemii, to sądy działają nadal w dużej mierze w reżimie covidowym. Część regulacji dających prezesom sądów i sędziom możliwość np. ograniczania jawności rozpraw nadal obowiązuje, z czego niestety skrzętnie korzysta wielu sędziów pomimo nikłego zagrożenia zakażeniem.

To jeden z wielu powodów, dla których nie tylko PiS jest odpowiedzialny za kiepską reputację sędziów. W dużej mierze jest to także wina ich samych, o czym świadczy fakt, iż także przed dojściem partii Jarosława Kaczyńskiego do władzy polscy sędziowie cieszyli się znacznie mniejszym zaufaniem niż ci z innych krajów UE. To efekt wywyższania się nad zwykłym Kowalskim (określenie „nadzwyczajna kasta" nie wzięło się znikąd) czy wydłużania postępowań nierzadko z błahych powodów. Nie zmienia to jednak faktu, iż w latach 2016-2022 zaufanie

do sądów spadło według CBOS z 45 do 33 proc., zaś odsetek nieufnych wzrósł z 42 do 53 proc. Było źle, a jest jeszcze gorzej – już nie z winy sędziów.

Sądy powszechne i tak cieszą się większym zaufaniem niż np. Trybunał Konstytucyjny. Zgodnie z badaniem CBOS „Zaufanie społeczne": ufało mu w marcu 2022 r. tylko 22 proc. Polaków (wobec 60 proc. nieufających) – gorzej wypadły tylko partie polityczne. W 2016 r. ufający (37 proc.) mieli jeszcze lekką przewagę nad nieufającymi (36 proc.). Nic dziwnego, skoro TK należy do najbardziej upartyjnionych przez PiS instytucji, wykonujących polecenia płynące z Nowogrodzkiej.

Jeśli „maile Dworczyka" dotyczące konsultacji otoczenia premiera z „panią Julią P." są prawdziwe, a niemrawe sprostowania polityków PiS wskazują na to, że są, to polityczne rozmowy mogły mieć wpływ na przesunięcie spraw dotyczących np. zaniżonych emerytur kobiet urodzonych w 1953 r., świadczeń dla rencistów opiekujących się swoimi niepełnosprawnymi bliskimi czy właścicieli nieruchomości zasiedzianych przez przedsiębiorstwa energetyczne. A to zapewne tylko początek długiej listy kwestii, w których takie konsultacje miały miejsce. Także niepublikowanie (do czasu) wyroków TK przez Beatę Szydło mogło mieć negatywne skutki dla osób, które nie miały pewności, czy wydane orzeczenie już obowiązuje – jak np. niepełnosprawni, którzy chcieli zdawać egzamin na prawo jazdy.

Kłoda pod nogi biznesu

Zmiany w Trybunale Konstytucyjnym miały spowodować, że sędziowie wezmą się „do roboty" i zaczną szybciej wydawać wyroki. Tymczasem w tym roku, do końca lipca, zapadło ich raptem 9. Od kiedy prezesem TK jest Julia Przyłębska, liczba wydawanych wyroków z roku na rok spada – w 2021 było ich 24, czyli najmniej od 1998 r. (pierwszego pełnego roku pod reżimem obecnej konstytucji).

Może to i dobrze, biorąc pod uwagę prawdopodobne uzależnienie ich treści od interesu politycznego partii rządzącej. Problem w tym, że cierpi na tym bezpieczeństwo prawne obywateli, którzy w coraz mniejszym stopniu mogą liczyć na to, że niezależny sąd konstytucyjny ujmie się za nimi, gdyby władza podjęła jakąś niezgodną z ustawą zasadniczą decyzję, która w nich uderzy. W szerszym kontekście cierpi na tym wiarygodność państwa, która będzie bardzo istotna, by w najbliższym czasie zachęcać zagranicznych inwestorów do działania w naszym kraju. Sprawne i niezależne sądy to istotny aspekt instytucjonalny prowadzenia biznesu. Źle działający wymiar sprawiedliwości utrudnia życie zarówno krajowym przedsiębiorcom, jak i zagranicznym, którzy mogliby wzbogacić naszą gospodarkę swoim kapitałem i *know-how*.

Osłabienie funkcjonowania polskiego wymiaru sprawiedliwości oraz nadwyrężenie wiarygodności otoczenia prawnego naszej gospodarki to ogromna cena, jaką zapłaciliśmy za ambicję rządzących, by udzielić władzy ustawodawczo-wykonawczej kompetencji do szerszego sterowania władzą sądowniczą. Efekty są mizerne, z czego zdaje sobie sprawę nawet premier Mateusz Morawiecki, który w wywiadzie udzielonym „Gościowi Niedzielnemu" mówił: „reforma wymiaru sprawiedliwości jest konieczna. Żałuję, że do tej pory tak niewiele udało się Ministerstwu Sprawiedliwości wykonać". Szpilka wbita konkurentowi ze wspólnego obozu nie zmienia faktu, że o te zmiany walczyła cała Zjednoczona Prawica. I że do tej pory nie chce od nich odejść, trzymając nas jako zakładników w sporze z Komisją Europejską.

Na zmianę podejścia PiS i jego koalicjantów nie ma co liczyć, bo uderzałoby to w „decyzjonistyczną" doktrynę prawną tego obozu, w centrum której stoi budowa jednolitej władzy państwowej z decydentami politycznymi trzymającymi pieczę także nad wymiarem sprawiedliwości. Opozycja jednak, zamiast skupiać się na aspekcie finansowym (choć propagandowo jest on najbardziej smakowity), powinna sama już teraz pracować nad reformami z prawdziwego zdarzenia, które nie byłyby jednocześnie nowym łamaniem praworządności. Tu chodzi o coś znacznie większego niż pieniądze z Brukseli.

© STEFAN SĘKOWSKI

Autor jest szefem publicystyki w Nowej Konfederacji i doktorantem na Wydziale Ekonomicznym UMCS w Lublinie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CONRADFESTIVAL

Natura przyszłości
całoroczny cykl rozmów **Grzegorza Jankowicza**

O własności. Spotkanie z DAMONEM GALGUTEM

- Dlaczego tak ważne jest dla nas posiadanie?
- Jak odpowiadamy na polityczny i społeczny kryzys własności?
- Jak na nasze postrzeganie własności wpływają religia i geopolityka?
- Jak utrata domu lub czegoś cennego zmienia percepcję siebie, innych i świata?
- Dlaczego czasem łatwiej zrezygnować z życia niż z przywilejów?

FOT. MICHAELA VERITY

transmisja: **czwartek | 25.08. | 19.00 | /TygodnikPowszechny**

dofinansowanie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

partner strategiczny allegro

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Warszawa, lipiec 2022 r.

W cieniu recesji

PIOTR WÓJCIK

W walce o ratowanie polskiej gospodarki nie pomoże nam słaby złoty oraz sytuacja w Niemczech. Możemy liczyć głównie na rynek pracy, którego nikomu nie udało się popsuć.

Pierwsze oznaki głębokiego kryzysu gospodarczego docierają już do Europy, także do Polski. To różnica w porównaniu z poprzednim kryzysem z 2008 r., przez który przeszliśmy jako słynna „zielona wyspa". Utrzymywaliśmy wówczas dodatni PKB nawet w najtrudniejszym okresie, chociaż nie obyło się bez wzrostu bezrobocia czy okresowego spadku realnych płac. Co prawda dziś Polska wydaje się lepiej niż wtedy przygotowana na ewentualną recesję, jednak sytuacja jest tak zmienna, że trudno przewidzieć skutki spowolnienia. Trzeba przygotować się na ciężkie czasy.

Gospodarcza huśtawka

– Od 2020 r. jesteśmy na rollercoasterze w wielu obszarach życia gospodarczego i społecznego. Skutki tych wydarzeń będziemy odczuwać jeszcze przez wiele lat – uważa Krzysztof Bocian, analityk think-tanku WiseEuropa.

Już pandemia doprowadziła do przerwania łańcuchów dostaw, co jest jedną z najważniejszych przyczyn rosnących cen. Zanim zdążyliśmy się z niej wykaraskać, do Europy nadciągnęły kolejne problemy w postaci wojny w Ukrainie i związanych z nią efektów sankcji nałożonych przez Zachód na Rosję. Gwałtownie rosnące ceny surowców energetycznych, szczególnie ropy i gazu, nie tylko podwyższają ceny konsumentom, ale też utrudniają prowadzenie działalności wielu przedsiębiorstwom.

– Pierwsze odczyty sugerują, że spowolnienie gospodarcze już nadciąga do Europy – twierdzi Bocian. – Pozostaje pytanie, czy będziemy mieli do czynienia tylko ze spowolnieniem, czy jednak z recesją. Polska zaczęła ten rok dobrze, ale wciąż nie wiemy, na ile kryzys zniweluje nasz dobry start.

Faktycznie, początek roku był zaskakujący. Nasza gospodarka w pierwszym kwartale urosła aż o 8,5 proc. Wzrost PKB napędzało gromadzenie zapasów w firmach, które obawiają się kolejnego przerwania łańcuchów dostaw. Obecnie jednak magazyny w polskich przedsiębiorstwach zapchane są już właściwie pod sufit. Może się wręcz zdarzyć, że w najbliższej przyszłości nie będzie okazji, by z nich skorzystać. Indeks PMI dla Polski, obrazujący zamówienia w przemyśle, spadł w lipcu do 42 punktów, czyli najniższego poziomu od wiosny 2020 r., gdy miał miejsce gospodarczy lockdown. Wynik poniżej 50 punktów oznacza hamowanie gospodarki, tymczasem jeszcze w maju ubiegłego roku indeks PMI dla Polski wynosił 57 punktów i był najwyższy w historii. Coraz gorsze wyniki pokazuje też Miesięczny Indeks Koniunktury, przygotowywany przez Polski Instytut Ekonomiczny (PIE) wspólnie z Bankiem Gospodarstwa Krajowego.

– Nasz wskaźnik potwierdza coraz większe spowolnienie. I podobnie jak w przypadku PMI, widać to szczególnie po stronie przemysłu, który był stabilizatorem gospodarki w czasie kryzysu pandemicznego, gdyż radził sobie dosyć dobrze nawet w warunkach lockdownów – przyznaje Andrzej Kubisiak, zastępca dyrektora PIE. – Obecnie jego kondycja jest dużo słabsza, a wpływają na to szczególnie ceny energii. One wzrosły już przed wojną, co było efektem m.in. szantażu gazowego Putina, ale po 24 lutego ceny gazu i ropy zbliżyły się do historycznych rekordów. Tymczasem sytuacja w przemyśle jest w dużej mierze zależna od kosztów energii.

Mizerne nastroje za Odrą

Kryzys gospodarczy strefy euro oraz pandemię polska gospodarka pokonała w całkiem niezłej kondycji m.in. dzięki eksportowi. Słaby złoty okazał się wtedy naszym sojusznikiem, gdyż pobudzał sprzedaż naszych towarów za granicę. Stały się one zwyczajnie tańsze, a więc bardziej atrakcyjne dla zagranicznych kontrahentów. Właśnie dlatego w 2020 r. odnotowaliśmy najlepszy bilans handlowy w historii. Problem w tym, że obecnie słaby złoty może być naszym obciążeniem, gdyż większość transakcji zakupu paliw kopalnych przeprowadzana jest w dolarach, co podwyższa nasze koszty energii. Amerykańska waluta kosztuje dziś ok. 4,60 zł, podczas gdy przed wojną za dolara trzeba było zapłacić mniej niż 4 zł, a w czasie kryzysu strefy euro – nawet mniej niż 3,50 zł. W związku z tym ceny benzyny na stacjach są najwyższe w historii, chociaż cena baryłki ropy nie przebiła maksimum z 2008 r.

– Nie można porównywać nadchodzącego kryzysu z sytuacją z 2008 r., gdy nastąpiło załamanie sektora finansowego, który rzutował na resztę gospodarki – zaznacza Kubisiak. – Nadchodzący kryzys uderzy od strony energetycznej i kosztowej, więc będzie miał zupełnie inny przebieg. Przy scenariuszu braku gazu w Niemczech przemysł u naszych odbiorców zwyczajnie stanie i wówczas żaden poziom waluty nie pomoże naszym eksporterom. Słaby złoty będzie przeszkodą w zmaganiach z inflacją, szczególnie od strony importu surowców i materiałów do produkcji.

Mimo wszystko wciąż jest szansa, że uda nam się uniknąć recesji. Według lipcowej prognozy Komisji Europejskiej w przyszłym roku wzrost PKB Polski wyniesie 1,5 proc., czyli będzie minimalnie wyższy niż w najgorszym okresie kryzysu strefy euro (2012-13). Niestety, równocześnie wzrost cen sięgnie 9 proc., więc *de facto* nad Wisłą zapanuje tzw. stagflacja, czyli połączenie wysokiej inflacji z gospodarczą stagnacją. Można się przynajmniej pocieszać, że prawdopodobnie nadal będziemy ponad kreską.

– Nasz scenariusz zakłada, że Polska powinna uniknąć spadku PKB licząc rok do roku – wyjaśnia Andrzej Kubisiak. – Część analityków prognozuje jednak, że na przełomie 2022 i 2023 r. nasze kwartalne PKB na moment spadnie poniżej zera.

Mnóstwo zależy od koniunktury za Odrą. Niemcy są naszym zdecydowanie najważniejszym partnerem handlowym, a wiele firm przemysłowych w Polsce to podwykonawcy niemieckich koncernów. W ubiegłym roku polsko-niemiecka wymiana handlowa wzrosła o 19 proc. i wyniosła aż 146 mld euro. Jesteśmy dla Niemiec piątym największym rynkiem zagranicznym – po Chinach, Holandii, USA i Francji. Dużo ważniejszym niż Rosja (60 mld euro).

– Należy też sobie zdać sprawę, że Niemcy odpowiadają za jedną czwartą unijnej produkcji – wskazuje Krzysztof Bocian. – Jeżeli największa gospodarka Europy zanotuje recesję, to bez wątpienia dotknie to pośrednio inne kraje UE, w tym Polskę.

Tymczasem nastroje u naszych sąsiadów są wręcz minorowe. Zamówienia w niemieckim przemyśle spadają już piąty miesiąc z rzędu. W całym drugim kwartale zmniejszyły się o prawie 6 proc. Z kolei indeks klimatu biznesowego niemieckiego Instytutu Badań nad Gospodarką pokazuje, że w lipcu spadł też popyt wśród konsumentów, których dusi inflacja – i tak prawie dwukrotnie niższa niż w Polsce. Co gorsza, nad Niemcami wciąż wisi groźba całkowitego odcięcia od rosyjskiego gazu, czyli kluczowego surowca dla Berlina. Kreml już przetestował w lipcu zawieszenie dostaw gazu przez ↦

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” DODATEK

FESTIWAL MIASTO SŁOWA
oraz
NAGRODA LITERACKA GDYNIA

- prezentacja książek nominowanych w tym roku autorów i autorek
- nominowanych eseistów przedstawi **ADAM LIPSZYC**
- poetów i poetki zaprezentuje **JAKUB SKURTYS**
- o prozie opowie **DOROTA KOZICKA**
- o nominowanych za przekład – **TOMASZ SWOBODA**

Zapraszamy do lektury oraz na Festiwal do Gdyni

↦ Nord Stream. Istnieje realne ryzyko, że wznowi swój szantaż przed zimą, w okresie grzewczym, gdy gaz jest szczególnie potrzebny.

– To jest element, który może doprowadzić do głębokiego tąpnięcia gospodarczego – wyjaśnia Kubisiak. – Jeśli Niemcy nie będą w stanie uzupełnić deficytów gazu, dojdzie do odłączania dostaw do tamtejszego przemysłu, z którym Polska jest bardzo mocno powiązana. Niemcy sami przyznają, że może to doprowadzić do głębszego kryzysu niż ten covidowy.

Dużo pracy nad Wisłą

Naszą sytuację mogłyby poprawić środki z Krajowego Planu Odbudowy, skąd teoretycznie powinniśmy otrzymać łącznie 35 mld euro, w tym 23 mld w bezzwrotnych dotacjach. Niestety, przedłużający się spór polskiego rządu z Brukselą o reformę wymiaru sprawiedliwości oddala nas od tych pieniędzy.

– To ponad 6 proc. rocznego PKB Polski – zaznacza Krzysztof Bocian. – Te fundusze są nam bardzo potrzebne.

– Środki z KPO są kluczowym elementem dla wzrostu gospodarczego w 2023 i 2024 roku – dodaje Andrzej Kubisiak. – Powinny wypełnić lukę inwestycyjną, która najprawdopodobniej się pojawi, gdyż przy wysokich stopach procentowych i ryzyku geopolitycznym firmy będą miały niską skłonność do inwestowania. W takiej sytuacji inwestycje publiczne powinny zastąpić te prywatne.

Jest to tym bardziej istotne, że w ubiegłym roku inwestycje w Polsce wyniosły zaledwie 17 proc. PKB, przy średniej unijnej o 5 pkt proc. wyższej. To najniższy wynik od naszego wejścia do UE, choć w nieco zapomnianym już planie Morawieckiego zapowiadano osiągnięcie poziomu 25 proc. PKB. Inwestycje w czasie kryzysu są kluczowe, gdyż hamują spadek produktu krajowego i tworzą fundamenty odbudowy gospodarki w przyszłości. Obecnie są naszą piętą achillesową.

Na szczęście mamy też mocne strony, które tworzą poduszkę bezpieczeństwa na chude czasy. Mowa tu szczególnie o sytuacji na rynku pracy. Według Eurostatu w czerwcu stopa bezrobocia w Polsce wyniosła zaledwie 2,7 proc., czyli o ponad połowę mniej niż średnia unijna. Niższe bezrobocie zanotowały jedynie Czechy (2,4 proc.), a minimalnie wyższe Niemcy (2,8 proc.). W czasie kryzysu strefy euro stopa bezrobocia w Polsce wzrosła łącznie o 3 pkt proc. i wyniosła prawie 11 proc. w 2013 r. Obecna sytuacja na naszym rynku pracy jest nieporównywalna.

Firmy nie będą ciąć kosztów za pomocą zwolnień, gdyż później będą miały ogromne problemy, żeby tych pracowników odzyskać. Bezrobocie na koniec roku nie przekroczy raczej 5,5 proc.

– Mamy rekordową liczbę wakatów w gospodarce oraz rekordowe poziomy niedoborów kadrowych raportowanych przez firmy – mówi Kubisiak. – Nasz rynek pracy jest przez to skrajnie napięty.

Bezrobocie rejestrowane liczone przez GUS – inną metodą niż Eurostat – w czerwcu po raz pierwszy w historii spadło poniżej 5 proc. To wynik, który jeszcze niedawno wydawał się nieosiągalny. Nadchodzący kryzys prawdopodobnie nie doprowadzi więc do wzrostu liczby bezrobotnych. Pracodawcy zareagują raczej rezygnując z naborów i likwidując nieobsadzone miejsca. Może być więc trudniej zmienić miejsce zatrudnienia, ale liczne zwolnienia są mało prawdopodobne.

– Firmy nie będą ciąć kosztów za pomocą zwolnień, gdyż później będą miały ogromne problemy, żeby tych pracowników odzyskać – wyjaśnia Kubisiak. – Zapewne pod koniec roku pożegnamy rekordy niskiego bezrobocia, jednak wciąż będzie ono niewielkie. Bezrobocie rejestrowane w Polsce nie powinno wtedy przekroczyć 5,5 proc. Trzeba pamiętać, że nasz rynek pracy jest sztywny w porównaniu do USA czy Wielkiej Brytanii, gdzie znacznie łatwiej można zwalniać pracowników. Dzięki temu ewentualne konsekwencje spowolnienia gospodarczego na rynku pracy zobaczymy najpóźniej.

Czy budżet to wytrzyma?

Pracodawcy będą mogli obniżać koszty w jeszcze jeden sposób – hamując wzrost wynagrodzeń. Kiedy spadnie liczba wakatów, firmom łatwiej będzie opierać się presji płacowej, gdyż zmiana miejsca pracy nie będzie już tak łatwa jak dziś. Zresztą już od maja nasze pensje rosną wolniej niż inflacja. W czerwcu średnie wynagrodzenie w Polsce wzrosło o 13 proc., natomiast wskaźnik cen konsumpcyjnych – o 15,5 proc. Biedniejemy, i to się w nadchodzących miesiącach nie zmieni.

– Dynamika wzrostu płac będzie powoli słabnąć, chociaż do końca roku utrzyma się na poziomie ok. 10 proc. – wskazuje Kubisiak. – A więc ze względu na wysoką inflację płace realnie będą spadać.

Trudne czasy czekają również budżet państwa. Wzrost cen surowców energetycznych szczególnie uderzy w biedniejsze gospodarstwa domowe, dlatego rząd postanowił zrekompensować obywatelom te koszty, jednak bez zastosowania kryterium dochodowego, więc objął tym również najzamożniejszych. Sama dopłata do węgla w wysokości 3 tys. zł będzie kosztować budżet aż 11,5 mld zł, a rząd pracuje już nad podobnym wsparciem dla użytkowników pieców spalających inne rodzaje surowców. Tymczasem największe wzrosty cen energii czekają nas dopiero w styczniu, gdy zaczną obowiązywać nowe taryfy za prąd i gaz.

Specjalna pomoc dla społeczeństwa oznacza kolejny ogromny koszt dla budżetu, ale to może nie zniechęcić rządzących. Wszak w przyszłym roku wybory, a kampania wyborcza już trwa. Drastyczny skok taryf mógłby zachwiać poparciem partii rządzącej, co może skłonić ją do hojnego kompensowania obywatelom wzrostu kosztów energii, bez oglądania się na stan finansów państwa po wyborach. Mało tego, wyższe wydatki czekają również polskie samorządy, które stracą na Polskim Ładzie i obniżce PIT od lipca, co może skłonić je do zaciągania długów i podwyższania opłat lokalnych mieszkańcom.

I jeszcze jedno. W zeszłym roku dług publiczny Polski wyniósł 54 proc. PKB, przy średniej UE aż 88 proc. Można więc powiedzieć, że mamy pewien bufor bezpieczeństwa. Problem w tym, że obecnie zadłużanie się jest znacznie droższe niż jeszcze w czasie pandemii, gdyż z powodu wojny inwestorzy oczekują od polskich obligacji znacznie wyższej premii za ryzyko. Jeśli już mamy tak drogo się zadłużać, to lepiej przeznaczyć te pieniądze na inwestycje w zieloną transformację energetyczną, niż brnąć w dopłaty do odchodzących w przeszłość paliw kopalnych.

© PIOTR WÓJCIK

Nasi najbliżsi

ADAM ROBIŃSKI

Z uwagi na fizjologiczne i genetyczne podobieństwo do człowieka wykorzystywany jest w pracach laboratoryjnych dla dobra ludzkości. Ale jako niepoliczalny, mnogi, to wciąż budzący lęk najeźdźca.

Podobno zanim uda się na obchód okolicy, szczur z Nowolipek najpierw wchodzi na przeźroczystą bryłę – Upamiętnienie Archiwum Ringelbluma. Wyłazi spod rabaty, drepcze przez chodnik, a potem maszeruje po kamiennych tablicach odsłoniętego rok temu pomnika podziemnego archiwum warszawskiego getta. Potem zawraca, by zająć się swoimi szczurzymi sprawami. Takie dostajemy wskazówki od jednej z mieszkanek kamienicy. Do tego kilka paluszków wymoczonych w maśle orzechowym, na czas transportu zawiniętych w aluminium. To będzie nasza przynęta.

Przez kolejny kwadrans sumiennie studiujemy podwórko: roślinność, architekturę, możliwe ścieżki migracyjne. Przyglądamy się okienkom piwnicznym i trawnikom, szukając w nich dziur. Rozchylamy żywopłot, wsadzamy głowy między gałęzie. W końcu dochodzimy do wniosku, że zamiast czekać na szczura z Nowolipek, pójdziemy poszukać innych. Jest lato, niedziela wieczór. Czas kanikuły, leniwych wieczorów i smażenia się pośród warszawskiego betonu, a my, zamiast korzystać z uroków spuszczonego z łańcucha miasta, będziemy szwendać się po śmietnikach.

„Wbrew pozorom to wcale nie będzie takie proste" – odpisuje Gabriela Jarzębowska, kiedy jakiś czas wcześniej proszę o wspólną wyprawę na szczury. Przekonuje, że w polskich miastach jest ich po prostu niewiele, a doniesienia o szczurzych inwazjach, w sezonie ogórkowym rozdmuchiwane przez media do absurdalnych rozmiarów, biorą się na ogół stąd, że ktoś zobaczył jednego czy dwa gryzonie i spanikował. Mimo to postanawiamy spróbować. Jarzębowska ma doświadczenie w bezkrwawych łowach na szczury jako naukowczyni, badaczka zajmująca się się antropozoologią i humanistyką środowiskową, oraz autorka opartej na pracy doktorskiej książki „Czystka gatunkowa. Tępienie szczurów jako praktyka kulturowa w Polsce powojennej".

Strzeż się wiewiórki!

– Jedynym polskim miastem, w którym widziałam szczury w większych ilościach, jest Wrocław – opowiada. – To był róg Szewskiej i Oławskiej, rzut beretem od rynku. Parę lat temu szczury były tam lokalną atrakcją, ludzie przychodzili tylko po to, by je obserwować. To miejsce szybko zyskało sławę szczurzego skwerku, więc podniosło się larum. Miasto przeprowadziło deratyzację i one zniknęły. Kiedy byłam tam kilka tygodni temu, nie widziałam już ani jednego szczura.

– Skoro jest ich w Polsce tak mało, to co to mówi o naszych miastach?

– Na pewno to, że nie są tak brudne i zaśmiecone jak np. Nowy Jork, gdzie również prowadziłam badania. Ale ja bym odwróciła twoje pytanie i zastanowiła się, co o nas, Polakach, mówi owo uderzanie w alarmistyczne tony, skoro ↦

ADOBE STOCK

↦ tak naprawdę nie mamy tu ze szczurami większych problemów.

Po wpisaniu w wyszukiwarkę internetową hasła „szczury w Warszawie" wśród wiadomości z ostatnich tygodni znajduję m.in. doniesienia z ronda Wiatraczna, gdzie mieszkańcy rzekomo boją się z uwagi na szczury wychodzić z domu. Na łamach jednego z portali pani Wioletta przekonuje, że urzędnicy powinni coś z tym zrobić i to szybko, zanim komuś stanie się krzywda.

– Owszem, są sytuacje potencjalnie groźne – kontynuuje Jarzębowska. – Na przykład takie, gdy szczur znajdzie się na terenie szpitala albo zakładu przetwórstwa żywności. Ale w miejscach takich jak to, na ulicy, na trawniku, w parku, jego obecność nie jest większym problemem niż ten pies, który na naszych oczach robi właśnie kupę. Jeśli zaraz na trawnik wbiegnie jakieś dziecko i się na nią przewróci, to efekt będzie podobny, jak gdyby potknęło się o szczurzą norę, której wlot gryzoń obślinił. W powszechnym mniemaniu dziecko plus szczur to przepis na tragedię, bo on się mu zaraz rzuci do gardła. Zwróć uwagę, że w ten sposób nie myślimy choćby o wiewiórkach.

– Dzieci są wręcz zachęcane, by je karmić – zauważam.

– No właśnie, tymczasem to wiewiórki są częściej nosicielami wścieklizny niż szczury. Ale akurat ich się nie boimy, oswajamy je, chętnie wchodzimy z nimi w kontakt. Nie dziwi nas wiewiórka, która w parku łasi się do człowieka, ale panikujemy na widok szczura, który się nas boi i tylko przemyka gdzieś nieopodal, starając się, by nikt go nie dostrzegł.

Paradygmat mnogości

Kilka encyklopedycznych faktów: mówiąc „szczur", mamy zwykle na myśli gatunek *Rattus norvegicus*, szczura wędrownego, zwanego też norweskim lub rudym, który wywodzi się z Azji Południowo-Wschodniej, ale – podobnie jak człowiek – zdołał już skolonizować wszystkie kontynenty poza Antarktydą. W naszej strefie klimatycznej sporadycznie spotyka się również przedstawicieli innego gatunku – rodzimego szczura śniadego, *Rattus rattus* – ale współcześnie jest on w mniejszości. Na przestrzeni minionych wieków jeden i drugi stały się gatunkami niemal wyłącznie synantropijnymi – przystosowały się do życia na terenach zurbanizowanych do tego stopnia, że bez sąsiedztwa człowieka występują już tylko sporadycznie.

Wiele informacji na ich temat to poszlaki i ogólne szacunki. **To, ile szczurów żyje w danym miejscu, jest ściśle związane z dostępnością jedzenia.** A więc z tym, co ląduje w śmietnikach.

Ale – jak zauważa w swojej pracy Jarzębowska – mówiąc o szczurach, można posiłkować się jeszcze innym podziałem. Z uwagi na anatomiczne, fizjologiczne i genetyczne podobieństwo do człowieka, a także niewielki rozmiar i niewielkie wymagania hodowlane, szczury od dawna wykorzystywane są w pracach laboratoryjnych: „Szczur laboratoryjny jako model do badań jest osobnikiem, formą jednostkową, nawet jeśli wielokrotnie powielaną i zabijaną w milionach. Szczury miejskie, kanałowe, postrzegane są zawsze w paradygmacie mnogości".

Szczur w liczbie pojedynczej jest obiektem badań, analiz, szczerego zainteresowania świata nauki. Szczur niepoliczalny, mnogi, to najeźdźca, o którego funkcjonowaniu w miejskiej naturze wciąż wiemy niewiele. Jarzębowska wywodzi ten status z polepszania się warunków życiowych mieszkańców miast, które z czasem zyskały drugie dno – podziemny świat kanalizacji. Okazała się ona „niespodziewanym prezentem dla nielubianego gryzonia, stworzyła mu bowiem komfortowe środowisko życia z dala od czyhających na niego drapieżników".

Miało to jednak swoje kulturowe konsekwencje. Szczury zamieszkały pod ziemią, wśród ekskrementów i brudu. Ale warstwa materialna zmieszała się również z pewną symboliką. Jak przekonuje badaczka, kiedy gryzonie wychodziły z kanałów w poszukiwaniu pożywienia, były traktowane nie tylko jak wrogowie, ale wręcz wysłannicy piekieł. Przekraczały granice, których nikt żywy naruszać nie powinien.

– Kiedy wspomniałam przyjaciółce, u której mnie zastałeś, że chcemy szukać szczurów, jej reakcja mocno mnie zdziwiła – opowiada badaczka. – „Mamy szczura", powiedziała, dokładnie w ten sposób. To mi dało do myślenia: czy ma na myśli domowe zwierzę? Musiałam ją o to dopytać, bo nie przywykłam do tego, że ludzie indywidualizują szczury żyjące na wolności. One są traktowane jak masa. Nawet jeśli widzisz jednego, mówisz o zbiorowości. Mamy tendencję do wyobrażania sobie ich jako niezindywidualizowanej masy, roju. I to ma swoje konsekwencje etyczne. Współczucie, empatia to są emocje kierowane raczej wobec bytów pojedynczych. Trudno mówić z troską o masie.

Ta masowość wynika z faktu, że – podobnie jak człowiek – szczur nie ma określonego okresu godowego. Ruja samicy trwać może cały czas, ciąża kończy się porodem po niecałym miesiącu, a już w kolejnej dobie może dojść do kolejnego zapłodnienia. W efekcie szczurzyca rodzi średnio pięć miotów rocznie, za każdym razem wydając na świat osiem lub dziewięć młodych. To wyjątkowo szybkie tempo rozrodu.

Karmienie na śmierć

Stanowisko, które znajdujemy na tyłach baru z ramenem, kieruje rozmowę na tory dotyczące języka. Urządzenie do zabijania szczurów nazywa się karmnikiem, a sam proces zadawania śmierci – deratyzacją. Karmnik deratyzacyjny – niepozorne, stojące prostopadle do ściany pudełko – sprawia, że proces likwidacji odbywa się z dala od spojrzeń człowieka. Zwierzę spożywa umieszczoną w środku trutkę, która powoduje zaburzenia krzepliwości krwi, co kończy się śmiercią, ale dopiero po tygodniu. Szczur ginie w męczarniach, wskutek wieloorganowego wylewu, zwykle w norze lub innym bezpiecznym z jego punktu widzenia miejscu. Jest od początku do końca niewidzialny. Problem znika, zanim w ogóle zdąży się pojawić.

– Co ciekawe, deratyzacja nie jest pojęciem uniwersalnym. To zbitka terminologiczna występująca w języku polskim i pewnie paru innych w tej części Europy, ale próżno szukać jej np. w angielskim – mówi Jarzębowska. – Tam mówi się raczej o kontroli szczurów lub ich eradykacji. Zwróć uwagę, że posiłkując się pojęciem „deratyzacji", momentalnie przenosimy problematykę tego gatunku w sferę sanitarną. Zabijanie staje

MARCIN WOJDAK / MATERIAŁY PRASOWE

GABRIELA JARZĘBOWSKA jest antropozoolożką, wykładowczynią na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka rozprawy doktorskiej „Czystka gatunkowa. Tępienie szczurów jako praktyka kulturowa" oraz książki pod tym samym tytułem.

się jednoznaczne z ochroną przed drobnoustrojami. W obiegu funkcjonuje skrótowiec DDD: dezynfekcja, dezynsekcja, deratyzacja – wszystko wrzucone do jednego worka.

Badaczka tłumaczy, że deratyzacja w miastach jest intensyfikowana dwa razy do roku, ale tak naprawdę to proces stały, nieprzerwany, niepoliczalny. Przepisy nakładają bowiem na właścicieli i najemców lokali gastronomicznych obowiązek prewencji.

Skuteczną, choć często ignorowaną praktyką jest stawianie tzw. trzech zapór. Pierwsza linia pułapek powinna być ustawiona wewnątrz, druga wzdłuż muru budynku, trzecia na granicy działki. Patrząc na starannie, jeden za drugim, ułożone przy ścianie karmniki i przylegający do nich śmietnikowy pierdolnik, trudno oprzeć się wrażeniu, że to pierwsze staje się niejako usprawiedliwieniem dla drugiego. Ociekająca sosem baranina z kebaba albo walające się w kącie stare pieczywo – darmowa stołówka dla szczurów, a więc źródło ich miejskiego dobrobytu – zdają się nikomu nie przeszkadzać, bo towarzyszą im pułapki.

Nasze poszukiwania wciąż nie przynoszą efektu – choć przykładów ilustrujących problem koegzystencji ludzko-szczurzej widzimy bez liku, to jednak nijak nie udaje nam się natknąć na żywe zwierzę. Decydujemy się wędrować wzdłuż alei Jana Pawła II, gdzie obfitość barów i restauracji daje nadzieję na sukces.

– Skąd się wzięły te szczury jako temat na karierę naukową? – pytam.

– Zajmowałam się wcześniej kwestiami związanymi ze zrównoważoną polityką miejską, zwierzętami w miastach, relacjami międzygatunkowymi. Kiedy myślałam o pracy doktorskiej, wiedziałam, że muszę temat zawęzić. Najbardziej interesowały mnie zjawiska, które wymykają się optymistycznej wizji koegzystencji. Jednym z pomysłów były gołębie...

– Mam wrażenie, że gołębie są traktowane tak samo jak szczury, tylko ze skrzydłami.

– A to przecież piękne ptaki! Ktoś powie, że przenoszą ornitozę, chorobę ptasią. Tylko że mogą to robić również wszystkie inne ptaki, które wokół nas żyją. No, ale społecznym statusem gołębi parę osób już się zajmowało. Tymczasem szczurów prawie nikt nie ruszał.

Zwiastun apokalipsy

Niewidzialność i stereotypowa masowość dzikich szczurów sprawiają, że wiele informacji na ich temat to poszlaki i ogólne szacunki. Wiemy, że co roku w laboratoriach ginie ponad 2,5 mln szczurów. Dane z początku wieku sugerują z kolei, że na ulicach samych tylko brytyjskich miast co roku zabijanych jest ich 20 mln. Aglomeracje to wyjątkowo dynamiczne ekosystemy, o dużym stopniu skomplikowania, co czyni analizowanie ekologii gryzonia wyjątkowo trudnym. To, ile szczurów żyje w danym miejscu, jest ściśle związane z dostępnością jedzenia. A więc z tym, co ląduje w śmietnikach.

Na drugi plan spychane jest to, o czym my, ludzie, myślimy w pierwszej kolejności – dach na głową. Szczurom schronienie dają – oprócz kanalizacji – piwnice, szczeliny w budynkach, fundamenty. Nic – poza betonem – nie stanie im na przeszkodzie, jeśli gryzonie zechcą kopać własne nory. Zdarza się, że robią to na widoku, a ludzie mijają takie porośnięte trawą dziury, nie zdając sobie sprawy z ich funkcji. Myśląc o szczurach, trzeba jeszcze wiedzieć o ich terytorializmie gatunkowym. Choć w nazwie ma przymiotnik „wędrowny", *Rattus norvegicus* nie lubi się szwendać. Na ogół żyje w miejscu, w którym przyszedł na świat, a granicą siedliska konkretnej grupy jest zwykle szeroka jezdnia lub rzeka. „Populacja szczurów – pisze Jarzębowska – obejmuje grupy krewniacze składające się z dominującego samca, chroniącego terytorium przed innymi samcami, i jednej lub kilku samic z potomstwem".

Barierą, wzdłuż której się przemieszczamy, jest wielopasmowa arteria Śródmieścia. Sygnał, by stanąć, wyłapują nasze nosy.

– Ten zapaszek! – śmieje się Jarzębowska, choć ma na myśli smród gnijącego jedzenia, który dolatuje z zaplecza jakiegoś baru. Kontenery są przeładowane, frakcja sucha wysypuje się na chodnik. Decydujemy się wyłożyć przynętę. Rozmowę kontynuować będziemy zatykając nosy. Przez ponad kwadrans, i to na marne, bo mimo tego poświęcenia żaden szczur nie zaszczyci nas swoją obecnością.

– Wiesz, dla mnie temat szczurów to kwintesencja wielu patologii, które trawią naszą cywilizację – twierdzi Jarzębowska. – Mam na myśli nadwyżki żywności i jej marnowanie, krwiożerczy kapitalizm, który pożera własny ogon, niekontrolowany rozrost miast. Ale również ↦

↦ grantowy system finansowania nauki. Jak mamy lepiej poznać ekowlogię dzikiego szczura, a potem wdrażać jakieś nowe rozwiązania kontrolowania ich populacji, skoro nikt ich nie bada?

– A spotkałaś się z przypadkiem, żeby ktoś upominał się o ich dobrostan, tak jak upominamy się choćby o wieloryby?

– PETA [organizacja Ludzie na rzecz Etycznego Traktowania Zwierząt – AR] przeprowadziła dawno temu akcję społeczną, w której mówiła, że nie powinniśmy zabijać szczurów. Tylko że nie proponowała nic w zamian. Żadnych konkretnych pomysłów, żadnych rozwiązań. Biorąc się za ten temat, miałam szczytny cel. Liczyłam na to, że być może moje badania staną się podstawą do wypracowania jakichś nowych praktyk. Tymczasem *post factum* to jest mierzenie się z bezradnością. Mamy w systemie prawnym i etycznym jakieś wytyczne dobrostanowe, przynajmniej w teorii chcemy, żeby zwierzęta jak najmniej cierpiały. Tymczasem w przypadku szczurów w ogóle nie ma o tym rozmowy. Wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby nagle prezydent Trzaskowski oświadczył, że Warszawa chce deratyzować w sposób humanitarny?

– Zostałby memem.

– Nie ma społecznego przyzwolenia na to, by w szczurach widzieć coś innego niż tylko znienawidzony, smrodliwy śmieć – mówi Jarzębowska.

Jej zdaniem szczur jest symbolem zacofania, równoznacznym ze zbitą szybą na przystanku autobusowym. Nie zwierzę, które, niczym kawka czy wiewiórka, w mieście po prostu mieszka, ale zwiastun apokalipsy. Plaga.

Przez cały wieczór ani razu nie uśmiecha się do nas szczęście. Mimo doświadczenia Jarzębowskiej i jej obycia w podglądaniu szczurów w akcji warszawskie gryzonie pozostają ulotne. Tylko raz, w parku Mirowskim na moment podskakujemy z emocji na widok czegoś drepczącego po trawniku. Ale to nie szczur, tylko jeż. Obchodzimy halę handlową, licząc na powab tamtejszych śmietników. Zaglądamy w bramy, żartując, że kryje się za nimi widok rodem z nowojorskiego Chinatown, gdzie szczury mają się świetnie.

W końcu godzimy się z porażką. Zamiast wypatrywać gryzoni, rozmawiamy o nielicznych pozytywnych aspektach ich wizerunku – oscarowej animacji „Ratatuj" czy filmiku z nowojorskiego metra, na którym szczur ciągnie po schodach duży kawałek pizzy. Według Jarzębowskiej nikt nie zrobił dla sprawy szczurów tyle, co ów parosekundowy klip zatytułowany „Pizza rat".

> Jeśli wierzyć filmom i literaturze, kiedy już my, ludzie, wzajemnie się pozabijamy, a planetę napromieniujemy, szczury staną się jej gospodarzami. **Niewiele w tym prawdy.**

Nisza „postapo"

Chcę wiedzieć, jak ona – ekspertka od znienawidzonego mieszkańca naszych miast – zaczyna rozmowy o swojej pracy. Jakich argumentów używa? Czy mówi o potrzebie pokojowej koegzystencji, czy tylko o mniej bezlitosnym zabijaniu?

– Zależy z kim rozmawiam. Moje stanowisko też nie jest jednoznaczne. Jestem przeciwniczką zabijania, uważam, że powinniśmy dążyć do tego, by żyć z innymi organizmami w sposób pozbawiony przemocy. Ale wiem, że są różne sytuacje i wiele z nich wymaga podjęcia działań naznaczonych jakąś formą przemocy. Chodzi o to, żeby te działania były jak najrzadsze. To my jesteśmy odpowiedzialni za patologiczne zjawiska związane z konsumpcją, które skutkują tym, że szczury intensywnie się rozmnażają. My fundujemy im te luksusy, a potem na dokładkę przemoc i śmierć w męczarniach. W dużej mierze z lenistwa. Niezależnie od tego, po której stronie stoimy – czy opowiadamy się za pokojową koegzystencją różnych gatunków, czy mamy bardziej mainstreamowy punkt widzenia na rolę człowieka w środowisku – musimy wreszcie zacząć rozmowę o tym, by metody, które stosujemy w kontroli populacji szczurów, były bardziej humanitarne i zrównoważone. To, co robimy teraz – dajemy im się rozmnażać, a potem masowo trujemy – jest kontrproduktywne.

Zanim się rozstaniemy, na światłach ronda ONZ pytam jeszcze o popkulturę. Jeśli wierzyć filmom i literaturze, kiedy już my, ludzie, wzajemnie się pozabijamy, a planetę napromieniujemy, szczury staną się jej prawdziwymi gospodarzami. Ale jeśli dobrze rozumiem to, o czym rozmawialiśmy, nie ma w tych wizjach z nurtu postapokaliptycznego za grosz prawdy.

– Jestem humanistką, a nie biolożką, mogę tylko spekulować. Ale jeśli szczur rozwija się w otoczeniu człowieka, to gdy człowieka zabraknie, wtedy i szczur wymrze. Jasne, na początku jego populacja wystrzeli, no bo przecież jedzenia będzie pod dostatkiem. Ale ono się szybko zepsuje albo zostanie zjedzone. Potem szczury nie będą już miały czego szukać na ruinach naszych miast. Będą zmuszone szukać nowej niszy ekologicznej, gdzieś zupełnie indziej. I pewnie ją znajdą. Ale na pewno nie będą już żyły w takim dobrobycie jak u pana człowieka za piecem.

© ADAM ROBIŃSKI

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu

dr hab. Iwony Sowińskiej

emerytowanego pracownika Instytutu Kultury
Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W osobie Zmarłej społeczność akademicka utraciła znamienitą
znawczynię muzyki filmowej, wspaniałego nauczyciela,
Osobę pełną ciepła i życzliwości.

Rodzinie i bliskim Zmarłej
koleżanki i koledzy z Instytutu Kultury Uniwersytetu Jagiellońskiego
składają wyrazy głębokiego współczucia.

DOROTA

Masłowska: *Biedalajki*

Znam tę plażę w każdej odsłonie. Jej zimowe melancholie, czarne sztormy, srebra, zimne zielenie, potem znów technikolory wiosny. Znam ją wrogą i posępną, ale i beztroską, i słoneczną jak słoneczny patrol. Z morzem spienionym i gniewnym albo płaskim jak stół, prawie nieruchomym. Jak zimne, płynne lustro, w którym można się zanurzyć. Przez większość roku jest tu pusto. Tylko latem nagły napływ rejestracji. GA, ale też WX. KR, CT, ale i DW czy ZS. Do tego cyfry. Rozwinięciem sekwencji są naklejki: z rybą, „sfinansowane z 500+", Polska Walcząca, Strajk Kobiet. Lubię rozkodowywanie tych numerów seryjnych, za każdym stoi jakiś unikalny ludzki układ. Para, rodzina mniej lub bardziej standardowa. Konkubinat, patchwork, kredyt lub tinder. Dwójka albo Antyradio. Radio Maryja albo TOK Fm. Skorupy po MacZestawach albo ogryzki po organicznych jabłkach.

Plaża bezkresna i płaska, o dużej ekspozycji, przypomina tu trochę scenę czy wybieg. Wydma i sosnowy lasek robi za backstage, garderoby, toalety. W sezonie z dnia na dzień namnażają się tam wykwity podpasek, zgubionych klapków, pieluch i dziecinnych majteczek. W oddali gramolą się po horyzoncie wielkie towarowce, promy. Gdakanie dzieci z łopatkami. Dzieci grubaski. Dzieci patyczki. Niespokojne kobiety ganiające za nimi z tubkami kremu. Figura mężczyzny trzymającego się pod boki. Jak zatroskany trener dzierżący brzuch-piłkę patrzy na morze, oblicza ratę. Jest w tym coś odwiecznego. Zmieniają się tylko gadżety. Zamiast latawca, dron. Zamiast oczu, smartfon.

Idziemy brzegiem z psem. Jakaś kobieta nas filmuje. Bezmyślnie, z braku innych tematów, napatoczyliśmy się. Ale po co jej tam my? Ten dziwny, mimowolny występ naszego życia w jej bezsensownym filmie, nawet jeśli nikt go prawdopodobnie nie obejrzy, przyprawia mnie o dziwną zaborczość. Czyja jest bardziej tkanka tej chwili? Jej czy nasza? Czy ktoś może po prostu nas wziąć? Zakląć w megabajtach, zabrać do domu (WR, GD albo FZ) i tak sobie mieć?

Smartfony są jak elektroniczny dozór. Elektroniczna klątwa ciążąca na ludzkości. „Obyście nie byli szczęśliwi, obyście nie byli spokojni" – zdają się powtarzać z kieszeni, dłoni, selfie sticków. Ta plaża, krawędź świata, na której można się rozłożyć i patrzeć w dal, w nicość albo we wszystkość, charakteryzuje się zwiewnością, wzmożoną ulotnością. Nie da się (ciągle jeszcze) kupić tu działki, wygrodzić fragmentu morza, zmelioryzować go, wstawić przyczepy, posadzić tui. Wiatr przepędza stąd, prędzej czy później, wszystkie ludzkie konstrukcje. Piasek pochłania największe, najbardziej misterne zamki. Parawany i budowane z nich w ciągu dnia najprzedniejsze grody, warownie, półmiasta, trzeba rozebrać i następnego dnia budować od nowa. Nic się nie da tu (póki co) kupić. Nic się tu nie dzieje oprócz morza, piasku, nieba. Ludzie leżą albo siedzą, chodzą i wychodzą, kąpią się i wycierają, pojawiają się i znikają w innym wyjściu. Chyba po to się tu przyjeżdża, po tę ulotność. Życie układa się tu w efemeryczne figury, słabe, lekkie kształty. Łapane na matryce, niewolone na dyskach duchy chwil znikają. Wszystko, co jest tu magiczne i piękne, na zdjęciu płoszy się i zostawia banał, nieciekawy powidoczek, pod którym zostawia serduszko tylko twoja stara.

Mimo to od rana toczą się prace utrwalające. Ludzie próbują jakoś złowić, uwięzić, posiąść spędzany tu czas. Telefony trzymane przez wszystkich w dłoniach wyglądają jak szkła powiększająco-urealniające. Tak jakbyśmy dopiero widząc to wszystko na ekranie, oszacowując zebrany materiał pod kątem upublicznienia – ile może osiągnąć lajków – widzieli, co widzimy, czuli, co czujemy, gdzie jesteśmy. Sama rzeczywistość w tym świetle jest zbyt rzadka, mało wyraźna, niewystarczająca. A może właśnie za gęsta? Zbyt męcząca, trójwymiarowa, zmysłowo angażująca? Niewygodna, brudząca, za zimna albo za ciepła, mozolna, oporna i stąd pokusa, by zamieniać ją na płaskie obrazki. Złapać ją w idealny kadr i móc wreszcie wrócić do domu, obejrzeć serial.

Ciułając swoje minuty i siły na każdym kroku jakoś nagle nie żałujemy ich, by supercenne, mieniące się kawałki żywego życia zamieniać w bezwartościowe obrazki. Tak jakbyśmy sami swoją rzeczywistością niezainteresowani – bezskutecznie próbowali wciskać ją do przeżywania innym ludziom. Ci zaś, rzuciwszy okiem, dotknięciem palca zostawiają nam biedalajka i przewijają dalej. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

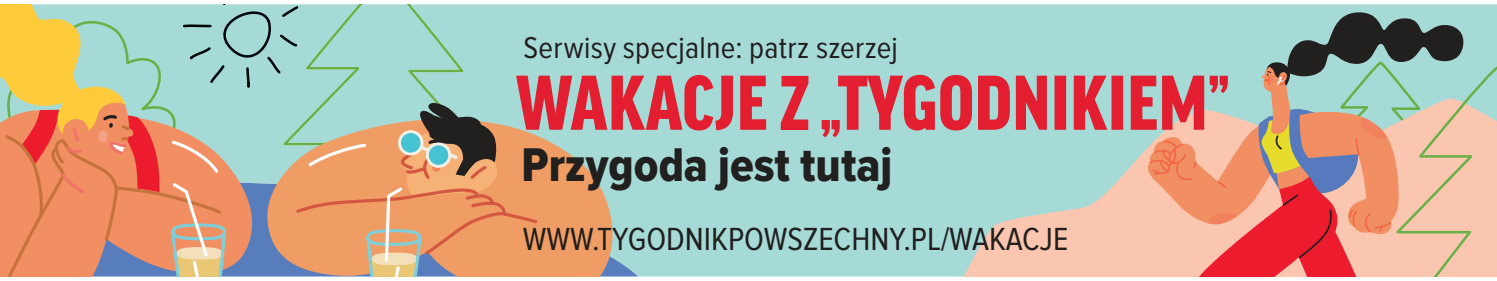

WIARA

BOSKI ANTYKLERYKALIZM

Tam, gdzie świeccy biorą odpowiedzialność za wspólnotę, Kościół staje się miejscem, w którym doświadczyć można zdrowych, wspierających relacji i rozwijać otrzymane od Boga talenty.

PIOTR SIKORA

Czterystu jeden w 2013 roku. Dwustu siedemnastu w roku 2022. Tylu diakonów diecezjalnych zostało wyświęconych w Polsce na księży (czyli, mówiąc językiem ściśle teologicznym, na prezbiterów). Spadek w ciągu dekady niemal dwukrotny. Proporcje wśród zakonników są podobne. A spadek liczby nowo wyświęcanych księży będzie przyspieszać. Tegoroczni neoprezbiterzy zgłosili się do seminarium sześć lat temu. Od tego czasu kandydatów nadal ubywa. W tym roku nikt nie zgłosił się do seminarium w Bydgoszczy. I już się nie zgłosi, gdyż nowy biskup bydgoski Krzysztof Włodarczyk postanowił seminarium zamknąć, a wszystkich kleryków (sześciu) wysłać do Poznania. Analogiczne decyzje podjęli biskupi świdnicki i legnicki, kierując kleryków do Wrocławia.

Biskup opolski Andrzej Czaja ogłosił, że z powodu braku księży jest zmuszony połączyć sześć samodzielnych dotąd parafii z parafiami sąsiednimi. Skala problemu staje się jeszcze wyraźniejsza, gdy zestawi się przewidywaną liczbę nowych księży z liczbą tych, którzy odejdą w najbliższym czasie na emeryturę. W opolskim seminarium uczy się obecnie 28 kleryków. Biorąc pod uwagę, że zwykle połowa odchodzi przed święceniami, biskup przewiduje, że do 2027 r. wyświęci 14 prezbiterów. W tym czasie emerytami zostanie około 70.

PIOTR DZIURMAN / REPORTER

Kościół Najświętszego Serca Jezusa w Bojanowie. 3 lipca 2021 r.

Opole nie jest wyjątkiem na mapie Polski. Szczegóły mogą się różnić w zależności od miejsca, ale tendencja jest wszędzie taka sama. Do łączenia parafii dochodzi w archidiecezjach częstochowskiej i łódzkiej oraz w diecezji łowickiej. Nie ma zapewne w Polsce biskupa, który by się nie zastanawiał, kiedy będzie zmuszony podjąć podobne działania.

Niepotrzebny ksiądz

Przyczyny spadku liczby księży i kleryków są złożone. Jedną z nich – najczęściej wskazywaną – jest postępująca sekularyzacja społeczeństwa, najszybciej zachodząca w młodym pokoleniu. Sekularyzacja spowodowana jest wieloma czynnikami. Bardzo istotnym jest rosnąca świadomość opłakanego stanu kościelnych instytucji. Od lat co rusz wychodzą na jaw kolejne przypadki przestępstw seksualnych popełnianych przez księży oraz ich tuszowania przez biskupów i innych przełożonych. Poznajemy fakty wskazujące na autorytarny charakter struktur, dowiadujemy się, jak księża są traktowani przez przełożonych w sytuacji różnicy zdań i konfliktu: słyszymy, że otrzymują zakazy wypowiedzi, są pozbawiani pełnionych funkcji, a nawet możliwości celebrowania Eucharystii (najjaskrawszym tego przykładem była sprawa ks. Wojciecha Lemańskiego). W przestrzeni publicznej pojawiają się także opowieści byłych księży i kleryków o tym, jak byli traktowani w seminarium lub w parafii. Sporo w nich wątków dotyczących mobbingu, samotności, niezrozumienia.

↦

↦ Warto jednak zauważyć także zupełnie innego rodzaju przyczynę spadku liczby chętnych do kapłaństwa. Można ją określić jako wewnętrzną i pozytywną. By zrozumieć, na czym polega, warto zacząć od przyjrzenia się liście osób ważnych dla różnych „odnóg" polskiego katolicyzmu. Nurt charyzmatyczny nie rozwijałby się prężnie bez Marcina Zielińskiego, Karola Sobczyka i Aleksandra Bańki. Trudno sobie wyobrazić środowiska tradycjonalistyczne bez Pawła Milcarka czy Tomasza Rowińskiego. Ogromny wpływ nie tylko na katolicyzm otwarty mają Zbigniew Nosowski i Sebastian Duda z „Więzi". Ważną postacią dla środowisk medytacyjnych jest Dariusz Hybel – jeden z dwóch nauczycieli Ośrodka Medytacji Chrześcijańskiej przy klasztorze benedyktynów w Lubiniu. Zaangażowanie charytatywne Kościoła byłoby o wiele uboższe bez Piotra Żyłki i Zupy na Plantach. Nieliczne, ale coraz silniejsze środowiska progresywne prawdopodobnie nie istniałyby bez twórców Magazynu Kontakt – Miszy Tomaszewskiego i Ignacego Dudkiewicza.

Wymieniłem jedynie mężczyzn, ponieważ jak dotąd Kościół katolicki udziela sakramentu święceń tylko mężczyznom. Żaden zaś z wyżej wymienionych sakramentu tego nie przyjął. Mimo to każdy z nich jest liderem jakiejś wspólnoty czy środowiska. Działalność takich osób (jest ich znacznie więcej niż wyżej wymienieni) ujawnia fundamentalną zmianę, jaka dokonała się w polskim Kościele przez ostatnie 30 lat.

Jeszcze w latach 90. XX w. dominowało przekonanie, że chłopak, który chce się zaangażować w życie Kościoła, ma zasadniczo jedną drogę: zostać księdzem. Dzisiaj dla wielu, a może i dla większości młodych ludzi jest oczywiste, że nie trzeba przyjmować święceń, by być katolikiem nie tylko pogłębiającym własną wiarę, ale pełniącym ważne funkcje w kościelnej wspólnocie, głoszącym Ewangelię czy podejmującym inne zadania „duszpasterskie".

Odpowiedź na pytanie, po co zostać księdzem, jest coraz mniej oczywis ta. Pytanie to ma dwa poziomy: teologiczny, na którym chodzi o kwestię fundamentalnej tożsamości prezbitera, oraz „organizacyjny" – z dylematem, po co wchodzić w strukturę, która jest (przynajmniej częściowo) toksyczna i coraz gorzej postrzegana w społeczeństwie.

Duchowna samoświadomość

Czy w środowiskach duchownych rośnie świadomość konieczności przemyślenia własnej tożsamości, czy też uwaga skupia się raczej na coraz bardziej negatywnym społecznym odbiorze księdza? W wypowiedziach biskupów i księży dominuje lament nad upadkiem statusu duchownego i szukanie winnych tego procesu „na zewnątrz" – czyli w mediach lub szerzej – w nieprzyjaznej Kościołowi kulturze.

Znacznie mniej przemyślana wydaje się kwestia pierwsza – pytanie o tożsamość księdza. Kim on w istocie jest i jakie jest jego miejsce we wspólnocie Kościoła? Znamienna jest w tym kontekście niedawna wypowiedź ks. dr. Piotra Kota, przewodniczącego Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych. W wywiadzie dla KAI, w odpowiedzi na pytanie o kryzys „powołań", sformułował następujący postulat: „Dobrze by się stało, gdyby w każdej parafii wierni spotkali się ze sobą i zastanowili się nad tym, dlaczego od wielu lat nikt z ich wspólnoty nie zaangażował się w misję Kościoła".

Z kontekstu rozmowy można wywnioskować, że ks. Kot utożsamił zaangażowanie się w misję Kościoła ze wstąpieniem do seminarium duchownego. Czyż nie jest to jednak przejaw myślenia klerykalnego, które zupełnie nie przystaje zarówno do współczesnych realiów, jak i do treści fundamentalnych źródeł katolickiego rozumienia Kościoła, tj. ksiąg Nowego Testamentu? A przecież mamy do czynienia z wypowiedzią osoby zajmującej ważne stanowisko w kościelnym systemie formacji księży.

Są księża, którzy widzą sprawy inaczej. Krakowski biblista ks. Wojciech Węgrzyniak pisał na swoim blogu, że tak naprawdę „ksiądz jest koniecznie potrzebny do sprawowania Eucharystii, spowiedzi, namaszczenia chorych" i że patrząc z tej perspektywy, księży w Polsce nie brakuje, gdyż nikt nie jest pozbawiony dostępu do sakramentów. Większość innych zadań, które do tej pory były domeną księży, mogliby z powodzeniem – uważa Węgrzyniak – przejąć od nich świeccy.

Nie trzeba być księdzem, by organizować materialne funkcjonowanie wspólnoty. Nie trzeba nim być nawet po to, by towarzyszyć duchowo siostrom i braciom w wierze, by rozwijać teologiczny namysł nad wiarą, by nauczać tych, którzy mniej wiedzą i rozumieją, ani by głosić ją tym, którzy jeszcze jej nie znają.

POŻEGNANIE

Z wielkim zalem zawiadamiamy, że 4 sierpnia 2022 r. zmarł

Ś.† P.

Wojciech Sikora

Prawy człowiek i przyjaciel.
Członek krakowskiego Studenckiego Komitetu Solidarności.
Wieloletni dyrektor i opiekun Instytutu Literackiego w Paryżu.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się 18 sierpnia 2022 r.
o godz. 15 w kościele w Le Mesnil le Roi pod Paryżem,
następnie Zmarły spocznie na miejscowym cmentarzu
przy Rue du Repos.

Zamiast kwiatów na grób Zmarłego prosimy
o przekazanie datku na rzecz walczącej Ukrainy:

www.polonaisessansfrontieres.org/

nr konta: FR7617515900000801881024543

Zespół Instytutu Literackiego w Paryżu i Rodzina

Synodalna diagnoza

W tym kontekście warto zwrócić uwagę na diagnozy zawarte w większości syntez synodalnych sformułowanych w diecezjach. Wynika z nich bezsprzecznie, że polski Kościół jest ciężko chory na klerykalizm: że księża mają bardzo słaby kontakt ze świeckimi, często traktują Kościół jako swoją własność, niechętnie rezygnują z kontroli tego, co się dzieje we wspólnocie. Z drugiej strony – to też ujawniło się w synodalnych syntezach – sami księża funkcjonują w sztywnej strukturze, mają słaby kontakt z przełożonymi, zwłaszcza z biskupami, są często osamotnieni, zmuszeni do lawirowania i hipokryzji.

Syntezy synodalne pokazały także, że klerykalizm jest zakorzeniony w wielu środowiskach świeckich. Od tej strony przybiera on inne formy – np. traktowania Kościoła jako „instytucji usług duchowych", niechęci do brania odpowiedzialności za wspólnotę, a nawet za własną wiarę. Tacy katolicy zawieszają się na duchownych, traktowanych jako osoby bliższe Bogu i sferze ducha, obdarzone z automatu niepodważalnym autorytetem.

Ostatni aspekt synodalnych diagnoz może wydawać się sprzeczny z procesem opisanym wyżej – czyli z tym, że osoby bez sakramentu święceń odgrywają coraz ważniejszą rolę w polskim Kościele. Jest to jednak sprzeczność pozorna. Kościół w Polsce jest po prostu zróżnicowany, bo są środowiska bardziej klerykalne, w których ksiądz pozostaje koniecznym centrum wspólnoty, i są takie, w których jest jednym z wielu współodpowiedzialnych. To jednak te drugie wydają się żywe i prężne.

Ewangeliczny ideał

Jeśli rzeczywiście najbardziej żywe są te środowiska, w których oczywiste jest, że osoby świeckie pełnią ważne, także „liderskie" czy „duszpasterskie" funkcje we wspólnocie, to tzw. kryzys powołań można postrzegać raczej jako proces zmiany (być może radykalnej) niż jako aspekt upadku Kościoła. Zmiana ta zapewne stwarza rozmaite trudności, ale z drugiej strony może być szansą na reformę polskiego katolicyzmu, zbliżającą go do ewangelicznego ideału.

Znacznie bliżej owego ideału znajdują się wspólnoty, w których wszyscy biorą odpowiedzialność za rozwój wiary, wszyscy bowiem są do tego przez Boga powołani. Taką właśnie wspólnotę opisuje św. Paweł: „Ustanowił Bóg w Kościele najprzód apostołów, po wtóre proroków, po trzecie nauczycieli, a następnie tych, co mają dar czynienia cudów, wspierania pomocą, rządzenia oraz przemawiania rozmaitymi językami" (1 Kor 12, 28). Tekst ucznia Pawła, autora Listu do Efezjan, dowodzi, że ów pluralizm trwał także w następnym pokoleniu chrześcijan – oraz że możliwe były modyfikacje szczegółowego rozkładu powołań: „On ustanowił jednych apostołami, innych prorokami, innych ewangelistami, innych pasterzami i nauczycielami dla przysposobienia świętych do wykonywania posługi, celem budowania Ciała Chrystusowego, aż dojdziemy wszyscy razem do jedności wiary i pełnego poznania Syna Bożego, do człowieka doskonałego, do miary wielkości według Pełni Chrystusa" (Ef 4, 11-14).

> Radykalny spadek liczby kleryków, coraz mniejsza liczba nowo wyświęcanych księży, a więc czekający nas ich brak, **to zjawiska opatrznościowe.**

Wedle ewangelicznego ideału różnorodność funkcji spełnianych we wspólnocie przez jej rozmaitych członków służy religijnemu rozwojowi wszystkich – „dojściu wszystkich razem do (...) miary wielkości według Pełni Chrystusa". Nie powinna zatem wiązać się z hierarchizacją, różnicowaniem na tych ważniejszych i tych mniej ważnych. Pamięć, że taka była wizja samego Jezusa, została przechowana w Ewangelii Mateusza, gdzie zapisano słowa: „Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus" (Mt 23, 8-10).

Błogosławiony kryzys

Rzut oka na historię Kościoła pozwala zobaczyć, że taki ewangeliczny ideał w późniejszych wiekach realizowany był raczej na peryferiach chrześcijaństwa niż w jego głównym nurcie. Kościół się sklerykalizował – powstał „stan duchowny", do którego wejście stało się niemal koniecznym warunkiem posiadania wpływu na kształt wspólnoty. Co jakiś czas pojawiały się próby reformy, żadna jednak nie dawała powszechnych i trwałych rezultatów.

Można powiedzieć, że jesteśmy świadkami lub uczestnikami kolejnej takiej próby, tym razem zainicjowanej w katolickim centrum, w Rzymie. Jest nią trwający synod o synodalności.

W krajowych i diecezjalnych syntezach z różnych części świata ujawniają się ciekawe podobieństwa i różnice w kwestii relacji wspólnota–księża. Z jednej strony klerykalizm jest powszechnie rozpoznawany jako podstawowa „choroba" dręcząca katolickie chrześcijaństwo. Z drugiej – różnice pomiędzy opublikowanymi dotąd syntezami sugerują, że klerykalizm jest tym mocniejszy, im mocniejszy (czyli m.in. bardziej liczny) jest „stan duchowny" w danym Kościele lokalnym. Syntezy powstałe w miejscach, w których księży nie ma wielu, gdzie świeccy biorą odpowiedzialność za wspólnotę, częściej przedstawiały „jaśniejszy" obraz Kościoła – jako miejsca, w którym doświadczyć można zdrowych, wspierających relacji międzyludzkich, gdzie można być potrzebnym i rozwijać otrzymane od Boga „talenty".

Gdy próbuje się zinterpretować synodalne głosy w perspektywie wiary, pojawia się myśl, że radykalny spadek liczby kleryków, coraz mniejsza liczba nowo wyświęcanych księży, a zatem czekający nas w Polsce brak prezbiterów, jest zjawiskiem opatrznościowym. Być może z Bożej perspektywy polskiemu katolicyzmowi potrzebne jest zamknięcie niemal wszystkich seminariów i brak księży. Byłaby to niewątpliwie droga do zupełnie innej postaci Kościoła niż ta, którą znamy. Jak miałaby wyglądać? Nie wiem.

Jeśli taka niewiadoma kogoś przeraża, to warto pamiętać, że kształt chrześcijaństwa nieraz już się zmieniał. O jednej z pierwszych wspólnot Pismo mówi tak: „W Antiochii, w tamtejszym Kościele, byli prorokami i nauczycielami: Barnaba i Szymon zwany Niger, Lucjusz Cyrenejczyk i Manaen, który wychowywał się razem z Herodem tetrarchą, i Szaweł" (Dz 13, 1). O biskupach i prezbiterach ani słowa. A był to Kościół nie gorszy niż ten dzisiejszy w Krakowie czy Rzymie.

©℗ PIOTR SIKORA

Jaki Kościół, taka wiara. I odwrotnie.

WACŁAW OSZAJCA SJ

Parafia ma przed sobą przyszłość tylko pod warunkiem, że pomoże człowiekowi odnaleźć punkt odniesienia w Chrystusie, a przestanie był miejscem prowadzenia handlu wymiennego z Bogiem.

Bywa że tym, co nam przeszkadza w mszy, jest obecność innych ludzi, z księdzem i organistą włącznie. Dlatego po przyjęciu „chleba, który zstąpił z nieba", i powrocie do ławki, klękamy, zamykamy oczy i skupiamy się na Panu Jezusie. Chcemy być z Nim sam na sam, tylko ja i mój Pan. Z rozpędu mówimy „Ojcze nasz", ale słyszymy „Ojcze mój".

Ci, których nazywamy braćmi i siostrami, nie dość, że nie pomagają, to jeszcze przeszkadzają nam w modlitwie, czyli w zaopatrywaniu się w towary pierwszej potrzeby, które można nabyć tylko w kościele, jak zdrowie, pomyślne wyniki egzaminów, szczęśliwa podróż i lepsza praca. O to się modlimy, zapominając, że „jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie" (1 Kor 15, 19).

Skąd wzięło się uprzedmiotowienie liturgii i jej sprywatyzowanie? Dlaczego parafia, podstawowa komórka Kościoła, stała się sieciówkowym punktem usługowym ślubno-chrzcielno-pogrzebowym?

Dozorcy popiołów

W *editio tipica* (oryginale łacińskim) „Mszału rzymskiego" czytamy: *„Fratres, agnoscamus peccata nostra, ut apti simus ad sacra mysteria celebransa"*, co w wolnym przekładzie znaczy: „Bracia, uznajmy nasze grzechy, abyśmy z właściwym nastawieniem przystąpili do sprawowania świętych obrzędów". W polskich kościołach zaś słyszymy: „Przeprośmy Boga za nasze grzechy, abyśmy mogli godnie sprawować Najświętszą Ofiarę". A więc to Bóg ma zmienić swoje nastawienie do nas, a nie my do Niego. Tak jakby to Bóg się na nas gniewał, a nie my na Niego. Drżymy przed Bogiem, już nawet nie w obawie przed piekłem, ale ze strachu, że przestanie nam sprzyjać. Dlatego idziemy do kościoła, żeby jakoś tę sprawę z Bogiem załatwić. Na mszy każdy sobie swoją marchewkę skrobie, ofiarowując Bogu „ofiarę mszy świętej" i komunię w tej oto określonej intencji.

Wiele pokoleń teologów, kaznodziejów i katechetów pracowało na obecny stan chrześcijaństwa. W niejednym katechizmie na pytanie „co to jest sakrament?" pada odpowiedź, że to obrzęd religijny rozumiany jako widzialny znak lub sposób przekazania łaski Bożej, ustanowiony przez Chrystusa. A więc nie o obecność Chrystusa chodzi, ale o łaskę. Czyli o co? Słowo to nabrało znaczenia pejoratywnego: nie rób łaski, łaski bez! A jeśli kojarzy się z czymś pozytywnym, to z jakąś energią, która w magiczny sposób przemienia nasze życie. Chcąc tę energię uzyskać, trzeba ładować akumulatory, czyli regularnie przyjmować sakramenty. Wtedy Bóg, jakby w drodze wdzięczności, że o Nim pamiętamy i Go prosimy, „udzieli potrzebnych nam łask". Dlatego bywa, że zaczynamy prowadzić handel wymienny: my dajemy Bogu mszę czy posty, a On nam owe łaski.

Dopóki ten handel się dokonywał, dopóty społeczność kościelna jakoś funkcjonowała. Ale w momencie, kiedy lekarze zaczęli przedłużać nam życie, meteorolodzy ostrzegać przed burzami, psychologowie leczyć emocje, a prawnicy skutecznie bronić przed niesprawiedliwością, zapotrzebowanie na msze zaczęło spadać.

Obecnie najczęściej zamawia się mszę o zdrowie, zwłaszcza przed poważną operacją, i za zmarłych. Widać, że w sytuacjach krańcowych zaczynamy się rozglądać za nienaruszalnym punktem oparcia dla rozumu i serca, który pozwoliłby nam poczuć się bezpieczniej. Stąd kurczowe trzymanie się „koronek" i „strażowanie przy popiołach", jak mówi Franciszek, czyli przy tradycji. Jednak opieranie się na tym wszystkim już nie dodaje człowiekowi odwagi, o czym świadczą skutki pandemii. W przeszłości klęski żywiołowe i wojny powodowały wzrost praktyk nabożnych. Covid przerzedził szeregi wiernych. Do czego więc wracać? Podpowiedź przychodzi od człowieka, którego tzw. przedni katolicy i patrioci odsądzali od czci i wiary.

Leszek Kołakowski twierdzi, że Kościół „ma obowiązek i prawo wspierać we wszystkich konfliktach to, co odpowiada moralnie jego wymogom, ale jeśli za każdym razem nie kładzie nacisku na nieabsolutny charakter wartości doczesnych, działa samobójczo i traci znaczenie, ponieważ jego obecność w świecie jest ważna o tyle, o ile jest obecnością Je-

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Kościół parafialny pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Sarbinowie, woj. zachodniopomorskie. 9 sierpnia 2021 r.

zusa Chrystusa, to znaczy trwaniem ponadczasowego w czasowym". Jeśli tak, to parafia ma przed sobą przyszłość, ale pod warunkiem, że pomoże człowiekowi odnaleźć ten twardy punkt odniesienia dla jego życia właśnie w Chrystusie. Pytanie tylko, w którym Chrystusie: tym z Ewangelii czy tym z wyblakłych oleodruków?

Strażnicy tacy

Przy różnych okazjach biskupi przypominają księżom, że powinni tworzyć braterską wspólnotę z parafianami. Tylko że dopóki parafia będzie traktowana jako beneficjum, braterskiej wspólnoty duszpasterzy i parafian stworzyć się nie da. Jeśli parafie stanowią dla kogoś źródło utrzymania, to automatycznie zaczyna je dzielić na lepsze i gorsze. Obecnie, gdy od pół wieku wieś się wyludnia, przybywa tych gorszych, liczących po paręset osób. Niewiele jest tam ślubów, pogrzebów i chrztów, a więc i przychody są marne. Opowiadał mi proboszcz pewnej małej wspólnoty, że za własne pieniądze, które później zwróciła mu gmina, musiał wyprawić pogrzeb samotnej staruszce, gdyż nikt z rodziny się nie zjawił. Nie w każdej parafii jest też szkoła, ksiądz nie jest katechetą, nie pobiera pensji. W takiej sytuacji księża stają przed pokusą robienia kariery. A ponieważ zasady awansu są, mówiąc najdelikatniej, mocno niejasne, prowadzi to do zakamuflowanego łapownictwa, a w sferze psychiczno-moralnej – do służalczości (oczywiście nie zawsze, znam wielu księży sprawiedliwych do szpiku kości).

Przy takiej patogennej strukturze nie da się stworzyć żadnego prezbiterium – wspólnoty księży. Chcąc awansować w instytucji, trzeba stosować różnego rodzaju nieuczciwe działania, a to z kolei sprawia, że podstawowy czynnik tworzący wspólnotę – szczerość – nie tylko nie popłaca, ale mocno przeszkadza. A tam gdzie nie ma szczerości w relacjach wikary–proboszcz–biskup, nie może też być szczerości między duszpasterzami i parafianami oraz biskupem i diecezjanami. Wciąż się przecież słyszy, że biskup na życzenie proboszcza przerzucił wikarego za karę do małej wsi. Bywa, że sami księża patrzą z góry na współbrata, który „chodzi" tylko po biednych parafiach, uważając go za mało zaradnego.

Przed trzydziestu laty podpytywałem francuskich księży, jak sobie radzą z kwestią utrzymania. Wtedy było tak, że przez ileś niedziel we wszystkich kościołach zbierano datki na ten cel. Zebrane pieniądze szły do wspólnej kasy, a potem dzielono je na pensje, odpowiednio dla wikarych, proboszczów i biskupów.

Starsi Kościoła

W wielu parafiach synodalny sposób działania istnieje tak naprawdę od dawna. Pieniędzmi, dziurą w dachu i remontem WC zajmują się parafianie za pośrednictwem rady ekonomiczno-gospodarczej, a nie jedynie proboszcz. Rada pastoralna razem z duszpasterzami wyszukuje najlepszy termin na rekolekcje, proponuje kaznodzieję, przygotowuje rodziców do pierwszej komunii (to nie pomyłka, gdyż to oni będą szykować swoje dzieci do tego wydarzenia). Rady pastoralne, zasilone przedstawicielami działających w parafii wspólnot oraz delegatów wybranych przez parafian, tworzą radę parafialną.

A co z księżmi? Co z proboszczem, wikariuszami, diakonami, lektorami i akolitami? Co z biskupem? Mając na uwadze naszą słabość i grzeszność, łatwo odnajdziemy się pośród ludu Bożego, ale nie jako ich świątobliwości, eminencje, ekscelencje, najprzewielebniejsi i przewielebni, lecz jako prezbiterzy – czyli starsi Kościoła, nie wiekiem czy nawet świętością, ale umiejętnością wspólnego wydobywania z siebie tego, co zdeponował w nas Bóg.

Wracając do początku naszych rozważań, warto przypomnieć starożytną zasadę *lex orandi, lex credendi*, co można przełożyć: prawo modlitwy jest prawem wiary. Parafrazując tę maksymę, można powiedzieć: jaka wiara, taki Kościół, i jaki Kościół, taka wiara. Z zastrzeżeniem, że na szczęście tylko Bóg wie, co człowiek w sercu nosi. ©

Zakonnice mają myśleć podobnie

IZABELA MOŚCICKA,
BYŁA SIOSTRA ZAKONNA, ZAŁOŻYCIELKA CENTRUM POMOCY SIOSTROM ZAKONNYM:

Coraz więcej mówimy o nadużyciach damsko-męskich, być może kolejnym krokiem będzie dyskusja o sprawcach-kobietach i o przemocy sióstr wobec sióstr.

ANNA GOC: Jakiej pomocy potrzebują siostry zakonne?

IZABELA MOŚCICKA: Większość sióstr, które trafiają do naszego Centrum, nie przechodzi kryzysu wiary. Zaczynają raczej zauważać, że w ich wspólnotach dzieje się coś niedobrego, i szukają kogoś, z kim mogłyby o tym porozmawiać.

W wielu żeńskich zgromadzeniach o problemach można mówić tylko nieoficjalnie. Uważa się, że siostry mają myśleć podobnie. Od własnych przeżyć, odczuć i intuicji ważniejsze jest to, co myśli siostra przełożona. Jeśli któraś z sióstr zaczyna się wyróżniać, zwracać uwagę na nieprawidłowości, często nie znajduje wsparcia innych.

Co się wtedy dzieje?

Może być tak, że traci zaufanie do siebie, spycha swoje myśli na bok. Jedna z byłych sióstr zakonnych opowiedziała mi taką historię. Od roku była poza zgromadzeniem, wynajęła mieszkanie, zapisała się na psychoterapię. W jej nowej pracy szefowa poprosiła o odbieranie nadgodzin. Ona nie potrafiła jednak wyjść z pracy wcześniej. Radziła się innych, czy na pewno może to zrobić. W końcu jedna z koleżanek odpowiedziała, że to w końcu jej decyzja. Problem polegał na tym, że dotąd o życiu tej kobiety decydowała siostra przełożona.

Przełożone w zakonach są nazywane „matkami".

W męskich zgromadzeniach też mówi się o „ojcu", ale przełożony pełni bardziej funkcję lidera niż opiekuna. Dorosłe kobiety w żeńskich zakonach nierzadko są traktowane jak córki, i to raczej małe, nieporadne. Nie mogą o sobie decydować. Powrót do siebie – dorosłej kobiety – zajmuje im później dużo czasu.

Kobiety, które trafiają do zakonów, są najczęściej po liceum. Muszą przyjąć wszystkie zasady danego zgromadzenia. Szybko tracą kontakt z bliskimi i przyjaciółmi. Mają ograniczony dostęp do informacji. To podatny grunt do rozwoju patologii, a nawet – sekt.

Jedna z sióstr, która próbowała emocjonalnie wyjść ze zgromadzenia, wciąż powtarzała: „Matka przełożona to, matka przełożona tamto...". „Może po prostu przestań nazwać ją »matką«" – zasugerowałam. Siostry często myślą, że z funkcją siostry przełożonej wiąże się specjalne błogosławieństwo, że ona mówi głosem samego Boga.

Jak to się przekłada na ich życie?

Do naszego Centrum trafiła siostra, której w zgromadzeniu odmówiono leczenia. Czuła, że potrzebuje psychoterapii, zwrócił na to uwagę także jej kierownik duchowy. Nie dostała jednak na to zgody od przełożonej. Była nauczycielką, więc w czasie wakacji coraz rzadziej wychodziła ze swojego pokoju. W końcu prawie nie wstawała z łóżka. Ale przełożona dalej uważała, że terapia ani leki nie są jej potrzebne. Pozostałe siostry powtarzały, że ma się wziąć w garść.

Czy takie sytuacje są powszechne?

W zgromadzeniach zakonnych słabo dba się o zdrowie kobiet. Wiem to po wielu rozmowach z siostrami i z własnych doświadczeń. Kilka lat temu, gdy byłam jeszcze w zgromadzeniu, miałyśmy spotkanie z ginekolożką. Powie-

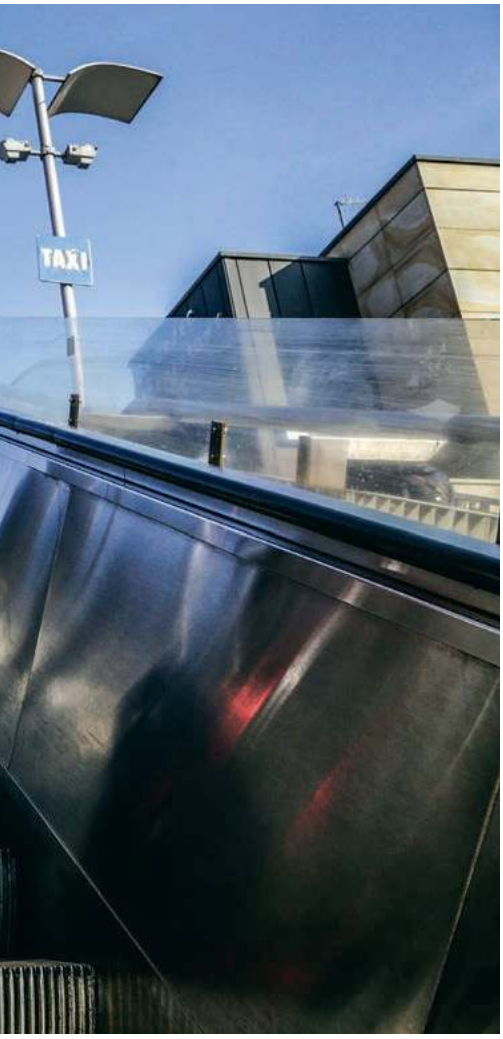

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

działa nam, że cytologię robi się raz w życiu. Dopiero potem dowiedziałam się, że to badanie warto powtarzać co roku, bo w ten sposób można wychwycić zmiany nowotworowe na wczesnym etapie. Zakonnice, które chorują na nowotwory, mają zwykle usuwane całe narządy kobiece. Wychodzi się z założenia, że ich nie potrzebują.

Niedawno rozmawiałam z siostrą, która od kilku lat próbuje uzyskać pozwolenie na bieganie. Przełożona odpowiada jej, że może biegać, ale w habicie. Od kilku zakonnic słyszałam, że w domach są bieżnie, ale to wciąż rzadkość, i że siostry biegają w fartuszkach. Innej siostrze lekarz zalecił dietę, ale jej przełożona się na to nie zgodziła. Zasugerowała, by zachowywała post, wtedy schudnie i odzyska zdrowie.

Co jest złego w dbaniu o ciało?

Pamiętam rozmowy na ten temat w mojej wspólnocie. Zaproponowałam, żebyśmy jadły więcej warzyw. Siostry się oburzyły, że gonię za nowinkami, bo wegetarianizm jest ostatnio modny. Inna zapytała, czy przeciętną polską rodzinę stać na pomidora do każdego śniadania. Choć akurat argument finansowy był słaby, bo gdy jadłyśmy codziennie słodycze, żadna się nad tym nie zastanawiała.

Przemoc sióstr wobec sióstr jest częsta?

Ostatnio usłyszałam o czymś, co nazywa się rewizją. Siostry siadają w okręgu, jedna z nich wchodzi do środka, a pozostałe po kolei ją oceniają. Problem polega na tym, że można wymieniać tylko trzy cechy każdej i wskazać jedynie te złe. W ten sposób każda z zakonnic słyszy kilkadziesiąt negatywnych zdań o sobie.

Jedna z sióstr mówiła, że przecież „my wszystkie czytamy »Dzienniczek« siostry Faustyny i ją podziwiamy". Jednak nie zastanawiamy się nad tym, co robiły jej inne siostry, jak bardzo źle ją traktowały. Powtarzamy, ile św. Faustyna wycierpiała, ale przecież to, czego doświadczyła od innych zakonnic, można dziś nazwać przemocą. Ten mechanizm działa od lat.

Co jeśli to przełożona krzywdzi?

Wtedy siostry czują się najbardziej bezbronne. Wydaje się im, że jeśli weszły w konflikt z przełożoną, to są na przegranej pozycji.

Sporo się zmieniło, gdy Watykan zaczął karać biskupów. Nagle się okazało, że oni też robią złe rzeczy i tak samo jak wszyscy mogą być upominani i ponosić konsekwencje. Ale przełożone wciąż są rzadko rozliczane. Jeśli przełożona mówi podległej siostrze, że nie zgadza się na jej psychoterapię, to taka siostra może odwołać się do wyższej przełożonej, ale jeśli i wyższa podtrzyma tę decyzję, to zakonnicom czasem wydaje się, że nie mają dalszego ruchu. Przełożone zwykle nie tylko nie chcą zmienić swoich decyzji, ale czasami są niezainteresowane rozwiązaniem konfliktu. Nadużywają władzy. Nie wszystkie wiedzą, że jest jeszcze dalsze miejsce, w którym mogą dochodzić swoich praw, czyli Kongregacja ds. Instytutów Życia Konsekrowanego i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego.

Dziś często mówi się o przemocy w wielu środowiskach. Czy do żeńskich zgromadzeń docierają te dyskusje?

Siostry zauważają, że ich przełożone nadużywają władzy. Zaczynają być świadome, że są poddawane manipulacji. Jednocześnie nie zawsze są w stanie porozmawiać o tym z innymi siostrami w zgromadzeniu, bo podważanie decyzji przełożonych jest równoznaczne z podważaniem ślubów posłuszeństwa.

Wśród zakonnic mówi się, że te, które myślą o odejściu, zdradzają Jezusa. A zdrada Jezusa jest czymś najgorszym na świecie. Jeśli masz wątpliwości, zastanawiasz się, wahasz – to oznacza, że robisz coś złego. Jeśli dowiaduje się o tym twoja przełożona, to dla niej czasami wystarczający sygnał, żeby postawić cię przed ostateczną decyzją: odchodzisz albo zostajesz. Siostry, które do nas dzwonią, są właśnie na tym etapie. Pojawiała się u nich wątpliwość, na którą nie ma miejsca w ich zgromadzeniu.

Takie myślenie bardzo obciąża psychicznie, zdarza się, że kończy się stanami lękowymi.

Co wtedy?

Najczęściej powtarza się siostrom, że jeśli pojawiają się wątpliwości, powinny je przemodlić. Radzi się im, by więcej czasu spędzały w kaplicy. Wtedy wszystko, co złe, minie. Gdy tak się jednak nie dzieje, siostry znów się obwiniają. Tym razem, że nie modliły się wystarczająco żarliwie. Jeśli już wiadomo, że jakaś siostra rozważa odejście, inne zaczynają się za nią modlić. Zwykle nie wolno o tym rozmawiać. A gdy któraś z nich odejdzie, reszta się z nią nie kontaktuje.

Oczywiście, zdarzają się od tego wyjątki – zgromadzenia, w których odejść jest na tyle dużo, że są przyjmowane normalnie, a siostry otrzymują nawet wsparcie.

Jakiego rodzaju?

Przyjmuje się, że odchodząc siostra otrzymuje dwie pensje minimalne, czyli niecałe 5 tys. złotych netto. W wyobrażeniu wielu przełożonych za te pieniądze może wynająć mieszanie na dwa lub trzy miesiące, kupić jedzenie i ubrania. W praktyce nie wystarcza nawet na mieszkanie, jeśli trzeba wpłacić kaucję i podpisać umowę na czas określony. Tym bardziej że siostry nie mają nic, nawet własnych talerzy. Wciąż się też zdarza, że niczego nie dostają. Jeśli mają rodzinę i mogą szczęśliwie liczyć na jej ↦

pomoc, są uratowane. Jeśli nie, nie mają nawet dokąd pójść. Nierzadko są w złej sytuacji psychicznej. Często nie mają wykształcenia ani potrzebnych do podjęcia wielu prac kwalifikacji.

Także dlatego tak trudno wielu siostrom zdecydować się na odejście. Warto dodać, że proces formacji jest szczegółowo rozpisany. Na stronach internetowych zgromadzeń można znaleźć plan i wszystkie potrzebne informacje. Brakuje natomiast podobnych wskazówek, jak odejść, albo jest tylko zwięzła informacja. Jakie dokumenty przygotować? Gdzie je złożyć? Jakie prawa przysługują siostrom, które odchodzą? Z tymi pytaniami zostają one same.

Ile sióstr dotąd skontaktowało się z Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym?

Stronę internetową i telefon wsparcia uruchomiłam jesienią ubiegłego roku. Od tamtego czasu pomogliśmy ponad dwudziestu siostrom. Teraz jesteśmy w kontakcie z szesnastoma.

Niektóre dzwonią z konkretnymi potrzebami. Zdecydowały, że chcą opuścić zgromadzenie, dlatego potrzebują kogoś, kto pomoże im zgromadzić odpowiednie dokumenty, ale też będzie im towarzyszył przy odchodzeniu. Chcą złożyć skargę na siostrę przełożoną, ale nie wiedzą, czy mogą to zrobić. Przygotowują się do rozmowy z siostrą przełożoną i szukają wsparcia psychicznego.

Coś Panią zaskoczyło w historiach, które zgłaszają siostry?

Coraz częściej pojawia się temat przemocy seksualnej sióstr wobec sióstr. Zakonnice nie chcą o tym mówić publicznie. Usłyszałam już kilka historii o tym, że przemocy seksualnej wobec młodej siostry dopuściła się przełożona albo tzw. formatorka, czyli ta, która towarzyszy siostrom na wstępnym etapie. Dziewczyny, które o tym opowiadały, zwykle nigdzie tego nie zgłaszały. Chodzi o pocałunki, dotyk w intymne miejsca, ale też wymuszanie pewnych zachowań, klepnięcie w pupę, dotykanie pleców. Od tego się zaczynało.

ARCHIWUM PRYWATNE

IZABELA MOŚCICKA jest pedagożką, social media managerką. Założycielka Centrum Pomocy Siostrom Zakonnym pomocdlasiostr.pl.

Niektóre z sióstr opowiadają o tym po wielu latach. Część kobiet, która tego doznała, odeszła w czasie formacji. Nie zawsze zdawały sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Dopiero kiedy usłyszały publicznie, że tak wygląda molestowanie seksualne, nazwały to, czego doświadczyły. Zakonnice mają potem często wyrzuty sumienia, czują się winne.

Coraz więcej mówimy o nadużyciach damsko-męskich, być może kolejnym krokiem będzie dyskusja o sprawcach-kobietach. To jeden z ostatnich rodzajów przemocy, o którym będzie się mówić otwarcie. Mamy plan, żeby anonimowo udostępniać historie sióstr. Jeśli pojawi się jedna, druga, myślę, że to może zadziałać jak *#metoo*, tyle że zakonne.

W zgromadzeniach nie rozmawia się o seksualności?

Nie, jakby seksualność nie istniała. A przecież taka rozmowa w kontekście ślubów czystości i naszej wstrzemięźliwości mogłaby mieć duże znaczenie. Wiem, że teraz w niektórych zgromadzeniach próbuje się ten temat poruszać, nawet już w czasie formacji. Mam jednak obawę, że zabierają się za to siostry, które nie mają kontaktu ze swoim ciałem.

Co to znaczy?

Ciało w narracji zakonnej jest złe, bo związane z tym, co ziemskie. Temat seksu nie istnieje. Wystarczyłoby wyjaśnić siostrom, jak przebiega cykl owulacyjny. Wiedza na ten temat pomaga zrozumieć codzienność – emocjonalną, psychiczną i fizjologiczną. A także seksualną. Siostry zakonne powinny mieć świadomość wzmożonego poczucia pożądania, bo przecież one także je odczuwają. Będąc jeszcze w zakonie, zastanawiałam się, jak siostry rozładowują napięcie seksualne. Nigdy nie było takiej przestrzeni, żeby o tym rozmawiać. Tym bardziej że nie zawsze mają też dostęp do internetu.

Jedna z zakonnic opowiadała nam, że wstąpiła do zakonu w 2000 r. i jeszcze przez kilka kolejnych lat dostęp do internetu mogły mieć tylko przełożone. Niektóre siostry wyznają, że nawet jeśli istnieje możliwość skontaktowania się z nimi mailowo, to adres jest ogólny, mają do niego dostęp wszyscy w zgromadzeniu. Kiedy uruchomiłyśmy telefon zaufania, okazało się, że nie we wszystkich domach siostry mogą swobodnie zadzwonić, bo telefon jest na korytarzu.

Wydaje mi się, że dla wielu z tych kobiet ważne jest to, że mogą porozmawiać z osobą, która przeżyła coś podobnego. Dla osoby z zewnątrz, która nigdy wcześniej nie miała kontaktu z życiem zakonnym, sporo z opowiadanych historii może być niezrozumiałe.

Planuje Pani otwarcie schroniska dla sióstr zakonnych?

Potrzebny byłby dom-schronisko. Im więcej dociera do nas historii, tym mocniej czuję, że najbardziej potrzebna jest siostrom pomoc na starcie wychodzenia z „zakonności". Marzę o otwarciu domu dla sióstr – nawet, jeśli miałoby to być schronienie tylko na początek.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Z Centrum można się kontaktować pod numerem telefonu: **737 322 510**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

ZUZANNA

Radzik:
Pamiątki z przeszłości

Dydaktyzm tegorocznej wystawy Documenta 15 w Kassel wynika chyba z tego, że artystyczne kolektywy z krajów rozwijających się korzystają z okazji, żeby opowiedzieć europejskiej widowni o zjawiskach i problemach świata – ale robią to nazbyt publicystycznie. Raz za razem wzdychałam znudzona, że chciałabym już nie czytać manifestów i nie oglądać filmów dokumentalnych. Akurat ta widownia, która dojechała do Kassel, pewnie też czyta gazety.

Z dwóch dni spacerów po galeriach zostaje ze mną niewiele. Np. fotografie z wyspy Jeju. Oszczędne kadry pokazują japońskie instalacje wojskowe z czasów okupacji Korei, degradowane przez tropikalną roślinność, ale wciąż wbite w krajobraz. Podobne zresztą do bunkrów, jakie spotykamy podczas nadmorskich wycieczek w Zelandii czy okolicach Calais. Albo do tylu innych miejsc, gdzie krajobraz zryty jest śladami dawnej lub mniej odległej wojny. Oznaczony na lata, nie tyle pomnikami, co okopami, minami, śladami uderzeń pocisków. W Warszawie wciąż przecież są draśnięte kulami kamienice.

Tu, w Belgii, topografia wojennych blizn jest inna. I wciąż zaskakuje. Kopiec z lwem na szczycie to pole bitwy pod Waterloo, które mijam, odwożąc bliskich na lotnisko. Lew symbolizuje zwycięstwo monarchii i króluje do dziś nad rolniczą okolicą, składem ogrodowym, sklepem budowlanym, siatką niewielkich dróg. Jadąc na weekend w Ardeny, szybko trzeba przypomnieć sobie historię słynnego drugowojennego oblężenia. Mały kraj, a gdzie nie spojrzysz – ślad jakiejś wojny. Przede wszystkim tej wojny sprzed ponad stu lat. Pierwszej, wielkiej. Wojny tysiąc dziewięćset czternastego.

To właśnie jej poświęcone są gminne i dzielnicowe pomniki przypominające, ilu obywateli miasteczka na nią poszło i z niej nie wróciło. Lokalne muzea pokazują tyle jej śladów, że aż zaczęłam ich unikać: po detalicznym przestudiowaniu losów oblężenia Mons miałam już dość. Dlatego omijam na razie muzeum wojny w Ypres, ale przystaję w polu, gdzie wciąż można się przyglądać niewinnym pagórkom, które piły krew kolejnych tysięcy żołnierzy. Spaceruję drogą, która wiedzie tam, gdzie były niemieckie okopy. Widzę drzewo w miejscu, gdzie zaczynał się okop drugiej strony. I farmę, odbijaną co kilka dni. Jednej nocy jej zdobycie kosztowało siły ententy pięć tysięcy żołnierzy. Kolejnego dnia jednak jej nie utrzymali i musieli zdobywać od nowa. Krajobraz jest niewinny, wiejski. Obok lunapark, chyba po to, żeby uprzyjemnić życie szkolnym wycieczkom wysłanym tu w celu studiowania historii. Ile musi minąć czasu, by wypadało wrzeszczeć na karuzeli tuż obok takiego miejsca?

Po drugiej stronie drogi cmentarz: białe, jednakowe nagrobki z symbolami krajów. Rząd za rzędem, często niezidentyfikowani. Australijczycy, sporo kanadyjskich inżynierów, bo wiadomo: takie miasto okopów pochłania sporo myśli technicznej. No i, jak to żołnierze, młodzi. Niedaleko można nawet zwiedzić okop. Zgaduję, że gospodarz, który wrócił tu po wojnie, zastał za domem zrytą ziemię i urządził na zapleczu izbę pamięci. Pełno w niej żelastwa zebranego z pola. Nie dotknęła tego muzeum żadna kuratorska myśl, ale każą płacić słono za wstęp. Za domem rdzewiejące łuski różnych rozmiarów, wyblakłe memorabilia w kształcie maków. Okopy czy coś na ich kształt, zabezpieczone przed rozmyciem przez deszcz zwykłą blachą. Kurator, którego nie było, w fotoplastykonie umieścił drastyczne zdjęcia z tutejszych pól bitwy, które najwięcej mówią o tej wojnie, choć nie powinno się na nie patrzeć.

Nie wiem jednak, co bardziej pozwala zrozumieć pierwszą wielką wojnę, i to, jak naznaczyła Europę: te krwawe pola czy muzeum w Compiègne, gdzie ją zakończono. Zaraz po zwycięstwie stworzono tu niewielkie muzeum, w którego pawilonie zamknięto zabytkowy wagon kolejowy, wcześniej należący do Napoleona III, a potem będący świadkiem podpisywania zawieszenia broni. Przed budynkiem na okolicę spoglądała rzeźba marszałka Focha. Muzeum w pierwszych powojennych latach odwiedzały miliony, jednak gdy wojska nazistowskich Niemiec wkroczyły do Francji, błyskawicznie je rozebrano i wywleczono wagon, by w nim podpisać zawieszenie broni z Francją. Potem wagon objeżdżał Niemcy na znak przełamania tamtych, upokarzających dla tego kraju porozumień. Samo muzeum natomiast zrównano z ziemią, co widać na zdjęciach, na których robotnicy grabią zrujnowaną przestrzeń, a na to wszystko spogląda pozostawiony przez okupanta marszałek. Zniszczyć, zaorać, zapomnieć. Siła symbolicznych przepychanek.

Do Brukseli stąd tylko trzy godziny. Z Ypres jeszcze bliżej – półtorej. Czasem myślę, że w któreś z tych miejsc trzeba przywozić oficjalne delegacje, zanim siądą do stołu, żeby przypominać, przed czym uciekliśmy w trud tworzenia unii dwudziestu siedmiu krajów. ©

OGŁOSZENE

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 460/22 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Knurów-Prezydenta Miasta Knurów o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Szendzielorzu, s. Jana i Ireny, ur. 6 sierpnia 1949 r. w Knurowie, zm. 9 marca 2021 r. w Knurowie. Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawcy to Knurów (pow. gliwicki). W skład majątku po spadkodawcy wchodzi udział w nieruchomościach położonych w Knurowie przy ul. Wilsona 69/1 i Wilsona 69/4.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie moga zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

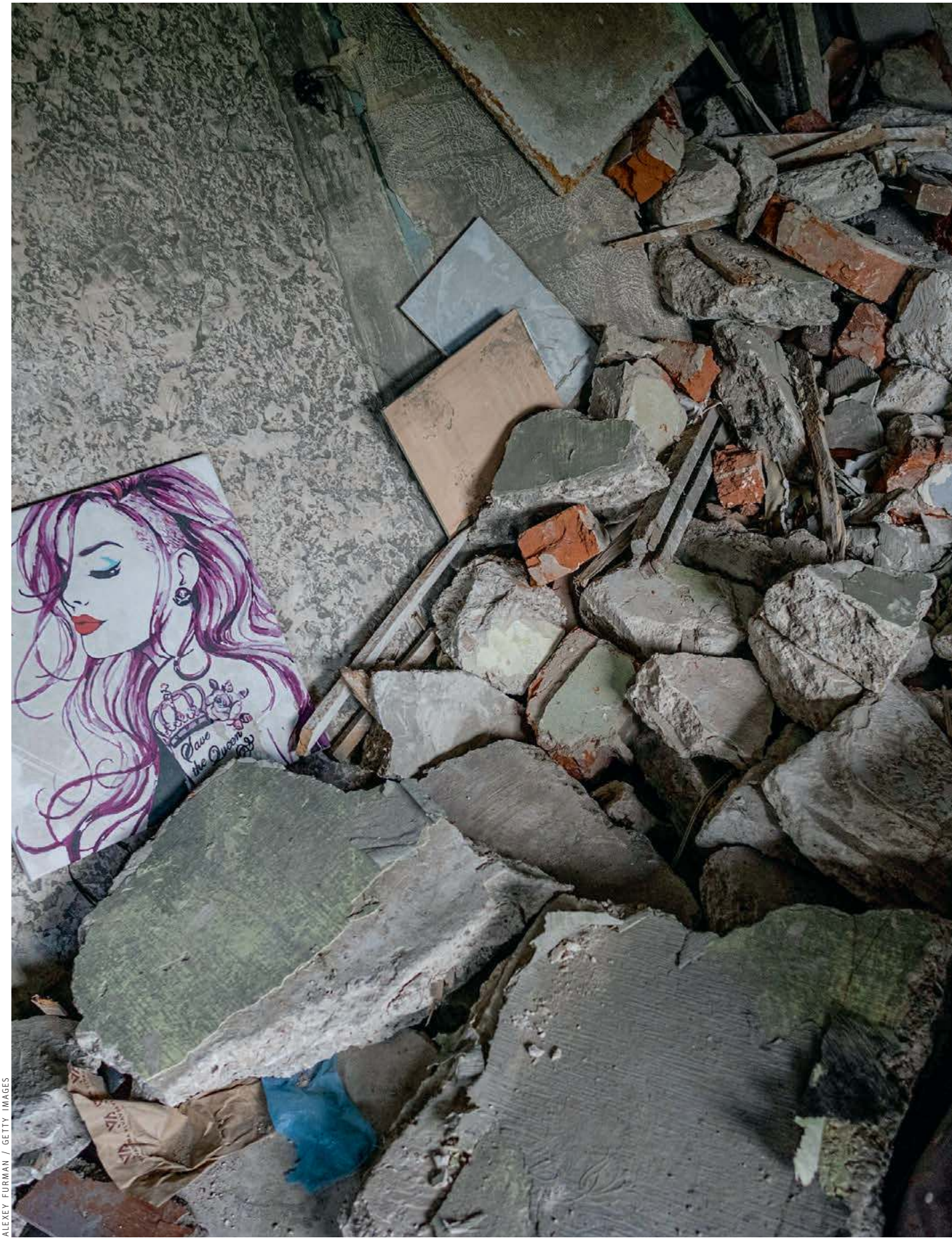

ALEXEY FURMAN / GETTY IMAGES

Czernichów, Ukraina, maj 2022 r.

MUSIMY IŚĆ, GDZIEŚ NAS ZABIERAJĄ

CHRISTINA LAMB

To, co zdarzyło się we wsi Berestianka, nie jest wyjątkiem. Podobne relacje dochodzą z wielu miejsc Ukrainy. To historie o bestialstwie. I odwadze kobiet.

Rosyjscy żołnierze byli młodzi – w wieku jej synów, ledwie z meszkiem na brodzie – ale słowa dowódcy ją zmroziły. „Moi ludzie napili się wódki. Teraz chcą rozrywki".

Wika zadrżała. Poprzedniej nocy przyśniła jej się nieżyjąca matka. Teraz dotarło do niej, dlaczego wcześniej tego dnia, kiedy żołnierze konfiskowali im telefony, kazali jej przywiązać do płotu białe prześcieradło. Jakby znakowali dom.

Ten, na którego wołali Oleg, już zaczął ją głaskać po biodrach. Czuła od niego alkohol. „Ręce przy sobie" – upomniała go. „Cicho bądź!" – warknął i wyciągnął ją na ulicę. Zwracał się do niej na „ty", chociaż miała 42 lata, była od niego dwa razy starsza.

Z domu dobiegł odgłos strzału. „Zabijecie nas?" – spytała.

W żółtym domu

Kiedy spotkałyśmy się sześć tygodni później, powiedziała: „Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje". Gdy zaciągała się papierosem, trzęsła jej się dłoń. Siwiejące blond włosy miała ściągnięte w kucyk, w jasnoniebieskich oczach – ból.

Był początek maja 2022 r., nieco ponad miesiąc, odkąd Rosjanie zostali wyparci z Berestianki, jej małej wsi, położonej 40 km na północny zachód od Kijowa.

Siedziałyśmy w ogródku, pełnym złomu, który zbierał jej mąż Witalij. Odkąd Wika rzuciła kiepsko płatną pracę na 12-godzinnych zmianach w fabryce brykietów, było to ich główne źródło utrzymania. Miaucząc, otarł się o jej nogi puszysty rudy kotek, w gnieździe na słupie przed domem trzymał wartę bocian.

Tu, przy ulicy Źródlanej, Wika i Witalij mieszkali od 13 lat. To miejsce wśród pól, gdzie niewiele się działo. Mijały kolejne pory roku – sadzono, a potem zbierano ziemniaki i kukurydzę, kiszono warzywa na ciężkie zimowe miesiące, śnieg przykrywał krajobraz grubą białą pierzyną, a potem topniał i po niebie znów mknęły jaskółki, zwiastunki lata.

Jednak, jak wielu ludzi w całej Ukrainie, 24 lutego obudził ich o świcie huk eksplozji i rakiet. – Leżałam w łóżku i dygotałam – wspominała Wika.

Następnego ranka mieszkańcy Berestianki zobaczyli za polami rosyjskie pojazdy wojskowe, a 26 lutego, kiedy Wika poszła do sklepu, żeby spłacić dług za papierosy pieniędzmi przysłanymi przez synów z Niemiec, dostrzegła w pobliskich lasach czołgi, a w oddali dym z wielkiego pożaru.

– Potem już tylko siedzieliśmy w domu. Bardzo się baliśmy – opowiadała.

Na początku marca na jej ulicy zjawili się rosyjscy żołnierze. Wprowadzili się po sąsiedzku – zajęli najładniejszy dom, żółty, z panelami słonecznymi, należący do ludzi z Kijowa.

Rankiem 9 marca żołnierze zaczęli chodzić od drzwi do drzwi, żądając od mieszkańców wydania telefonów. „Mam tylko starą komórkę z muzyką" – tłumaczyła Wika. „Nie chcę twojej muzyki" – zaśmiał się jeden. Rozejrzał się po trzyizbowej chałupie, gdzie w każdym kącie piętrzyły się ziemniaki, spojrzał na latrynę na zewnątrz. „Dlaczego nie przeprowadzicie się kawałek dalej? – zapytał z pogardą. – Stoi tam pusty dom, znacznie nowocześniejszy".

Tego wieczoru przyszli po Wikę. Było ich trzech: dowódca, 21-letni Oleg i Dania, który miał tylko 19 lat. Jej synowie byli dokładnie w tym samym wieku. Obaj wyjechali do Niemiec do pracy w browarze.

Oleg zaciągnął ją do domu sąsiada, Ihora, gdzie na płocie też zawiązane było białe prześcieradło, i kazał Wice zapukać, bo chcieli zabrać żonę gospodarza. Kiedy Ihor otworzył, zadzwoniła jego komórka.

„Mieliście im zabrać telefony!" – krzyknął do Olega dowódca. Oleg wymierzył, żeby strzelić do Ihora, ale kula, zamiast w niego trafić, drasnęła dowódcę w nogę. „Ty idioto!" – ryknął ranny, chwytając się za stopę. Dania zaczął wymachiwać swoim automatem, wyciągnął Ihora na ulicę, przystawił mu broń do głowy, a potem go pobił.

„Musimy iść, gdzieś nas zabierają" – powiedziała Wika do Ani, żony Ihora. Dowódca otaksował Anię wzrokiem: „Nie, ona może zostać, jest tęga". Dania zostawił jęczącego z bólu Ihora i pociągnął Wikę za kaptur bluzy. „To boli" – zaprotestowała. ↦

↦ – Już mnie dotykał i próbował całować, czułam obrzydzenie – powiedziała mi potem.

Tym razem zabrali ją kilka domów dalej, pod numer 25, gdzie mieszkała wdowa Walentina z córką Nataszą, lat 41, zięciem Saszą, lat 43, oraz ich piętnastoletnim synem. W progu stanął Sasza. „Weźcie mnie, nie ją" – błagał.

Oleg wyciągnął broń. „Jestem Rosjaninem, przecież mnie nie zastrzelisz" – powiedział prosząco Sasza. Kiedy się odwrócił, żeby zamknąć drzwi, strzelili mu w potylicę. Upadł na ziemię.

Przerażona Wika patrzyła, jak kopniakami usuwają ciało z drogi. Na zewnątrz wybiegła Natasza. „Gdzie Sasza? – krzyknęła. – Gdzie mój Sasza?". Oleg ją złapał i zaciągnęli obie kobiety na drugą stronę ulicy, do domu Hołubenków, tego żółtego, piętrowego, gdzie Rosjanie mieli kwaterę.

„No i co, którą dzisiaj zerżniemy? – zaśmiał się Dania. – Jedna ma 41 lat, druga 42!". „Mogłabym być twoją matką – powiedziała Wika. – Nie masz dziewczyny?". „Owszem, ma 17 lat i tylko ją całowałem w policzek – odparł. – Ale ciebie będę tu trzymał, dopóki z tobą nie skończę".

Ściągnął jej leginsy i majtki i zgwałcił ją w dużym pokoju, podczas gdy na górze Oleg z innymi gwałcili Nataszę.

– Kazał mi robić dużo głupich rzeczy – opowiadała mi Wika, kręcąc głową. – W pewnym momencie poszedł po Olega, więc szybko się ubrałam, wyleciałam na ulicę i z powrotem do siebie.

Modlitwa do ikon

Była już północ, wszystkie domy pogrążone w ciemności. Nie było śladu jej męża, więc pobiegła kawałek dalej do domu emerytowanego nauczyciela muzyki, 71-letniego Wiktora Daniłowicza, życzliwego człowieka. Załomotała w jego okno. Krzyknęła: „Wujku Wiktorze! Zastrzelili Saszę, a mnie i Nataszę zgwałcili. Gdzie jest mój Witalij?".

Wiktor kazał jej się ukryć w pokoju jego córki, pustym, bo ta wyjechała do przyjaciół do innej wsi, gdzie mieli bunkier. Wika jednak martwiła się o męża, więc pobiegła z powrotem do siebie.

– Złapałam plecak z dokumentami i wtedy usłyszałam jego szept: „Wika". Siedział na strychu, gdzie trzymamy ziemniaki. Weszłam po drabinie, po śniegu. Zostaliśmy tam do rana, ale nie mogliśmy zasnąć. W końcu wróciliśmy do domu wujka Wiktora.

Wiktor zaprowadził ich do pokoju swojej dorosłej córki. – Strach było na nich patrzeć, bo tak się trzęśli – opowiadał mi potem. Para ukrywała się u niego przez miesiąc, dopóki Rosjanie nie odeszli. – Oczywiście, że to było ryzyko. Gdyby Rosjanie ich odkryli, kto wie, czybym nie zginął? Ale jestem już taki stary, że właściwie niczego się nie boję, a byłem zły na Rosjan za to, co zrobili – mówił.

Z oczu pociekły mu łzy, kiedy dodał: – Cały czas myślałem o swojej córce, która zatrzymała się u znajomej w innej wsi. Chwała Bogu, że jej tu nie było. I modliłem się, żeby nie zrobili tego samego tam, gdzie ona jest.

Wika tak się bała, że żołnierze po nią wrócą, iż za każdym razem, kiedy zaszczekał pies albo przejechał samochód, biegła chować się w kurniku. Wyszli z kryjówki tylko raz, w nocy 20 marca, podczas intensywnej wymiany ognia między pozycjami rosyjskiej artylerii w pobliskim lesie a ukraińskimi siłami w innej wsi. Kiedy pocisk zburzył jeden z domów, huk eksplozji zatrząsł szklankami i talerzami na całej ulicy. Pobiegli do sąsiadki Wiktora, 75-letniej Kateriny Iliniehnej, która miała piwnicę. – Wszyscy na kolanach modliliśmy się do jej ikon – opowiadała później Wika.

Katerina była sama, jeśli nie liczyć trzech kotów, dwóch psów i 25 kur, bo jej córka i wnuczka wyjechały do Niemiec na samym początku wojny, a zięć Tolia zaginął, kiedy wyruszył na rowerze do pobliskiego miasta Borodzianka, żeby sprawdzić, co z ich mieszkaniem.

Kiedy ostrzał się skończył, wrócili do Wiktora. Rosjanie regularnie odwiedzali dom Kateriny, domagając się, by smażyła im naleśniki. – Siadali tu na kanapie i mówili: „Babciu, daj nam herbaty". Co miałam robić, jak między nogami trzymali broń? – wspominała.

Wreszcie pod koniec marca żołnierze odeszli, rezygnując z próby zdobycia Kijowa. Skoncentrowali ataki na południu i wschodzie kraju. Wika i Witalij ukrywali się jeszcze tydzień. „Nienawidzę ich, życzę śmierci im wszystkim i Putinowi" – mówiła Wika. Była przekonana, że wrócą z drugą falą natarcia i spróbują zdobyć Kijów.

Wira Hołubenko, której dom zajęli, po powrocie zastała budynek w opłakanym stanie. Rosjanie wyłamali drzwi, wybili okna, przewrócili wszystko do góry nogami i wyrzucili jej ubrania na podwórko. Zabrali nawet cały zapas ziemniaków i słoików kiszonych warzyw z piwnicy.

Tu mieszkają ludzie

Kiedy przyjechałam miesiąc później, trudno było wyobrazić sobie wszystkie te potworności na tak spokojnej ulicy. Katerina i Wiktor siedzieli na ławce przed jej domem w wiosennym słońcu, wśród kwitnących czerwonych tulipanów, koty ocierały im się o nogi, kury dziobały ziemię i gdakały towarzysko, jak zawsze. Wokół fruwała rusałka admirał, bocian trwał na warcie, a słychać było tylko śpiew ptaków.

Jednak przed jednym z domów przy wjeździe do wsi ktoś namalował białe „V", znak, który stał się symbolem rosyjskiej inwazji. A na ścianach wzdłuż drogi nabazgrano błagania o litość: „Tu mieszkają ludzie". „Dzieci". „Osoby starsze".

Rosjanie stąd odeszli, ale w Berestiance nie ma osoby, która wyszłaby z tego bez szwanku. Na odchodnym żołnierze kradli motory, rowery, kuchenki mikrofalowe i narzędzia, np. wiertarki. Sąsiadów, których nie ograbiono, podejrzewano o kolaborację.

Kilka dni później Katerina odebrała telefon z informacją, że w kostnicy w Buczy – gdzie odkrywano tak wielu zabitych, że część zwłok trzeba było trzymać w ciężarówce chłodni – znaleziono ciało jej zięcia.

Wiktor pokazał mi odłamki pocisków, które wciąż znajdował w ogrodzie, i zaprowadził mnie do Walentiny, kilka domów dalej. Była w kuchni, w różowej czapce i kapciach w tym samym kolorze, mieszała zupę ziemniaczaną. – Tylko dla siebie gotuję – wyjaśniła. – Jestem teraz sama.

Córka i wnuk wyjechali z kraju, tak jak miliony Ukraińców. – Nie żyliśmy normalnie, kiedy byli tu Rosjanie – stwierdziła. – Byliśmy jak roboty.

Pokazała plamę krwi przy wejściu. – Tu zabili Saszę. To był taki suchy trzask, jak pstryknięcie. A tam go zaciągnęli – wskazała miejsce na podwórku. – Po tym, jak zabrali Nataszę, wydawało mi się, że usłyszałam jakiś odgłos, więc podeszłam do Saszy, myśląc, że może jeszcze żyje i mogłabym go obandażować, ale kiedy uniosłam głowę, mózg mu wypłynął.

Jej córka wróciła mniej więcej po półtorej godziny. – Milczała jak kamień, więc nie wiedziałam, co się stało – ciągnęła Walentina. – Musiałam pójść do

Wiktorii [Wiki – red.], żeby się dowiedzieć. Później Natasza wpadła w histerię, cały czas odtwarzała w głowie wydarzenia tamtej nocy i mówiła, że ma zrujnowane życie i że powinni ją zabić zamiast niego.

Kiedy Rosjanie odeszli, przeniosły ciało Saszy z ziemnego grobu pod brzózkę na podwórku za domem, żeby pochować go jak należy. W końcu rodzina zorganizowała Nataszy i jej synowi wyjazd do Austrii. Walentina została sama z kurami, kozami i kotami. – Rosjanie nawet psa mi zastrzelili – wzruszyła ramionami.

Wika też została, nie chcąc rozstawać się z mężem, którego nie wypuściliby z kraju, bo jest w wieku poborowym. Codziennie przechodziła koło żółtego domu. Próbowała nie myśleć o tym, co się zdarzyło.

Bestialstwo to broń

Słuchając historii Wiki i innych mieszkańców wsi, byłam przerażona, ale nie zaskoczona. Kiedy po kilku tygodniach od początku inwazji skontaktowała się ze mną pewna aktywistka ze Lwowa, by poinformować, że rosyjscy żołnierze gwałcą Ukrainki i zamieszczają nagrania wideo w internecie, w pierwszej chwili byłam sceptyczna. Szybko jednak pojawiło się więcej podobnych doniesień.

– Skąd my to znamy – westchnęła Amal Clooney, adwokatka zajmująca się prawami człowieka, kiedy rozmawiałam z nią przez telefon z parkingu przed kostnicą w Buczy. Lał deszcz, a krewni zabitych i zaginionych kulili się w białym namiocie, czekając na wieści o swoich bliskich.

Wydaje się, że wojenne gwałty przybrały dziś rozmiary epidemii – w ciągu ostatnich ośmiu lat widziałam więcej przemocy seksualnej doznawanej przez kobiety z rąk żołnierzy i bojowników niż w którymkolwiek innym okresie mojej 35-letniej kariery reporterskiej. Ten scenariusz wciąż się powtarza – pewne grupy etniczne lub religijne wykorzystują gwałt jako oręż, nie tylko po to, by upokorzyć i sterroryzować podbijane społeczności, ale także, by wyeliminować tych, których uważają za etnicznych rywali lub niewiernych.

– To, co widzimy w Ukrainie, jest przerażającym echem masowych gwałtów popełnianych przez czerwonoarmistów w 1945 r. – mówi Antony Beevor, brytyjski historyk wojskowości. W swojej

Wika nie opuściła swojej wsi. Codziennie przechodziła obok żółtego domu. **Próbowała nie myśleć o tym, co się tu zdarzyło.**

książce na temat upadku Berlina szacuje, że zgwałcono wtedy w Niemczech 2 mln kobiet. Nie tylko Niemek – także Polek, Węgierek, Serbek, Ukrainek, a nawet Rosjanek.

Beevor i jego researcherka Luba byli tak zszokowani bestialskim zachowaniem żołnierzy, które odkryli, że oboje przypłacili swoje badania zespołem stresu pourazowego.

– Bez względu na to, czy pospolite okrucieństwo, z jakim rosyjskie wojska gwałcą i plądrują, sięga czasów najazdów Mongołów w XIII wieku, czy nie, jedno jest pewne: jest to narzędzie terroru stosowane celowo, niekoniecznie na polecenie wyższych oficerów, ale z pewnością tolerowane jako dopuszczalny brak dyscypliny i sposób na rozładowanie wszystkich uraz i frustracji żołnierzy – powiedział mi Beevor.

Historia Wiki nie była wyjątkiem. Z całej Ukrainy dochodziły podobne – było ich tak dużo, że na specjalnej infolinii uruchomionej przez rzeczniczkę praw człowieka Ludmyłę Denisową w ciągu pierwszych sześciu tygodni odebrano 1,5 tys. zgłoszeń. Linia działa całodobowo, podwojono liczbę dyżurujących psychologów.

Jedną z tych psycholożek była córka Denisowej. Ludmyła wyglądała na znękaną, kiedy w swoim biurze w Kijowie przytaczała mi opowieści, które, jak mówiła, nie dawały jej spać w nocy. Na przykład o matce i dwóch córkach, 15- i 17-letniej.

– Gwałcili matkę przez trzy dni, a potem tę 15-latkę, ale starszej siostrze powiedzieli, że jej nie ruszą, bo jest brzydka – opowiadała. – Matka i młodsza córka zmarły w wyniku doznanych obrażeń, a 17-latka została zamknięta na trzy dni w piwnicy z ich ciałami.

Gwałcono nie tylko kobiety. – Jedna z najstraszniejszych historii, jakie słyszałam, dotyczyła 11-letniego chłopca, którego Rosjanie gwałcili przez dziesięć godzin na oczach jego przywiązanej do krzesła mamy – powiedziała mi Ludmyła. – Nie mówił potem przez miesiąc.

Często były to gwałty zbiorowe, w tym także na młodszych nastolatkach. Niektóre z tych dziewczyn zaszły w ciążę. Była wśród nich 14-latka zgwałcona przez trzech Rosjan na oczach matki. Lekarz odradził jej aborcję twierdząc, że mogłaby później mieć trudności z urodzeniem dzieci.

– Nie mam wątpliwości, że wykorzystywali gwałt jako broń – stwierdziła Ludmyła. – To byli w większości młodzi żołnierze, w wieku od 20 do 25 lat, gwałcili publicznie, w obecności innych członków rodziny, krzycząc: „Chcemy to zrobić każdej nazistowskiej suce w Ukrainie".

Jej pogląd podziela Łarysa Denysenko, prawniczka z Kijowa, która specjalizuje się w sprawach związanych z przemocą seksualną. Zaczęły się do niej zwracać ocalałe, a ona sfilmowała ich zeznania.

Spotkałyśmy się dwa razy na lunch we włoskiej restauracji blisko rzeki Dniepr, jednak Łarysa nie chciała jeść, piła tylko espresso. Jak mi powiedziała, te historie były tak potworne, że była zdeterminowana, by działać, „bo inaczej żadna kobieta już nigdy nie zaufa systemowi i będzie milczeć".

Wśród osób, które się do niej zgłosiły, była 32-letnia nauczycielka języka i literatury ukraińskiej, którą trzymał jako niewolnicę seksualną pewien oficer w Chersoniu na południu kraju, pierwszym mieście okupowanym przez Rosjan.

Do zobaczenia jutro

Rosjanie przyszli do jej domu trzy dni po zajęciu miasta, twierdząc, że mają ją na liście i szukają „nazistowskiej literatury". Zabrali nauczycielkę na przesłuchanie i nie wypuszczali przez 24 godziny, dopytując, czy ktoś z jej rodziny jest nazistą, i każąc jej się przyznać, że prowadzone przez nią lekcje krzywdzą dzieci. Było to – jak mówiła później – tak absurdalne, że nawet nie wiedziała, co odpowiedzieć.

„Jestem tylko nauczycielką" – broniła się. „Wszystko o tobie wiemy – odparli. – Lepiej, żebyś się przyznała, albo jeszcze długo tu posiedzisz".

W końcu wypuścili ją do domu, w którym mieszkała z niedomagającą matką oraz ciotką i 16-letnim kuzynem. Tego samego wieczoru przyszło do nich trzech żołnierzy i zaczęło niszczyć wszystkie jej podręczniki, a także książki ukraińskich ↦

↦ klasyków. „To zakazana literatura – oznajmili. – Ekstremistyczna i zabroniona w Federacji Rosyjskiej, której teraz jesteście częścią. Twoja rodzina to gniazdo nacjonalistycznej propagandy”.

Dwóch żołnierzy zagoniło jej mamę, ciotkę i kuzyna do drugiego pokoju, grożąc im bronią, a ona została z kapitanem, który oświadczył: „Podobasz mi się, więc dam ci wybór. Jeśli nie chcesz z całą rodziną wylądować w więzieniu, możesz zostać ze mną”.

Popatrzyła na niego z przerażeniem, kiedy uświadomiła sobie, co ma na myśli. „Nie, nic z tego” – odparła. „Tak naprawdę to nie było pytanie” – uśmiechnął się. A potem kilkukrotnie ją zgwałcił, podczas gdy jej rodzina wciąż siedziała w pokoju obok. „Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział po wszystkim. – Przecież nie jestem brzydki. Mogłaś sobie ułatwić sprawę”.

Odszedł ze swoimi ludźmi, zabierając pozostałe książki, ale postawił przed domem straż. Rodzina nie zmrużyła oka. Kiedy kapitan z dwoma ludźmi znów przyszli, nie otworzyli im drzwi. Żołnierze je wyważyli.

„Nie rozumiesz naszej umowy – oznajmił kapitan. – Jesteś moja zawsze, kiedy będę cię chciał, wtedy twoją rodzinę zostawimy w spokoju. A jak nie, to wezmę tego chłopaczka”. Wskazał jej nastoletniego kuzyna.

Zaciągnął ją do tego samego pokoju, co poprzednio, i ponownie zgwałcił.

„Już wiem, w czym rzecz – zaśmiał się później. – Straszna z ciebie histeryczka, pewnie tak właśnie lubisz. Będę dalej przychodził, a twoja rodzina dostanie jedzenie, lekarstwa i ochronę. Są tu inne oddziały, takie jak kadyrowcy, a ja mogę dopilnować, żeby zostawili was w spokoju”. Na odchodnym rzucił: „Do zobaczenia jutro”.

Po mniej więcej dziesięciu dniach takich wizyt nauczycielka miała dość. Jej rodzina uznała, że powinna spróbować uciec. Dowiedzieli się, że znajomi planują wyjechać z miasta, a ci zgodzili się ukryć ją w bagażniku. Była to przerażająca podróż przez posterunki wojskowe, pod ostrzałem. Kiedy nauczycielka dotarła do bezpiecznego miejsca w zachodniej Ukrainie, szalała z niepokoju o los pozostawionej w Chersoniu rodziny. Osobom w regionach okupowanych skonfiskowano telefony lub zablokowano połączenia, więc nie mogła skontaktować się z bliskimi.

– Uciekła w stanie zwierzęcej paniki i jest przekonana, że całą rodzinę zabito z zemsty – powiedziała mi Denysenko.

Słuchanie takich zeznań przekonało także Łarysę, że Rosjanie stosują gwałt jako broń. – W całym kraju powtarzają się schematy wskazujące, że nie są to przypadkowe akty, tylko część celowej strategii. Często dochodzi do gwałtów zbiorowych, zazwyczaj w domu ofiary, w obecności członków rodziny, w tym dzieci – mówiła.

Jej zdaniem celem było „zastraszenie ludzi, tak by [Rosjanie] mogli kontrolować okupowany teren, ale także uszkodzenie płodności młodych kobiet, żeby unikały kontaktów seksualnych w przyszłości, co ma zmniejszyć liczbę ukraińskich dzieci przychodzących na świat”.

Zwróciła uwagę, że żołnierze z rosyjskiego oddziału, który służył w Buczy, Irpieniu i Borodziance, gdzie popełniono jedne z największych zbrodni, w tym gwałty na Wice i Nataszy, zostali po powrocie do domu odznaczeni przez Putina medalami.

Może będzie inaczej

Jeśli w tym, co dzieje się w Ukrainie, można dopatrzeć się czegokolwiek pozytywnego, to będzie to fakt, że tym razem o przemocy seksualnej dużo się mówi. I widać determinację do działania.

Prezydent Wołodymyr Zełenski wymienia gwałty w jednym rzędzie z torturami i zabijaniem, w przeciwieństwie do innych liderów – mężczyzn – którzy często uważali je za kwestię poboczną. Zełenski, ojciec nastolatki, z trudem powstrzymywał łzy, kiedy odwiedził w kwietniu tereny okupowane wcześniej przez Rosjan. „Odnotowano setki przypadków gwałtów, w tym na dziewczynkach i małych dzieciach. Nawet na niemowlęciu!” – powiedział później.

Karim Khan, główny prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego, wielokrotnie latał do Ukrainy, podobnie jak Pramila Patten, specjalna przedstawicielka ONZ ds. przemocy seksualnej w konfliktach zbrojnych, oraz Esther Dingemans, szefowa Global Survivors Fund, funduszu stworzonego przez doktora Denisa Mukwegego, nagrodzonego Noblem kongijskiego lekarza, który prawdopodobnie leczył więcej ofiar gwałtu niż ktokolwiek na świecie.

Wiele krajów zaproponowało pomoc w zbieraniu dokumentacji. Jednak dowody w takich sprawach to trudna i delikatna kwestia. Wika trzymała legginsy, które wtedy z niej zdarto, w plastikowej torbie, w nadziei, że może być na nich DNA jej napastnika. Obdukcję mogła jednak zrobić dopiero po wyjściu Rosjan, czyli miesiąc po zdarzeniu, kiedy siniaki zdążyły już zniknąć.

I chociaż wiele kobiet i dziewcząt dzwoni na telefony zaufania, ze zgłaszaniem gwałtu wciąż jest problem kulturowy. Wika rozmawia z prokuratorem generalnym i jest zdeterminowana, by walczyć o sprawiedliwość. Dlatego opowiedziała swoją historię.

– Powinni zostać zabici albo postawieni przed trybunałem – stwierdziła. – Ale jakoś w to wątpię.

Miesiąc po naszym spotkaniu ukraiński rząd rozpoczął procesy w sprawie zbrodni wojennych, choć wciąż trwały walki – to posunięcie bez precedensu. W czerwcu prokuratorzy otworzyli pierwszą rozprawę o gwałt jako zbrodnię wojenną. Mieszkanka wsi Bohdaniwka została zgwałcona przez dwóch rosyjskich żołnierzy, którzy zabili jej psa, włamali się do domu i zastrzelili męża. Gwałcili ją wielokrotnie, podczas gdy jej czteroletni syn siedział zapłakany w kotłowni.

Było to dzień po ataku na Wikę i Nataszę.

Jeden z napastników został zidentyfikowany za pośrednictwem mediów społecznościowych przez ofiarę i śledczych jako Michaił Romanow, lat 32. Postawiono mu zarzuty na zamkniętym posiedzeniu sądu w Kijowie. Chociaż był sądzony zaocznie, proces i tak stanowił ważny sygnał.

Może tym razem będzie inaczej.

© CHRISTINA LAMB

Tłumaczyła AGNIESZKA SOBOLEWSKA

CHRISTINA LAMB *jest brytyjską reporterką i pisarką, korespondentką tygodnika „The Sunday Times”. Karierę zaczynała w wieku 22 lat w Afganistanie, pracowała m.in. w RPA, Pakistanie, Brazylii i Stanach Zjednoczonych. Autorka kilku książek poświęconych wpływowi wojen na życie kobiet, m.in. „To ja, Malala” (2013) i „The Girl from Aleppo” (2016). Powyższy tekst jest niepublikowanym wstępem do przyszłych wydań jej ostatniej książki, „Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom”, której polski przekład ukazał się właśnie nakładem Znaku. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.*

MOHAMMED ABED / AFP / EAST NEWS

Po nalocie rakietowym, 8 sierpnia 2022 r.

Strefa Gazy: pod ramię z wrogiem

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Izrael docenił Hamas za powstrzymanie się od dołączenia do ostatniego konfliktu. Ale marzenie o tym, że przyniesie to szansę na powrót do rozmów o pokoju, pozostaje płonne.

Była to najgroźniejsza eskalacja konfliktu od czasu kilkudniowej wojny w maju 2021 r. – według Palestyńczyków, na skutek walk między Izraelem i ugrupowaniem Palestyński Islamski Dżihad zginęły w Gazie 43 osoby, w tym 15 dzieci.

Celem Izraela było zabicie dowódców tej drugiej po Hamasie grupy o charakterze militarno-terrorystycznym w Strefie Gazy. Z doniesień wywiadu wynikało bowiem, że organizacja planuje przeprowadzenie zamachu w Izraelu; mówiło się m.in. o ataku na autobus z dziećmi. Najpierw aresztowano jednego z liderów ugrupowania w Jeninie na Zachodnim Brzegu Jordanu. 5 sierpnia w izraelskim ataku z powietrza zginął Tajsir al-Dżabari, jeden z przywódców z północnej Gazy. Wraz z nim śmierć poniosły też 5-letnia dziewczynka i 23-letnia kobieta. Tak rozpoczęła się operacja „Wstający Świt".

Równolegle Izrael aresztował działaczy Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu na Zachodnim Brzegu Jordanu i całkowicie odciął dostęp do Strefy Gazy. Jeszcze tego samego wieczoru ugrupowanie wystrzeliło też pierwsze rakiety. W sumie podczas trzydniowej konfrontacji w kierunku Izraela poleciało prawie 1200 rakiet; alarmy przeciwrakietowe słychać było w Jerozolimie i Tel Awiwie. 97 proc. rakiet przechwycił system obronny „Żelazna Kopuła", spora ich część spadła na terenie Strefy Gazy lub do morza.

6 sierpnia na skutek ostrzałów w obozie Dżabalija w północnej części Strefy Gazy zginęło pięcioro Palestyńczyków, w tym czworo dzieci. Izrael twierdzi, że winnymi ich śmierci są rakiety dżihadystów. Dzień później Tel Awiw ogłosił sukces operacji informując, że zniszczył dowództwo i infrastrukturę Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu. Negocjacje pod przewodnictwem Egiptu zakończyły się zawieszeniem broni.

Problematyczny konkurent

Palestyński Islamski Dżihad powstał w 1981 r. i od początku rekrutował zradykalizowanych mieszkańców palestyńskich obozów uchodźców w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu Jordanu. Jego członkowie przeprowadzili wiele samobójczych zamachów bombowych przeciwko obywatelom Izraela. Kraje Zachodu uznają tę organizację za grupę terrorystyczną. ↦

W porównaniu z Hamasem jej charakter jest dużo bardziej ekstremistyczny. Zakłada stworzenie muzułmańskiego państwa na terytoriach Strefy Gazy, Zachodniego Brzegu Jordanu i części Izraela. Nie jest zainteresowana procesem pokojowym, bojkotuje wybory w Autonomii Palestyńskiej.

Tymczasem Hamas – który nie dołączył do ostatnich walk – nosi na sobie ciężar rządów w Strefie Gazy i odpowiedzialność za 2 mln jej mieszkańców. Choć wciąż straszy „wrzuceniem Żydów do morza", jest zależny od kontaktów z Izraelem i, jak pokazuje obecna sytuacja, gotów na pewne kompromisy.

Dla Hamasu eskalacja konfliktu była więc paradoksalnie na rękę, bo wcale nie ma on ochoty dzielić się wpływami w Strefie Gazy. Silnym ciosom zadawanym problematycznemu konkurentowi wystarczało się biernie przyglądać, wydając dla niepoznaki lakoniczne antyizraelskie oświadczenia. Zresztą także wśród mieszkańców Strefy Gazy działania Palestyńskiego Islamskiego Dżihadu spotkały się z krytyką. Ludzie nie mają tu siły na kolejną wojnę. Ostatnia sytuacja ukazała więc prospołeczną twarz Hamasu.

Świt wstaje wybranym

W Izraelu starcie z Palestyńskim Islamskim Dżihadem okrzyknięto sukcesem. Ogłaszając osiągnięcie wszystkich celów wojskowych, premier Jair Lapid odniósł się również do śmierci cywilów. Stwierdził, że Izrael dołożył wszelkich starań, by uniknąć strat po ich stronie, i że „śmierć niewinnych ludzi, a zwłaszcza dzieci" jest dla niego „szczególnie bolesna". Dodał jednak, że Izrael „nie będzie przepraszał za ochronę własnych obywateli" przed terroryzmem.

Inaczej na eskalację reagują izraelscy Arabowie, stanowiący 20 proc. społeczeństwa.

– W konfrontacji, której źródeł na początku zupełnie nie rozumieliśmy, zginęła w pierwszym dniu pięciolatka. Tymczasem czołowe izraelskie stacje telewizyjne pieją z zachwytu nad świetną organizacją i przebiegiem tej operacji. O dziecku powiedziano zaledwie kilka słów, a i te głosy ucichły – mówi Nadin Abu Laban, Palestynka, izraelska Arabka i dziennikarka mieszkająca w Hajfie. – Jak można mówić o sukcesie, gdy giną palestyńskie dzieci? Terrorystów w Palestyńskim Islamskim Dżihadzie szybko zastąpi kilku innych, dziecku życia nikt nie przywróci. Tę operację nazwano „Wstającym Świtem", ale nie wiem, dla kogo on miałby w Gazie wstawać. W tym więzieniu dla dwóch milionów ludzi, którzy żyją tak blisko siebie, że nieważne, gdzie rzucisz pocisk, tam zawsze ktoś zginie, nie ma już nadziei – dodaje z goryczą.

> Według organizacji Save The Children na skutek blokady Strefy Gazy, biedy i bezrobocia 80 proc. dzieci cierpi tu na głęboką depresję i stany lękowe **– a połowa myśli o samobójstwie.**

W Izraelu o sukcesie polityka świadczą jego doświadczenie wojskowe i wiedza w zakresie bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że dla Jaira Lapida, którego służba w armii w dużej mierze skupiła się na pisaniu korespondencji dla wojskowej gazety, był to pierwszy test przed wyborami przewidzianymi na 1 listopada. Sondaże pokazują, że ten test zaliczył, wzmacniając swą pozycję i wyprzedzając blok głównego rywala, b. premiera Beniamina Netanjahu. Do tej pory ostrzegał on, że Lapid nie poradzi sobie z zaostrzeniem konfliktu. Tak się jednak nie stało – niewątpliwie przyczynił się do tego Benny Gantz, minister obrony i jednocześnie były szef sztabu izraelskiej armii. Nic nie jest jednak przesądzone – chwiejna izraelska rzeczywistość nie daje gwarancji, że na tej fali duet Lapid i Gantz dopłyną do listopada.

– Po tej operacji w społeczności arabskiej słyszę, że ludzie nie pójdą do głosowania, nawet jeśli wcześniej to robili. I słusznie, bo na kogo mieliby głosować? – denerwuje się Nadin Abu Laban. Ten rząd określał siebie mianem rządu zmiany. A dzieci w Gazie nadal giną. Nieważne, co się stanie, nasza krew pozostanie tania. Izrael osiąga tymi eskalacjami cel przeciwny do zamierzonego – coraz mniej chcemy być jego częścią. Nasza społeczność staje się coraz bardziej nacjonalistyczna, mniej chętnie mówimy po hebrajsku, odwracamy się od żydowskich znajomych z pracy – mówi dziennikarka.

Ta sama taktyka

Tymczasem na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy dorasta całe pokolenie dzieci bez przyszłości. Z badania opublikowanego w czerwcu przez organizację Save the Children wynika, że na skutek izraelskiej blokady Strefy Gazy, biedy i bezrobocia 80 proc. żyjących tu dzieci cierpi na głęboką depresję i stany lękowe – a połowa myśli o samobójstwie.

Tym razem Hamas był gotów do współpracy po myśli Izraela. Czy mogłoby to stać się punktem wyjścia do rozmów o trwałym pokoju? Harel Chorev-Halewa, specjalista ds. palestyńskiej polityki i historii z uniwersytetu w Tel Awiwie, szybko zaprzecza: – Ludziom Zachodu często trudno jest pogodzić się z tym, że pewnych rzeczy po prostu nie da się pogodzić czy rozwikłać w czasie możliwym do przewidzenia. A konflikt palestyńsko-izraelski właśnie taki jest. Odkąd Hamas przejął władzę w Gazie w 2007 r., musi godzić w swojej działalności różne kwestie. Z jednej strony pozostaje ruchem dżihadystycznym – np. często przypomina, że nie jest gotowy na układy z Izraelem i nigdy nie zaakceptuje jego istnienia. Z drugiej, sprawuje władzę w Strefie Gazy i musi zatroszczyć się o ludzi, nie może sobie pozwolić na nadmierny wzrost frustracji – a ludzie tam już przecież bardzo cierpią. Hamas idzie czasem na kompromisy, ale na całkowitą rezygnację ze swojego dogmatu nie byłby gotowy, bo straciłby uzasadnienie dla swojego istnienia.

Ekspert dodaje, że na lepsze zmieniła się w ostatnim izraelskim rządzie polityka wydawania pozwoleń na pracę w Izraelu mieszkańcom Gazy i Zachodniego Brzegu Jordanu. Widać też ocieplenie w relacjach. Ale dla Strefy Gazy Izrael nie ma porządnej strategii.

– Musiałaby się ona opierać na jakimś politycznym rozwiązaniu, a takiego po prostu nie ma – uważa Chorev-Halewa. – Zarówno dla Palestyńczyków, jak i dla Izraelczyków najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby druga strona spakowała walizki i się dobrowolnie wyniosła, a to przecież niemożliwe. Opcja militarna – zniszczenie Gazy – nie wchodzi w grę, tego nikt nie chce. Doprowadzić do zmiany władzy? Na jaką? Hamas przynajmniej efektywnie tę władzę sprawuje.

Wygląda na to, że obie strony przyjęły tę samą taktykę: wypracować *modus operandi* – i czekać.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

FRANCINE ORR / GETTY IMAGES

Namioty bezdomnych na osiedlu Echo Park w Los Angeles, marzec 2021 r.

Czemu w Ameryce nie ma miejsca na słabość

NICHOLAS D. KRISTOF, DZIENNIKARZ I PISARZ:

Jeden z moich sąsiadów wychowywał się w domu pełnym przemocy. Wyrzucono go ze szkoły, zaczął brać metamfetaminę. A przecież był zdolny – gdyby tylko dostał odpowiednie wsparcie, mógłby zostać farmaceutą.

MARTA ZDZIEBORSKA: Jako dziennikarz „New York Timesa" relacjonował Pan wydarzenia na całym świecie. Skąd ma Pan tę makatkę, która wisi na ścianie?

NICHOLAS D. KRISTOF: Z Indii. Mam też figurkę z Afryki, skąd relacjonowałem ludobójstwo w Darfurze. Obok stoi popiersie Roberta Kennedy'ego – to nagroda dziennikarska, którą dostałem w zeszłym roku. Mam jeszcze figurkę chińskiego psa.

Czy mogę pani coś powiedzieć, zanim zaczniemy rozmawiać o książce?

Bardzo proszę.

Tak naprawdę moje rodzinne nazwisko to Krzysztofowicz. Nikt nie mógł wymówić polskiej wersji, więc tata ją uprościł. Stąd zamerykanizowany „Kristof".

Nie wiedziałam, że ma Pan polskie korzenie.

Moja babcia od strony matki była Polką, urodziła się we Lwowie. Z kolei rodzina mojego ojca to spolonizowani Ormianie, którzy zaczęli posługiwać się językiem polskim już w XIX wieku. Tata wychował się w północnej Bukowinie [historyczna kraina obejmująca obecnie pogranicze ukraińsko-rumuńskie – red.], a część jego rodziny mieszkała w Polsce. Gdy Związek Sowiecki zajął Bukowinę w 1940 r., jego rodzina uciekła. Wujek i dziadkowie do Krakowa, a potem do Cieszyna. Tata – do Rumunii, a następnie do Jugosławii i Francji. Będąc tam, szukał sposobów, by wyemigrować do Stanów. Ostatecznie skontaktował się z kościołem w Oregonie, który zasponsorował mu przyjazd.

I tak Pana ojciec trafił na Zachodnie Wybrzeże, gdzie po wielu latach kupił farmę w miasteczku Yamhill. Skąd uchodźca z Europy Wschodniej miał na to pieniądze?

Początki były ciężkie. Po przyjeździe do Stanów tata nie mówił po angielsku. Pracował jako drwal. Dopiero po latach poszedł na studia i ostatecznie został profesorem nauk politycznych. Wtedy właśnie stać go było na kupienie farmy.

Mam wrażenie, że w dzisiejszej Ameryce Pana ojciec nie zaszedłby tak daleko.

Tata wyemigrował do Stanów w czasie, gdy klasa robotnicza miała szansę na realizację swojego *American dream*. Jako drwal zarabiał dobre pieniądze, a jego interesy chroniły związki zawodowe. Mógł pozwolić sobie na oszczędzanie na studia, a potem, gdy założył rodzinę, na edukację swojego syna.

Gdy dorastałem, gorzej wykształceni Amerykanie mogli piąć się po drabinie społecznej. Teraz tej drabiny nie ma. Zniszczył ją masowy upadek fabryk w latach 90. XX w. i fala uzależnień od metamfetaminy. To wywołało z kolei powolny rozpad struktury społecznej – mężczyźni bez dobrze płatnej pracy, z nałogami i kryminalną przeszłością mają mniejsze szanse na założenie rodziny.

Pisze Pan, że ważną rolę w tym procesie odegrał w latach 80. prezydent Ronald Reagan. Obniżał podatki, ciął fundusze na pomoc społeczną, przekonując, że „rząd nie jest rozwiązaniem, on jest problemem". Ta narracja służyła tylko ratowaniu sytuacji gospodarczej?

Myślę, że częściowo była to odpowiedź na napięcia rasowe z połowy XX w. Republikanie wykorzystywali nastroje wśród białych, strasząc ich wzrostem przestępczości i wybuchem zamieszek. ↦

↦ Przekonywali, że nie ma sensu inwestować publicznych pieniędzy w biedniejsze społeczności, bo skorzystają na tym głównie siejący ferment Afroamerykanie. Biała klasa robotnicza kupiła tę retorykę, a potem sama stała się jej ofiarą.

Mimo to biali konserwatyści dalej głosują na Republikanów, którzy co prawda nie pomagają biednym, ale za to sprzeciwiają się prawu do aborcji i opowiadają się za tradycyjnym modelem rodziny.

Ciężko mi obserwować takie nastroje w Yamhill – miasteczku, które rozwinęło się właśnie dzięki programom rządowym, jak Nowy Ład prezydenta Franklina Delano Roosevelta czy też Homestead Act [ustawa z 1862 r., która zagwarantowała osadnikom prawo do własności ziemi i przyspieszyła zasiedlanie Zachodniego Wybrzeża USA – red.].

To dla mnie paradoks, że z jednej strony mieszkańcy Yamhill skorzystali ostatnio z wprowadzonych przez administrację Bidena ulg podatkowych na dzieci, a z drugiej strony głosują na Republikanów. Podam przykład Mary Mayor, mojej szkolnej miłości z siódmej klasy. Choć od lat jest bezdomna, w 2016 r. głosowała na Donalda Trumpa. Zrobiła to, bo miała powód, by sądzić, że Demokraci ją opuścili.

Jaki to powód?

Liberałowie od lat patrzą z góry na tych, którzy nie mają nawet średniego wykształcenia. A to ta grupa Amerykanów najbardziej potrzebuje inwestycji w szkolenia zawodowe czy programy leczenia uzależnień. Dlatego ubożsi Amerykanie uwierzyli w Donalda Trumpa, który przynajmniej wyciągnął do nich rękę. Demokraci powinni popracować nad skuteczniejszym docieraniem do osób gorzej wykształconych i tych, którzy najbardziej skorzystaliby na programach pomocowych. Za nierówności społeczne w Stanach Zjednoczonych należy głównie winić politykę Republikanów, ale Demokraci też nie są krystaliczni.

Co jeszcze można im zarzucić?

Liberałowie mają dobrą gadkę, ale nie rozwiązują podstawowych problemów – bezdomności, uzależnień, niskiego poziomu wykształcenia. Mocno zawiedli właśnie w dziedzinie edukacji. Nie jest bowiem tak ważne, jaki odsetek uczniów kończy prestiżowe uczelnie, jak Harvard czy Yale. Znacznie bardziej istotne jest to, czy ludzie w ogóle chodzą do szkoły. Pamiętajmy, że przez niemal 150 lat przodowaliśmy w inwestycjach w szkoły publiczne. Gdy spowolniliśmy w latach 70. XX w., zaczęły nas wyprzedzać kraje azjatyckie, w tym Chiny.

MONIKA FLUECKIGER / WORLD ECONOMIC FORUM

NICHOLAS D. KRISTOF jest dziennikarzem. W latach 2001-21 stały felietonista „New York Timesa". Był też korespondentem tego dziennika w Hongkongu, Pekinie i Tokio. W 1990 r. wraz z żoną Sheryl WuDunn zdobył Nagrodę Pulitzera za teksty o protestach na placu Tiananmen (drugą otrzymał w 2006 r. za relacjonowanie konfliktu w Darfurze). Oboje są też autorami książki „Biedni w bogatym kraju". Jesienią 2021 r. Kristof wystartował w wyścigu o fotel gubernatora Oregonu. Kampanię przerwał ze względów formalnych.

W czym chińska szkoła jest dziś lepsza od amerykańskiej?

Chińczycy inwestują mocno w edukację swoich dzieci. Mają dość dobrze zorganizowany system powszechnej edukacji opierający się na sześcioletnich podstawówkach i trzyletnich tzw. niższych szkołach średnich. Pekin już dziesięć lat temu postawił sobie za cel, by co tydzień oddawać do użytku nową uczelnię.

Tymczasem w ponad czteromilionowym Oregonie nie potrafimy nawet zadbać o wyższy poziom wykształcenia mieszkańców. Czy wie pani, że w krajowych statystykach mamy trzeci najgorszy wynik pod względem odsetka obywateli, którzy nie skończyli nawet liceum?

To zaskakujące dane, jak na liberalny stan na Zachodnim Wybrzeżu.

Władze Oregonu mają problem z hierarchią priorytetów. Niedawno stanowy parlament przegłosował uchwałę nakazującą szkołom publicznym wyposażenie damskich i męskich toalet w tampony oraz podpaski. Założenie jest takie, by dostęp do środków higieny mieli także miesiączkujący transpłciowi chłopcy. Jestem za wsparciem tej grupy, ale to marnotrawstwo publicznych pieniędzy. Zamiast fundować bezpłatne podpaski, powinniśmy zadbać o uczniów, którzy nie są w stanie dotrwać do końca liceum.

Podobnie jest z pomocą dla dzieci Afroamerykanów – zamiast zainwestować w dodatkowe lekcje czytania dla nich, wolimy postawić sobie w ogródku tabliczkę z napisem „Black Lives Matter".

Kiedy Pana słucham, przypominają mi się mieszkańcy La Jolli, bogatych przedmieść San Diego w Kalifornii. Byli pierwsi, by mówić o równości, ale ostatni, by posłać swoje dzieci do szkół z latynoskimi imigrantami.

I właśnie z tego powodu napisałem razem z żoną książkę. Bo komuś, kto osiągnął sukces w Ameryce, bardzo łatwo jest stracić kontakt z rzeczywistością i zamknąć się we własnej bańce. Jeśli skończysz uczelnię wyższą, jest duże prawdopodobieństwo, że wszyscy twoi współpracownicy, sąsiedzi i przyjaciele także skończyli studia i dobrze im się powodzi.

Co jeszcze zaważyło na tym, że Ameryka stała się rajem, ale głównie dla bogaczy?

W latach 70. przesadziliśmy z deregulacją gospodarki, która miała dać silniejszy impuls do wzrostu. Jednocześnie stopniowe uszczuplanie inwestycji w kapitał ludzki, edukację i pomoc społeczną uzasadnialiśmy argumentując, że trudności finansowe jednostki wynikają z nieodpowiedzialności i podejmowania niewłaściwych decyzji.

Trudno jednak zaprzeczyć, że tak często jest.

Oczywiście. Ludzie podejmują złe decyzje – zaczynają brać narkotyki i schodzą na drogę przestępczą. Ale trzeba też mówić o wadliwym systemie, który sprawia, że klasa robotnicza płaci wyższą cenę za swoje błędy niż bogatsi Amerykanie.

Spójrzmy na mojego sąsiada z dzieciństwa, Farlana Knappa. Przez to, że wycho-

wywał się w domu pełnym przemocy i sprawiał problemy wychowawcze, wyrzucono go ze szkoły. Nie mając perspektyw, podejmował się słabo płatnych zajęć i razem z braćmi zaczął brać metamfetaminę. W pewnym momencie nawet ją produkował. A przecież był zdolnym chłopakiem! Gdyby tylko otrzymał wsparcie w szkole, mógłby zostać farmaceutą.

Wszystko to prawda, ale dużo też zależy od determinacji jednostki. W książce opisuje Pan historię szkolnych kolegów Farlana, którzy wyszli na prostą, choć mieli równie traumatyczne dzieciństwo.

Tak się składa, że przed naszą rozmową dostałem maila od kolegi ze szkoły – Dale'a, który mieszkał zaraz obok rodziny Knappów. W przeciwieństwie do Farlana podjął lepsze decyzje – postanowił, że wyrwie się z Yamhill i zaciągnie do wojska. Dzięki służbie mógł potem pójść na bezpłatne studia i dziś jest dobrze prosperującym menedżerem. Ale to są wyjątki. Dlatego zatytułowaliśmy naszą książkę „Tightrope: Americans Reaching for Hope" [w wolnym tłumaczeniu: „Balansując na linie. Amerykanie w poszukiwaniu nadziei"; książka ukazała się właśnie w polskim przekładzie pt. „Biedni w bogatym kraju. Przebudzenie z amerykańskiego snu" – red.]. Bo jeśli np. mnie, synowi profesorów, powinęłaby się noga, rodzice na pewno by mi pomogli. Inaczej było u Farlana, który nie mógł liczyć na miękkie lądowanie.

Wierzę w to, że w dużej mierze jesteśmy ukształtowani przez oczekiwania naszych rodziców i warunki, w jakich się wychowujemy. Mnie rodzice kochali, Farlana – bili. Podczas gdy ja marzyłem o studiach, on fantazjował o tym, że zabija swojego ojca. To była jego ambicja.

Ostatecznie dostał się Pan na Harvard. Czy w opłaceniu czesnego pomogli rodzice, czy też konieczne było wzięcie pożyczki?

Wziąłem kredyt studencki, ale to moi rodzice spłacili znaczną jego część. Bez ich pomocy nie skończyłbym studiów. Zresztą nigdy nie dostałbym się na Harvard, gdyby rodzina nie zaszczepiła we mnie pociągu do nauki i książek. Rodząc się w mojej rodzinie, wygrałem los na loterii.

Uniknął Pan też astronomicznego zadłużenia. Kiedyś rozmawiałam z kalifornijską dziennikarką, która przy niskich zarobkach i kredycie studenckim musiała usunąć ząb. Nie było jej stać na jego leczenie. Czy Pana książka nie powinna być też opowieścią o klasie średniej?

To prawda, nie tylko najbiedniejsi Amerykanie przeżywają takie trudności. Ale to jednak inna skala. Widać to choćby w statystykach dotyczących średniej długości życia – klasa robotnicza żyje krócej niż ci, którzy zdołali pójść na studia. Spójrzmy też na dostęp do opieki stomatologicznej. W książce opisuję historię chłopaka, który latami nie chodził do dentysty. Gdy do jego miejscowości przyjechał wędrowny lekarz, usunięto mu aż 17 zębów. Nie chcę dokonywać łatwych porównań, ale to większy problem niż jeden stracony ząb.

Skoro o tym mówimy, to muszę przyznać, że ma Pan bardzo ładne i proste zęby. Ile trzeba zapłacić w Stanach, żeby osiągnąć taki efekt?

Jeśli pracujesz na etacie i masz ubezpieczenie stomatologiczne, nie musisz się tak bardzo przejmować kosztami. Ale jeśli nie masz polisy, wówczas koszt leczenia jest koszmarnie drogi i osób w trudnej sytuacji finansowej po prostu na to nie stać. Szacuje się, że około 75 mln Amerykanów, czyli 22 proc. społeczeństwa, nie ma ubezpieczenia stomatologicznego. Takie osoby nie tylko mają zęby w tragicznym stanie, ale także cierpią na chroniczny ból, trudniej im znaleźć pracę i mocno kuleje ich poczucie wartości.

W zeszłym roku ogłosił Pan start w wyborach na gubernatora Oregonu. Co, Pana zdaniem, trzeba przede wszystkim zmienić w tym stanie?

Wspominałem już o potrzebie inwestycji w system edukacji, walkę z uzależnieniami i budowę mieszkań komunalnych. Mam już dość historii moich szkolnych przyjaciół, którzy albo zmarli jako bezdomni, albo ledwo wiążą koniec z końcem, wyprzedając meble i inne przedmioty, które mają jakąkolwiek wartość.

Ostatecznie odpadł Pan z wyścigu ze względów formalnych – sąd uznał, że przed wyborami mieszkał Pan w Oregonie zbyt krótko, by ubiegać się o urząd gubernatora. Na co pójdzie 2,5 mln dolarów zebranych w trakcie kampanii?

↦

Winni są najbiedniejsi

W STANACH ZJEDNOCZONYCH dochody dziedziczy się prawie tak jak wzrost – to wnioski z badań ekonomisty Alana Kruegera, które przytaczają Nicholas Kristof i Sheryl WuDunn. Ich książka „Biedni w bogatym kraju" to opowieść o gospodarczej potędze, w której wsparcie dla korporacji jest większe niż programy pomocowe dla ubogich. Prawie 40 proc. Amerykanów żyje z dnia na dzień, nie dysponując nawet 400 dolarami (równowartość ok. 1,8 tys. zł) na nieprzewidziane wydatki. Najbardziej zdesperowani sprzedają swoje osocze. Aż 150 mln obywateli USA boi się, że choroba, zwolnienie z pracy lub wypadek samochodowy obrócą ich życie w ruinę.

NIE MA TU powszechnej opieki zdrowotnej – wizyta na ostrym dyżurze może oznaczać zadłużenie na kilka tysięcy dolarów. Ten problem ma m.in. przełożenie na tragiczne statystyki – odsetek kobiet umierających przy porodzie w USA jest dwukrotnie wyższy niż w Wielkiej Brytanii. Pod względem długości życia Stany Zjednoczone zajmują dopiero 27. miejsce wśród 35 członków zamożnej OECD. Supermocarstwo ma gorsze wyniki niż Chile i tylko nieznacznie wyprzedza Czechy czy Turcję.

TO najbiedniejszych od dekad obwinia się w USA za ich własne niepowodzenia, powtarzając, że państwo nie ma obowiązku „prowadzić ich za rękę". W kraju, gdzie rośnie zjawisko tzw. śmierci z rozpaczy (zgonów spowodowanych narkotykami, alkoholem i samobójstwami), wciąż nie ma miejsca na słabość.©

↦ Część przeznaczę na wsparcie kandydatów, którzy mają podobne propozycje reform do moich. Przede wszystkim jednak chcę sfinansować kursy zawodowe dające Oregończykom szansę na zdobycie lepszej pracy i wyjście z uzależnienia od narkotyków.

Mam wrażenie, że w czołowych amerykańskich dziennikach o problemach społecznych, a już szczególnie w reporterskim ujęciu, pisze się bardzo mało. Jak Pan na to patrzy jako dziennikarz?

To niestety prawda. Większość mediów, a w szczególności telewizja, skupia się na polityce. Atrakcyjnym tematem dla dziennikarzy nie jest to, że na skutek przedawkowania narkotyków w ciągu roku zmarło 108 tys. Amerykanów. Mało pisze się też o sposobach na walkę z uzależnieniami i bezdomnością. A przyszłość kraju zależy od tego, jak edukujemy nasze społeczeństwo.

Tymczasem media żyją kampanią przed wyborami do Kongresu oraz spekulacjami, czy za dwa lata o Biały Dom powalczy gubernator Florydy Ron DeSantis [sylwetkę tego polityka publikowaliśmy w nr. 30 „Tygodnika" – red.]. Czy polityk ten, znany ze sprzeciwu wobec redystrybucji dochodów, może pogłębić nierówności społeczne?

Zadaję sobie to samo pytanie. Trump to co prawda totalna porażka, ale przynajmniej nie jest zbytnio kompetentny w realizowaniu swojej wizji. Inaczej jest z DeSantisem, który potrafi w bardziej inteligentny i doświadczony sposób korzystać z możliwości, jakie daje mu władza. Za jego rządów nie bałbym się o to, że rozpętamy wojnę z Koreą Północną lub użyjemy broni jądrowej wobec Moskwy czy Pekinu. Bardziej zastanawia mnie to, czy DeSantis nie zacząłby rozmontowywać już i tak kulejącego systemu wsparcia dla potrzebujących.

Obawiam się, że w długofalowym okresie jego prezydentura mogłaby wyrządzić jeszcze większą szkodę amerykańskiej strukturze społecznej. Gubernator Florydy ma jednak dużą zaletę: nie jest nieobliczalny tak jak Trump.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

MUNIR UZ ZAMAN / AFP / EAST NEWS

Na pewno nas zapomnieli

MAREK RABIJ

Pięć lat temu rozpoczęły się czystki etniczne, wskutek których ponad 700 tysięcy birmańskich Rohingów zbiegło do Bangladeszu. Przez ten czas w ich położeniu nie zmieniło się nic.

Bazar birmański tworzyły dwa rzędy straganów ustawionych równolegle do głównej drogi z miejscowości Ukhia. Tuż za rowem z nieczystościami, a przed pierwszą linią szałasów, które ciągnęły się stąd aż po zasłaniające horyzont wzgórza Balukhali, handlarze co rano rozkładali kramy z owocami, suszonymi rybami, ryżem i mięsem, które błyskawicznie obsiadały roje much.

Takich targowisk na terenie wielkiego obozu Rohingów, rozciągającego się na obszarze niemal 20 km kwadratowych na południe od wsi Kutupalong, były dziesiątki. Ten bazar birmański był też jednak ważnym źródłem emocji.

– Tylko tutaj można było czasem dostać *ashshowmo* – wspomina mieszkający niedaleko Tarik Abdul Sarder. – W Bangladeszu tej przyprawy nie znają. Na zimę kupowałem tu również ubrania zdobione w arakańskie wzory i karty birmańskiej sieci MPT. Do granicy jest najwyżej 10 km. Na wzgórzach telefony łapią birmańską sieć. Można było za grosze zadzwonić do krewnych i znajomych, którzy zostali w kraju.

Birmański bazar spłonął w marcu tego roku. Rano pojawili się zamaskowani mężczyźni z maczetami; kilku miało broń palną. Przegonili kupujących, obrabowali straganiarzy, kilku stawiających opór ugodzili ostrzami. A prowizoryczne stragany oblali benzyną i podpalili.

– Jeden z tych bandytów wykrzyczał, że bazar zostaje zamknięty z rozkazu ARSA, Rohińskiej Armii Wyzwolenia Arakanu, a każdy, kto spróbuje złamać

Rohingowie w obozie uchodźców Kutupalong w Ukhia, Bangladesz, 9 sierpnia 2022 r.

zakaz i handlować tutaj, zostanie zabity – kiwa z rezygnacją głową Tarik. – Skończyło się *ashshowmo*. I względnie bezpieczne życie w tym przeklętym obozie.

Birmańska „operacja specjalna"

Podobnie jak wielu zamieszkujących Arakan Rohingów, Tarik Sarder nazwę „ARSA" usłyszał pierwszy raz pięć lat temu. 25 sierpnia 2017 r. partyzanci zaatakowali posterunki birmańskiej policji i zabili kilku funkcjonariuszy. Armia, jakby przygotowana na taką okoliczność, rozpoczęła w granicznej prowincji Arakan „specjalną operację antyterrorystyczną". Formalnie wymierzoną w bojowników ARSA, w rzeczywistości – przeciw każdemu, kto w tej części Birmy wyznawał islam, posługiwał się językiem bengalskim w lokalnym dialekcie zwanym *ćatgaja boli*, i miał ciemną karnację. Birmańczycy od dawna pogardliwie nazywają ich *kalas* (w wolnym tłumaczeniu: brudasy) i od ponad 40 lat odmawiają praw obywatelskich. Oni sami mówią o sobie: *Rohingya koum*. Północno-zachodni Arakan lud Rohinga zamieszkuje od co najmniej dwustu lat.

Wojskowa operacja przerodziła się w regularną czystkę etniczną, w trakcie której żołnierze spalili co drugą rohińską wieś i zabili co najmniej 25 tys. osób (nieoficjalne statystyki Rohingów mówią o ponad 80 tys. zabitych i zaginionych). Zbrodnie armii i wspierających ją buddyjskich ochotników wywołały falę uchodźczą do sąsiedniego Bangladeszu. Do końca 2017 r. granicę przekroczyło ponad 720 tys. Rohingów. Większość ulokowano w prowizorycznym obozie koło miejscowości Kutupalong, gdzie mieszkało już ponad 100 tys. ofiar wcześniejszych czystek, z lat 1978-2013. Bangladesz, jedno z najuboższych i najbardziej przeludnionych państw świata, stał się państwem goszczącym najwięcej uchodźców.

Ceny rosną nie dla wszystkich

Tarik Sarder mieszkał w miejscowości Tang Bazar, którą wojsko puściło z dymem 30 sierpnia 2017 r. Z ponad trzech tysięcy mieszkańców zabito niemal dwustu, wśród nich jego teściową. Po wielodniowej wędrówce przez las deszczowy rodzina Sardera dotarła do Kutupalong, gdzie przydzielono im skrawek błotnistego gruntu, na którym sami zbudowali szałas.

– Mieszkaliśmy tak ponad dwa lata – opowiada Tarik. – W końcu, dzięki Bogu, udało nam się przenieść do najstarszej części obozu, gdzie są murowane budynki, kanalizacja i światło. Teraz znów śpimy z nożami pod poduszką. Bandyci podający się za ARSA regularnie napadają na naszą część obozu. Bangladeskie wojsko tylko się przygląda. A wy na Zachodzie też już pewnie o nas zapomnieliście.

Wielki obóz w Kutupalong funkcjonuje dziś właściwie na takich samych prowizorycznych zasadach jak na początku kryzysu. Władze bangladeskie ograniczyły do niego dostęp dziennikarzom i pracownikom organizacji humanitarnych. Pod pretekstem zagrożenia ekstremizmem zakazano akcji edukacyjnych i kulturalnych. Blisko 400 tys. mieszkających w obozie dzieci nadal nie chodzi do szkół – poza najmłodszymi, którym rząd organizuje nauczanie początkowe bengalskiego alfabetu i matematyki. Racje żywnościowe zmniejszono do 17 kg na osobę miesięcznie. Mieszkańcy obozu mogą dokupić żywność, płacąc specjalnymi kartami.

Tarik Sarder: – Kilogram cukru kosztował w maju 74 taka, teraz 84 taka. Tam gdzie żyją miejscowi, cena się nie zmieniła. Tylko że nam nie wolno wyjeżdżać poza obóz. Teren ogrodzono, na drogach roi się od wojska.

Tego samego wojska, które, jak zauważa Sarder, nie reaguje na przemoc, jakiej dopuszczają się w obozie gangi podające się za partyzantów ARSA. Wśród mieszkańców Kutupalong narasta przekonanie, że zabójstwa, podpalenia i gwałty odbywają się za cichym przyzwoleniem władz Bangladeszu. A może wręcz na ich polityczne zamówienie.

Raporty ONZ pokazują lukę w budżecie obozu w wysokości 300 mln dolarów rocznie. Nie powiodła się próba przeprowadzki części Rohingów do obozu na wyspie w Zatoce Bengalskiej. – Nikt nie chciał dać się zamknąć w więzieniu, jakim jest wyspa położona sto kilometrów od stałego lądu – wybucha Tarik. – A teraz wygląda to tak, jakby władze Bangladeszu chciały nas do tego zmusić rękami bandytów.

Mniejszość na własnej ziemi

W najnowszym raporcie, przygotowanym wspólnie przez ONZ i rząd w Dhace, liczbę Rohingów zamieszkujących Bangladesz oszacowano na 926 561 osób. Według stanu na koniec marca obozowa społeczność liczyła ponad 194 tys. gospodarstw, a przeciętna rodzina w obozie składała się z 4,8 osób. Zdecydowana większość Rohingów nadal zamieszkuje Kutupalong.

Wraz ze wzrostem liczby mieszkańców problemy ze statusem mieszkańców Kutupalong będą się tylko nawarstwiać. W ciągu ostatnich pięciu lat rodziło się tu średnio 35 tys. dzieci rocznie, wskaźnik reprodukcji populacji sięgnął zatem aż 3,77 proc. W trzech okolicznych dystryktach ten sam wskaźnik, liczony dla osób z bangladeskim obywatelstwem, wyniósł tymczasem 1,3 proc.

To oznacza jedno: ponad milion oficjalnych mieszkańców tej części i tak wyjątkowo przeludnionego Bangladeszu niebawem będzie mniejszością na własnej ziemi. Z szacunków ONZ wynika, że w 2032 r. na terenie obozu Kutupalong mieszkać będzie już 1,3 mln Rohingów. Liczba rdzennych mieszkańców w regionie Teknaf, Ramu i Koks Badźar wzrośnie w tym czasie najwyżej do 1,29 mln osób. © ℗

Współpraca MUSTAFA SHIAFUL, Bangladesz

ARCHIWUM PRYWATNE / REPRODUKCJA ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Halina Piskor z dziećmi. Suchowola, 1954 r.

DWIE SIOSTRY

Rozdzieliła je II wojna światowa. Spotkały się po 63 latach, ale straconego czasu nie udało się już nadrobić.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Halina zapamiętała lniane woreczki. Matka uszyła je na długo przed wysiedleniem. Zapakowała do nich wysuszony na piecu chleb i cukier.

To ostatnie chwile, gdy rodzina Agnieszki i Jana Kapłonów jest w komplecie. Aniela, lat 13, szczupła i milcząca. Ola, 11 lat, kuleje. Wścibska i zaradna Halina, lat 9. Janka, uparta i skryta 7-latka. Blondynka Marysia, lat 4. I półtoraroczna Zosia, jeszcze przy piersi matki.

Niemcy przychodzą do Wierzbia, wioski w powiecie zamojskim, 12 grudnia 1942 r. Furmankami zawożą wszystkich do Łabuń, a stąd samochodami ciężarowymi do obozu przejściowego w Zamościu. Akcja jest częścią działań realizowanych w ramach Generalnego Planu Wschodniego: według wytycznych Heinricha Himmlera Zamojszczyzna ma zostać oczyszczona z Polaków i skolonizowana przez Niemców, przesiedlonych tu z Besarabii, Ukrainy, Bośni, Serbii i Słowenii.

Halina

– Słoma leżała na podłodze, ludzi obłaziły wszy – wspomina Halina. – Gruby Niemiec, nazywaliśmy go „Ne", chodził po baraku i bykowcem walił na oślep. „Będę wam śpiewał kołysankę", krzyczał po polsku.

Niedługo potem ojca i najstarszą Anielę wywieźli na roboty do Niemiec. Matka, babcia i pięć dziewczynek trafiły do Stoczka Łukowskiego. Ulokowano je w oborze księdza razem z innymi rodzinami wysiedleńców. Nie miały naczyń, koca, bielizny na zmianę. Suchary szybko zostały zjedzone i głód zaczął mącić w głowie.

Halina kręciła się koło niemieckiego sztabu. Gdy Niemcy zapytali ją o ojca, odparła, że jest na robotach. Kazali przynieść jego list i na podstawie adresu wywnioskowali, że do domu nie wróci, bo pracuje w fabryce broni. Ale skąd listy ojca w Stoczku Łukowskim? Pisał do nich czy na adres domowy? Halina nie pamięta. Wie tylko, że mama trzymała listy pod poduszką i niełatwo było je wykraść.

Niemcy dali jej z litości miskę kaszy z gulaszem. Jadła łapczywie, a oni pękali ze śmiechu. Potem ukradła kankę jagód uzbieranych przez babcię i im zaniosła. Znów mogła się najeść. Matka chorowała, leżała na słomie w gorączce i nie mogła troszczyć się o dzieci. Wysyłała je po proszonym. Dziewczynki stawały przed drzwiami sąsiedzkich domów i wstydziły się zapukać, wracały do matki z pustymi rękami. „Jak was Niemcy wysiedlili, to widać zasłużyliście", wołali za nimi miejscowi.

Halina miała 11 lat, gdy zaczęła pracować. Najpierw pasła krowy, potem opiekowała się dzieckiem piekarzy i ważyła ciasto na chleb. – Nie za pieniądze tam poszłam, tylko za jedzenie – wspomina. – Cokolwiek dali, człowiek się cieszył. W nocy kazali chodzić po wodę. Dwa wiadra musiałam przynieść, a studnia daleko. Idę raz z tymi wiadrami pod górę, a za mną Niemcy coś szwargoczą. Zabrali nosidła i kazali prowadzić do domu. Weszli, wodę piekarzom wylali na pokój i krzyczeli, pokazując na mnie. Nigdy mnie już potem po wodę nie posyłali. Może ten Niemiec miał dziecko w moim wieku?

Halina nie pamięta, kiedy umarła babcia. Czy to był rok 1943, czy już 1944? Nie zapomni jednak, jak smakował kapuśniak, który babcia ugotowała przed śmiercią. Musiał być bardzo kwaśny, bo jak się najedli, całą noc popijali. Babcia piła prosto z wiadra. Następnego ranka majaczyła w gorączce, a po kilku dniach zmarła. Dur brzuszny, orzekł lekarz. A może lekarza nie było? Znów luka w pamięci. Gdy rozmawiamy, Halina ma 89 lat.

– Szkoda, że nie przyszła pani wcześniej, co ja mogę teraz powiedzieć? – mimo to opowiada, jak krzątała się wokół pogrzebu babci. Biegała do księdza i urzędu. I sama szła za trumną.

Zosia

Ona wojny nie pamięta. Ssała pustą pierś matki i płakała najgłośniej z całego baraku. Gdy dotarli do Stoczka Łukowskiego, była już wycieńczona. Przeżyła dzięki partyzantom. Zjawili się przebrani za Niemców i zawieźli dzieci wysiedleńców do warszawskiego Szpitala Dzieciątka Jezus. Personel przyjął je z narażeniem życia. Niemcy szukali potem dzieci, zrobili też nalot na szpital. Personel zamknął je w piwnicy. Ola trzymała Zosię na rękach i prosiła cichutko, by nie płakała, bo wszystkich zabiją.

Gdy dziewczynki wyleczono, rozdzielono je do rodzin. Zosię wzięli lekarze, Marysię aptekarze, Jankę ogrodnicy, a Ola trafiła do sierocińca dla kalek. Jeszcze podczas wojny siostry spotykały się i razem bawiły. Gdy partyzanci przyjechali po dzieci, Halina pasła krowy. Wróciła, jak żadnej z sióstr już nie było.

Wojnę przetrwała wraz z matką w Stoczku Łukowskim. Po wkroczeniu Sowietów ruszyły do domu. Nie mogły się nadziwić, że czerwonoarmiści noszą karabiny na sznurku, chodzą w łapciach i są jeszcze bardziej wygłodniali od nich. Rzucali się na każdy łup, za flaszkę wódki godzili się podwieźć podróżnych, za dziurawy płaszcz mogli zastrzelić.

Wracały kilka tygodni. Z Lublina do Zamościa szły pieszo. Dziewczynka ustawała, ale matka nie pozwalała na długi odpoczynek, musiały iść razem z innymi.

Dom w Wierzbie był ogołocony, pola nieobsiane. Matka zostawiła Halinkę i ruszyła po młodsze córki. Po kilku tygodniach przywiozła Olę, Jankę i Marysię. Ojciec i najstarsza Aniela wciąż byli w Niemczech.

Rodzina

Zosia nie wróciła. Państwo W., lekarze (ona pediatra, on kardiolog) ze Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, pokochali ją. Gdy Agnieszka Kapłon upomniała się o Zosię, nie chcieli jej oddać. „Ona i tak by wam umarła, a my dzieci nie mamy, to ją wykształcimy. Pomoże nam i wam", przekonywali. W kolorowej sukience i skórzanych sandałkach Zosia wyglądała jak „pańskie dziecko". Żadna z córek Agnieszki nawet nie marzyła o takich butach.

– Dlaczego matka zgodziła się na to? Dlaczego jej nie zabrała? – pytam Halinę.

– Całe życie nie mogłam się temu nadziwić. Wykołowali ją ci lekarze. Obiecywali, że nie tylko Zosię wykształcą, ale i nam pomogą. Matka była prosta kobieta, nie miała szkół. Uwierzyła, że córce będzie w życiu lepiej – tłumaczy sobie Halina.

Przez pierwsze lata z Warszawy przychodziły listy, że Zosia rośnie w oczach, że jest bystra i rezolutna. Po powrocie ojca z Niemiec ruszyła sprawa sądowa o adopcję Zosi. Rodzice wysłali Halinę do księdza w Łabuniach po odpis metryki siostry. Państwo W. przekonali Kapłonów, że dziewczynka będzie regularnie kontaktować się z rodziną.

Po latach Jan będzie krzyczeć, że to wina Agnieszki, że ona pierwsza zgodziła się i podpisała dokumenty, że się córki wyrzekła. Ona odpowiadała, że nie chciała biedy dla dziecka, że z miłości ją oddała, że uwierzyła lekarzom. ↦

ELIŻA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Halina Piskor, Zamość, 10 sierpnia 2022 r.

ARCHIWUM PRYWATNE

Marysia, Zosia i Halina, dzieci Agnieszki i Jana Kapłonów, lata 40.

Tęskniła za córką. Gdy Zosia miała sześć lat, może siedem, Agnieszka pojechała do Warszawy, aby ją zobaczyć. Pani W. zgodziła się wpuścić ją do domu pod jednym warunkiem: że nie odezwie się do dziewczynki. W korytarzu stała więc wiejska kobieta w chustce na głowie, w dłoniach mięła bilet autobusowy i przyglądała się, jak lekarka rozmawia z Zosią. – To byli dobrzy ludzie, ryzykowali życiem, żeby podczas wojny ratować dzieci – łzy płyną po policzkach Haliny. – Po adopcji zmienili mieszkanie i przestali się kontaktować.

Kilka lat po sprawie sądowej o adopcję przyszedł list, że Zosia jest bardzo chora. Lekarze zaprosili rodziców do Warszawy. Pojechał Jan, na bilet dla żony nie mieli pieniędzy. Dziewczynka leżała w szpitalu, po operacji. Ojciec widział ją przez szybę. Nigdy więcej Zosi nie zobaczył.

Podobieństwo

Halina pamięta biedę na powojennej wsi. Ludzie wracali do zniszczonych gospodarstw i zaczynali od nowa. Nie mieli czym obrabiać ziemi, nie mogli nakarmić dzieci.

U nich dziewczynki jadły nadgniłe pomidory i ziemniaki bez omasty. Matka wynajmowała się do robót w polu, żeby i na to starczyło. I choć Halina marzyła, że wróci do szkoły, bo przed wysiedleniem skończyła cztery klasy, nie było o tym mowy. Prosiła ojca, by pozwolił jej uczyć się na krawcową, ale za naukę trzeba było dać dwa metry zboża. A oni nie mieli mąki na chleb dla dzieci. Halina pasła krowy i pomagała w gospodarstwie. Gdy skończyła 18 lat, wyszła za mąż.

– Bez miłości poszłam za niego – wspomina. – Rodzice naciskali. „On z dobrej rodziny, a co to z tego zakochania? Dobrze ci u niego będzie". Tak namawiała matka.

Nie układało się. Mąż szalał z zazdrości i szukał zdrady w każdym jej spojrzeniu. Pił, wszczynał awantury. Po latach zostawiła go, zabrała czwórkę dzieci i przeniosła się do Zamościa. Została kucharką w hotelu robotniczym.

Z sześciu sióstr tylko Marysia zdała maturę i skończyła studia. Jej wykształcenie finansowali aptekarze, do których trafiła podczas wojny. Bo choć wróciła z matką, nie zapomnieli o niej. Gdy obroniła dyplom, zamieszkała w Warszawie, w tej samej dzielnicy co Zosia. Chodziły po swoich śladach. Raz spotkały się w aptece. „O, obce panie, a takie podobne!", miał zawołać na ich widok farmaceuta. Marysia milczała.

Ale było coś jeszcze. Marysia leczyła swoje dzieci u pani W. Pewnego dnia wprost zapytała o siostrę. „Zosia nic nie wie, jak pani jej coś powie, będzie pani musiała z Warszawy wyjechać", zagroziła lekarka. I tak zostało. Marysia nie chciała potem słyszeć o spotkaniu z najmłodszą. Wyrzuciła Zosię z głowy.

Podrzutek

Kiedy Halina pasła krowy na łąkach pod Łabuńkami i marzyła, że zostanie krawcową, Zosia chodziła na spacery z nianią, nosiła kokardy i białe podkolanówki. Miała osobny pokój i mogła się uczyć. Obiad robiła gosposia, pomidory były świeże, chleba nigdy nie brakowało.

Pewnego dnia przyszła ze szkoły zapłakana. Usłyszała, że jest podrzutkiem, że lekarze nie są jej prawdziwymi rodzicami. Wtedy pani W. opowiedziała Zosi historię, która oddzieliła ją od dawnego życia pancerną szybą: usłyszała, że rodzice zostawili ją na torach, a oni, lekarze, przygarnęli i wychowali. Ona ułożyła to sobie po swojemu: skoro ją wyrzucili, to nie chce ich znać. Nigdy ich nie szukała, nie interesowała się swoim pochodzeniem.

– Miałam wielki żal – powiedziała Zosia Halinie po latach. – Spotykałam

Marysię na ulicy i widziałam podobieństwo między nami. Myślałam: „Ją rodzice mogli wykształcić, ona jest panią dyrektor, a mnie matka wyrzuciła, żebym mogła znaleźć się w Warszawie”.

Spotkanie

Halina nie wie, dlaczego rodzice nigdy nie zadzwonili do Zosi. Numer państwa W. był w książce telefonicznej. Choć we wsi długo nie było linii, można było zamówić międzymiastową na poczcie w Łabuniach. Nie rozumie, dlaczego nie wsiedli do autobusu i nie odszukali jej w Warszawie. Dlaczego nie próbowali się z Zosią spotkać i powiedzieć o wszystkim, kiedy dorosła. Może bali się spojrzeć córce w oczy? Ojciec do śmierci czuł wyrzuty sumienia.

Halina zaczęła poszukiwania, gdy jej dzieci wyszły z domu. Była po pięćdziesiątce. Siostry odradzały. Aniela, Janka i Ola miały własne problemy, a Marysia odwracała wzrok, gdy mijała Zosię na ulicy. Przeszłość nie dawała jednak Halinie spokoju.

Gdy wspomina pierwszą rozmowę telefoniczną, głos więźnie jej w gardle. Przedstawiła się, a po długiej chwili milczenia usłyszała: „Proszę pani, ja żadnych sióstr nie mam i nie dysponuję czasem, żeby pani do mnie przyszła”. Słuchawka trzasnęła.

Nie zrezygnowała. Postanowiła poznać znajomych Zosi i tą drogą zbliżyć się do niej. Dopiero wtedy udało się namówić siostrę na rozmowę. Spotkały się w Warszawie w 2006 r., w domu Marysi. Nie żyli już ani ich rodzice, ani opiekunowie Zosi.

– Przyszła z wnuczką, przyniosła lody i pepsi colę. Chłodno się z nami przywitała – wspomina Halina. – To wyglądało jak odwiedziny znajomej.

Słowem nie wspomniały o przeszłości. Zosia nie pytała. Halina nie wiedziała, od czego zacząć. Pogadały o sprawach nieważnych. Od tamtego czasu widziały się jeszcze kilka razy. Zosia przyjechała na grób rodziców, odwiedziła Halinę w Zamościu. „Wybaczyłam mamie dopiero, jak poznałam całą historię. Uwierzyłam, że chciała mnie uratować. Ale nikt nam nie wróci tych lat”, powiedziała Zosia siostrze. Więcej do tego nie wracały.

■■■

A jednak Halina nie tak to sobie wyobrażała. Widziała w telewizji, jak ludzie odnajdują się po latach. Cieszą się, padają sobie w ramiona, są szczęśliwi. A ona nie jest. Miała być bliskość, a jest dystans. Miała być miłość, a jest ledwie znajomość. Gdy dziennikarka chciała nakręcić film dokumentalny o ich życiu, Zosia odmówiła. „Wykluczone. Nie chcę się ośmieszać, opowiadać, że pochodzę z jakiejś wioski i ktoś mnie wziął. Cała Warszawa dowie się, że nie jestem lekarską córką”, tak miała usłyszeć Halina od siostry.

– Można powiedzieć, że spełniło się marzenie rodziców, odnalazłam Zosię. Ale ona jakby nie nasza. Jak w tej bajce, którą czytałam wnuczce, o chłopcu zaklętym przez królową śniegu. Tyle że w książkach wszystko kończy się dobrze. A w życiu nie można nikogo zmusić do miłości. Tak już zostanie.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

REKLAMA

FWRS
FESTIWAL FOTOGRAFII W RAMACH SOPOTU
2–18.09.2022

SZCZEGÓŁY : WWW.WRAMACHSOPOTU.PL

DODATKOWO W PROGRAMIE:
SPOTKANIA Z FOTOGRAFAMI
WARSZTATY
STUDIO PORTRETOWE SOPOCIAN

HUBERT HUMKA
KACPER KOWALSKI
AGNIESZKA SEJUD
PATRYK BUŁHAK
DITTE KNUS TØNNESEN
LOTTE FLØE CHRISTENSEN
VERONIKA GEIGER
INUUTEQ STORCH
KIRSTINE AUTZEN
TRINE SØNDERGAARD
EVA YARROW

PISUK
KAWECKI
LILHOLT

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY

PROJEKT WSPÓŁFINANOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA SOPOTU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Sopot
PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI

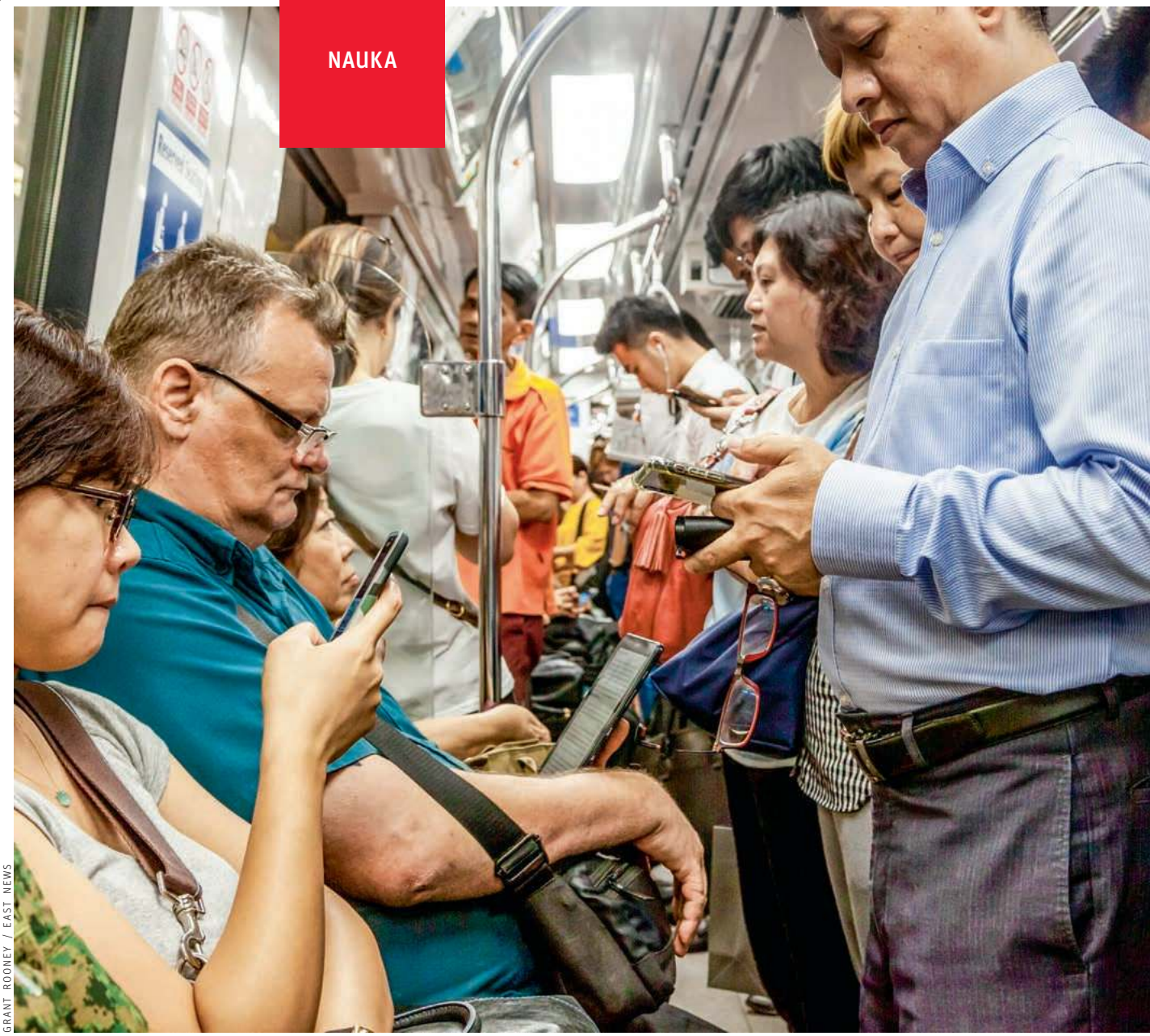

GRANT RODNEY / EAST NEWS

NA CYFROWEJ KOZETCE

Z powodu niedoboru specjalistów i obaw przed stygmatyzacją większość osób zmagających się z chorobami psychicznymi pozostaje bez profesjonalnej opieki. Czy pomoże im sztuczna inteligencja?

JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

Możesz powiedzieć więcej o tym, co się dzieje?

– Słabo się czuję.

– Czy dobrze rozumiem, że problem w tym, że czujesz się przybity?

– Dokładnie.

– Smutek może sprawić, że najmniejsze wyzwania wydają się nam górami, na które nie da się wspiąć, ale chcę żebyś wiedział: jestem tu, żeby ci pomóc, i razem możemy przez to przejść.

Mogłoby się wydawać, że to początek typowej sesji psychoterapeutycznej. Rozmówcy siedzą w głębokich fotelach ustawionych naprzeciw siebie pod lekkim kątem. Na niskim stoliku między nimi leży pudełko chusteczek.

W metrze w Singapurze, maj 2019 r.

Ale powyższy dialog odbył się w supermarkecie. W długiej kolejce zacząłem rozmawiać na telefonie z Woebotem – anglojęzycznym czatbotem terapeutycznym. Gdyby ktoś na mnie spojrzał, pomyślałby pewnie, że sprawdzam listę zakupów.

Inteligencja na co dzień

Sztucznej inteligencji (ang. *artificial intelligence* – AI) chyba już nikomu nie trzeba przedstawiać. Przypomnijmy tylko, że mianem tym określamy każdy sztucznie stworzony system, który zdolny jest w pewnym zakresie naśladować ludzką inteligencję poprzez realizowanie zadań takich jak posługiwanie się językiem, rozpoznawanie wzorców czy przeprowadzanie rozumowań. W odróżnieniu od klasycznych programów komputerowych algorytmy AI mają zdolność ciągłego samodoskonalenia zwaną „uczeniem maszynowym". Podobnie jak w przypadku nabywania wielu umiejętności przez ludzi, im więcej razy algorytm wykona dane zadanie, tym lepiej będzie sobie z nim radził w przyszłości.

Sztuczną inteligencję wyposażoną w rodzaj mechanicznego ciała, z którego pomocą może ona bezpośrednio oddziaływać ze światem zewnętrznym, nazywamy „inteligentnymi robotami" – to np. samosterujące się samochody. Większość systemów AI zamieszkuje jednak wyłącznie świat wirtualny. To one napędzają wyszukiwarki internatowe, czyszczą nasze skrzynki mailowe ze spamu, w mgnieniu oka upiększają wrzucane na Instagram zdjęcia, a na serwisach streamingowych polecają nam seriale.

Jednym z zadań, z którymi AI radzi sobie całkiem nieźle, jest analiza obrazów. Dlatego też szeroko eksplorowane jest wykorzystanie AI w diagnostyce medycznej. Np. w marcu 2019 r. zespół Ioannisa Sechopoulosa z Uniwersytetu im. Radbouda w Nijmegen wykazał, że sztuczna inteligencja może analizować wyniki mammografii nie gorzej niż doświadczeni radiolodzy.

Wyglądasz, jakbyś cierpiał

Coraz częściej AI wykorzystywana jest także w psychiatrii. Tu również na plan pierwszy wysuwa się diagnostyka. Podejmuje się już np. pierwsze próby stosowania algorytmów uczenia maszynowego do rozpoznawania objawów depresji na podstawie analizy ludzkiej mowy i mimiki, i można mieć nadzieję, że w przyszłości maszyny będą umiały robić to przynajmniej tak dobrze jak ludzie. Może się jednak okazać, że uczenie maszynowe otworzy przed nami dostęp do zupełnie nowych zasobów, nieosiągalnych dla ludzkich diagnostów.

Zakładając, że depresji często towarzyszy pewien stopień zaburzenia funkcji motorycznych, zespół profesora Leontiosa Hadjileontiadisa z Uniwersytetu w Tesalonikach zaproponował w 2019 r. metodę wczesnego rozpoznawania depresji na podstawie analizy rytmu, w jakim użytkownicy piszą wiadomości na swoich telefonach komórkowych. Chodzi tu o analizę nie treści tych wiadomości, lecz jedynie szybkości i częstotliwości, z jaką ludzie wybierają kolejne litery na ekranach dotykowych. W podobnym duchu Shweta Ware z Uniwersytetu w Connecticut ze współpracownikami zaproponowali metodę diagnostyczną opartą na śledzeniu lokalizacji właścicieli urządzeń mobilnych. Badanie zostało przeprowadzone wśród studentów na kampusie uniwersyteckim, a jego podstawowa przesłanka była prosta: studenci zmagający się z depresją spędzają średnio więcej czasu w swoich pokojach, rzadziej odwiedzają nowe miejsca i rzadziej korzystają z infrastruktury sportowej czy rozrywkowej.

Oczywiście skuteczność każdej z tych metod jest ograniczona. Jednak algorytmy – w przeciwieństwie do ludzi – są niestrudzone. Wyposażony w odpowiednią moc obliczeniową algorytm będzie mógł w przyszłości równocześnie analizować dane o naszej lokalizacji i sposobie korzystania z urządzeń mobilnych, treść i intonację naszych wypowiedzi, naszą mimikę i wiele innych parametrów. Potencjał takiego kumulatywnego rozwiązania jest ogromny.

Ten głos ma w końcu twarz

Możliwości AI w psychiatrii nie ograniczają się jednak do diagnostyki. Można ją też stosować w samym procesie leczenia. Jednym z przykładów takiego zastosowania jest fascynująca metoda terapeutyczna przeznaczona dla osób doznających tzw. halucynacji słuchowych słownych – co potocznie określa się mianem „słyszenia głosów". Chociaż to zjawisko może mieć różne podłoże, stanowi jeden z typowych objawów schizofrenii – uznaje się, że około 70 proc. osób, u których zdiagnozowano schizofrenię, słyszy głosy. Objaw ten najczęściej pojawia się u pacjentów po raz pierwszy już w okresie dojrzewania lub wczesnej dorosłości – przed 25. rokiem życia. Treść wypowiedzi, które pacjenci słyszą w swojej głowie, jest różna, ale dominuje przekaz negatywny i oskarżycielski. Pacjent może np. słyszeć głos mówiący „Jesteś bezwartościowy", „Nikt cię nie potrzebuje", a nawet „Zabij się" czy „Skocz z mostu".

Wspomniana terapia wykorzystuje połączenie AI oraz wirtualnej rzeczywistości. Pierwszym krokiem ↦

↦ jest stworzenie przez pacjenta i terapeutę awatara, czyli wirtualnej reprezentacji danego głosu. Korzystając z obszernych bibliotek zawierających dziesiątki tysięcy kombinacji cech fizycznych, pacjenci mogą stworzyć niejako „portret pamięciowy" postaci, której głos słyszą. Mogą też wybrać odpowiedni ton głosu, którym awatar będzie się posługiwał. Tym samym awatary stają się uosobieniami głosów w głowie pacjentów. W trakcie samej terapii pacjent widzi na ekranie stworzonego przez siebie awatara, który sterowany jest przez terapeutę z innego pomieszczenia. Awatar naśladuje mimikę terapeuty i powtarza jego wypowiedzi – robi to jednak własną wirtualną twarzą i własnym wirtualnym głosem. Dzięki takiemu rozwiązaniu pacjenci stają twarzą w twarz z głosami słyszanymi w swoich głowach, a tym samym – w bezpiecznych i kontrolowanych warunkach terapii – mogą się uczyć odpowiedniego reagowania na doświadczane przez siebie halucynacje. Terapeuta, kontrolując awatara, kontroluje także intensywność pracy terapeutycznej i dostosowuje ją do aktualnych potrzeb i możliwości pacjenta.

Sztuczny terapeuta

Tego typu awatary stanowią potencjalnie znakomite narzędzie wspomagające pracę terapeutów. Brak specjalistów w zakresie zdrowia psychicznego jest jednak sporym problemem – według Światowej Organizacji Zdrowia na całym świecie na każde 100 tys. osób przypada ich zaledwie 13. Szacuje się też, że 70 proc. osób zmagających się z chorobami psychicznymi pozostaje bez profesjonalnej opieki. Jeśli więc AI ma nam pomóc, powinniśmy poszukiwać rozwiązań, które w ogóle nie będą wymagały uczestnictwa człowieka.

Pierwszym krokiem w tym kierunku są coraz popularniejsze czatboty terapeutyczne. Zdecydowana większość z nich posługuje się językiem angielskim. Do najpopularniejszych należą Tess, Wysa czy wspomniany na początku Woebot – uosabiany przez żółtego robota o wielkich, okrągłych oczach. Zespół kierowany przez Jarosława Michałowskiego z Uniwersytetu SWPS pracuje obecnie nad przygotowaniem pierwszego polskojęzycznego czatbota terapeutycznego, który ma nosić imię Fido. Na czym dokładnie polega działanie takich czatbotów?

Zalicza się je do tzw. czatbotów konwersacyjnych. To algorytmy wyspecjalizowane w przetwarzaniu języka, które coraz częściej spotykać można np. na stronach banków czy sklepów internetowych, gdzie mają za zadanie ułatwić klientowi rozwiązanie często napotykanego problemu lub odnalezienie odpowiedniej usługi. Czatboty terapeutyczne stoją, rzecz jasna, przed znacznie trudniejszym zadaniem – przeprowadzaniem interwencji terapeutycznej.

By to zilustrować, wróćmy na chwilę do rozmowy, którą odbyłem w supermarkecie z czatbotem Woebot. Po tym, jak zapewnił mnie o swoim wsparciu, Woebot zaproponował mi kilka rzeczy, które mógłbym zrobić w związku z moim obniżonym nastrojem. Jedną z nich była próba uchwycenia, przeanalizowania i w końcu zmiany sposobów myślenia, które mogą leżeć u podłoża mojego złego samopoczucia.

Choć termin ten nie padł w mojej rozmowie z Woebotem, każdy, kto zna się na psychoterapii, rozpoznałby w tym proces tzw. restrukturyzacji poznawczej – wykorzystywany w niezwykle popularnej terapii poznawczo-behawioralnej. Kiedy, na prośbę Woebota, wpisałem do aplikacji trzy myśli, które mnie wówczas dręczyły, czatbot przeprowadził mnie przez listę błędów poznawczych, na których myśli te mogą bazować.

Myśl o tym, że jak zawsze nie zdążę wysłać artykułu w wyznaczonym terminie, okazała się oparta na nadmiernej generalizacji – czyli dokonaniu nieuprawnionego uogólnienia. Fakt, że ostatnio zdarzyło mi się wysłać artykuł po terminie, nie oznacza, że robię to zawsze. Z łatwością mogłem pomyśleć o kilku niedawnych sytuacjach, kiedy wysłałem obiecany tekst na czas. Krótką sesję terapeutyczną przerwał głos kasjera pytającego, czy potrzebuję siatki.

Problemy z czatbotami

Twórcy czatbotów terapeutycznych przedstawiają liczne argumenty na rzecz oferowanych przez siebie rozwiązań. Podstawowymi są wspomniany już niedobór specjalistów w zakresie zdrowia psychicznego oraz wysokie koszty pomocy

Do której szkoły zapisać czatbota?

PSYCHOTERAPIA nie jest monolitem. James Prochaska i John Norcross, autorzy znanego kompendium podejść psychoterapeutycznych, szacują, że istnieje obecnie około 500 różnych metod terapeutycznych. Większość z nich należy do jednej z głównych tradycji, jak np. psychoanalityczna, psychodynamiczna, egzystencjalna, Gestalt czy poznawczo-behawioralna.

TRADYCJE TE różnią się między sobą sposobem rozumienia źródła problemów psychologicznych, a w konsekwencji stosują różne metody i techniki pracy z klientami. Podczas gdy psychoanalityk będzie starał się pomóc klientowi w rozwiązaniu wewnętrznego konfliktu poprzez analizę swobodnych skojarzeń, snów czy przeniesienia na terapeutę emocji, których klient doświadcza w stosunku do innych osób, terapeuta poznawczo-behawioralny będzie raczej koncentrował się na zauważaniu i zmianie problematycznych sposobów myślenia lub kontrolowanej ekspozycji na bodźce, które wywołują u klienta lęk.

NA WYBÓR konkretnej szkoły przez przyszłych terapeutów wpływają takie czynniki, jak chociażby indywidualny styl uczenia się, wyznawane wartości czy osobowość. Jednak w przypadku czatbotów terapeutycznych wybór metody, z której będą korzystały, należy do ich twórców. Istniejące dzisiaj czatboty oparte są niemal wyłącznie na metodach terapii poznawczo-behawioralnej. Kontrowersją pozostaje jednak, czy jest to jedyne lub najlepsze rozwiązanie. Ponadto większość terapeutów deklaruje, że w swojej pracy integruje metody należące do różnych szkół i tradycji. Być może więc powinniśmy także czatbotów uczyć wykorzystywania różnych technik, np. dając im do analizy dane pochodzące z zapisu sesji psychoterapeutycznych prowadzonych różnymi metodami. ©

psychoterapeutycznej oferowanej przez specjalistów prywatnie. Innym argumentem jest wciąż obecna w naszym społeczeństwie stygmatyzacja problemów psychicznych. Wiele osób nie zgłasza się do psychiatry lub terapeuty, ponieważ mniej lub bardziej świadomie boi się, że w konsekwencji przylgnie do nich łatka „wariata". Obawa ta może być szczególnie paraliżująca w przypadku ludzi młodych, którzy znacznie bardziej komfortowo będą czuli się w interakcji ze swoim telefonem niż z obcym dorosłym wypytującym o ich problemy.

Ten ostatni argument ma jednak swoje ograniczenia. Jak zauważa filozofka Șerife Tekin z Uniwersytetu Teksańskiego w San Antonio, naszym celem powinno być przeciwdziałanie społecznej stygmatyzacji chorób psychicznych, a nie obchodzenie tego problemu. Mimo iż powstają w dobrej wierze, czatboty terapeutyczne mogą przyczynić się do pogłębienia izolacji osób zmagających się z problemami psychicznymi, jeśli te nabiorą mylnego wrażenia, że wraz z nadejściem czatbotów wszystkie narzędzia potrzebne do poprawy swojego stanu mają w kieszeni.

Wiąże się z tym jeszcze jeden, być może najistotniejszy problem wywołany przez współczesny boom na czatboty terapeutyczne. Wielu producentów czatbotów bardziej lub mniej otwarcie reklamuje oferowane przez siebie produkty jako substytut psychoterapii. Na swojej stronie internetowej Woebot nie jest przedstawiany jako terapeuta, lecz jako „Twój osobisty sprzymierzeniec w zakresie zdrowia psychicznego". Na tej samej stronie czytamy jednak, że zadaniem Woebota jest „dostarczanie indywidualnego wsparcia terapeutycznego poprzez wykorzystanie łatwych w obsłudze rozwiązań terapeutycznych" oraz że „nie ma u nas umawiania terminów spotkań czy siedzenia w poczekalniach". Tym samym twórcy aplikacji sugerują, że ich produkt może i powinien być porównywany z wizytą u specjalisty, a nie np. z lekturą książki samopomocowej. Problem w tym, że czatboty terapeutyczne nie oferują psychoterapii.

> Na skali pomiędzy terapią oferowaną przez wykwalifikowanego specjalistę a książką samopomocową czatboty **znajdują się znacznie bliżej książki.**

To nie jest terapia

Jak zauważa wspominana Șerife Tekin, żeby mówić o psychoterapii, musimy mieć do czynienia z zaistnieniem szczególnego rodzaju relacji – zwanej „relacją terapeutyczną". Istotnymi elementami tej relacji są empatia, zaufanie czy wzajemne zrozumienie. Czatboty, nie będąc podmiotami czy osobami, nie mogą z nami budować tego rodzaju relacji. Trudno jest np. powiedzieć, że mogę obdarzyć czatbota zaufaniem. Jeśli ufam, że czatbot będzie dobrze działał albo że informacje, które wprowadzam do aplikacji, nie trafią w niepowołane ręce, to być może obdarzam zaufaniem twórcę czatbota, ale na pewno nie sam program czy algorytm.

Podobnie jest z empatią. Czatboty mogą naśladować niektóre zachowania kojarzone z empatią, np. mówiąc „przykro mi, że tak się czujesz". Nie znaczy to jednak, że faktycznie z nami empatyzują. Jak wie każdy, kto ma szczęście posiadać przyjaciół, empatia nie sprowadza się do zrobienia w odpowiednim momencie smutnej, zamyślonej miny. Prawdziwa empatia wymaga zdolności współodczuwania i współdoświadczania, której czatbotom brakuje.

Jeśli jednak czatboty nie prowadzą terapii, to co robią? Dostępne czatboty potrafią przeprowadzić użytkowników przez wybrane techniki terapeutyczne (jak chociażby wspomniana restrukturyzacja poznawcza, czyli zauważanie, analiza i zmiana problematycznych sposobów myślenia), zasugerować ćwiczenie relaksacyjne, trening uważności lub odpowiednie materiały psychoedukacyjne.

Mogą więc służyć jako uzupełnienie psychoterapii prowadzonej przez człowieka lub jako wsparcie dla osób, które nie potrzebują psychoterapii, ale chcą popracować nad poprawą jakości swojego życia. Na skali pomiędzy terapią oferowaną przez wykwalifikowanego specjalistę a książką samopomocową czatboty terapeutyczne znajdują się jednak znacznie bliżej książki.

Spojrzenie w przyszłość

Kiedy zatem będziemy mogli umówić naszą pierwszą sesję terapeutyczną u sztucznej inteligencji? Niestety najpewniej nie wydarzy się to w najbliższej przyszłości.

Być może wraz z rozwojem technologii będą powstawały algorytmy i roboty coraz lepiej udające ludzki sposób doświadczania rzeczywistości i pewnie coraz częściej będziemy się na to nabierać. Czy jednak w psychoterapii wystarczy, żeby wydawało się nam, że terapeuta nam współczuje i nas rozumie? A może warunkiem jej skuteczności jest autentyczne współczucie i zrozumienie?

Poza tym obecnie dostępna AI radzi sobie najlepiej z wąskimi, jasno wytyczonymi zadaniami. Łatwo jest zbudować czatbota, który będzie umiał pomóc nam wybrać spośród puli usług oferowanych przez dany bank. Jeśli jednak tego samego czatbota zapytamy o przepis na jagodzianki, najprawdopodobniej okaże się bezradny. Mało prawdopodobne, że da się zbudować stosunkowo wąską listę wszystkich tematów, które poruszane są w trakcie psychoterapii. Jak głosi słynne pierwsze zdanie powieści „Anna Karenina": „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób". Ludzkie cierpienie ma bardzo różne oblicza. Długo jeszcze trzeba będzie czekać, żeby o nich wszystkich porozmawiać z maszyną.

© JĘDRZEJ GRODNIEWICZ

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 205/22 toczy się postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Eryku Peterze, s. Edmunda i Marii, ur. 5 stycznia 1959 r. w Gliwicach, zm. 4 grudnia 2018 r. w Gliwicach. Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawcy to Gliwice.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie moga zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Co prowadzi do kary

KATARZYNA DZIADOWICZ

Złościsz się, kiedy ktoś cię oszukuje, prawda? Ale z badania, w którym zastosowano sztuczną inteligencję, wynika, że to nie złość motywuje do wyrównania rachunków.

Doświadczenie niesprawiedliwości budzi w nas chęć odwetu. Wiemy o tym zarówno z życiowego doświadczenia, jak i obserwacji osób, które uczestniczą w grach ekonomicznych w laboratoriach psychologów. Można w nich wygrać prawdziwe pieniądze, ale uczestnicy nie zawsze kierują się czystym zyskiem – czasem dają się ponieść emocjom, np. po to, by ukarać innego gracza.

Joseph Heffner i Oriel FeldmanHall z Brown University postawili pytanie, jaka emocja wpływa na decyzję o wymierzaniu kary. Wcześniejsze badania sugerowały, że kluczowa jest złość. Np. wykazano, że im bardziej rozzłoszczeni są badani, tym chętniej będą wymierzać kary. Ale czy to rzeczywiście jedyna emocja, którą wtedy odczuwamy? Co np. ze smutkiem czy rozczarowaniem?

Heffner i FeldmanHall doszli do wniosku, że tradycyjne metody psychologii, oparte na kwestionariuszach czy pomiarach fizjologicznych wskaźników pobudzenia emocjonalnego (np. zmiany przewodnictwa elektrycznego skóry pod wpływem wzmożonej potliwości), mają spore ograniczenia. Reakcje fizjologiczne niekoniecznie świadczą o odczuwaniu konkretnej emocji, tylko o sile pobudzenia. Sama zaś konstrukcja pytań o emocje może projektować u badanych różne odczucia. Dlatego tym razem badacze postanowili wspomóc się sztuczną inteligencją. Wyniki eksperymentu przedstawili w „Nature Communications".

Najpierw każdy badany został poproszony o zaznaczenie na wykresie punktów, które odpowiadałyby dwudziestu konkretnym emocjom – oś y oznaczała siłę pobudzenia, a oś x jego wartość (od pozytywnej do negatywnej). Jeżeli badany uważał złość za bardzo silną negatywną emocję, to powinien zaznaczyć jej miejsce gdzieś w lewej górnej części wykresu, podczas gdy np. zadowolenie znajdowałoby się niżej, w prawej części, bliżej środka. Później badani przystępowali do trzech gier ekonomicznych.

Jedną z nich była gra w ultimatum. Pierwszy gracz otrzymał pewną kwotę, którą miał dowolnie podzielić między siebie i partnera. Ten z kolei decydował, czy przyjmie ofertę czy ją odrzuci – a wtedy obaj gracze odchodzili z pustymi rękami. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia przyjęcie każdej oferty jest korzystne, ale w praktyce zbyt nierówne oferty są często odrzucane.

UPPA / BE&W

Pierwsze międzynarodowe zawody w grę w „Monopoly", Londyn, sierpień 2008 r.

W drugiej grze, trwającej kilkadziesiąt rund, dwaj uczestnicy mieli wpłacać część otrzymanych pieniędzy do wspólnej kasy, zebrana kwota była następnie mnożona razy półtora i rozdzielana pomiędzy obu graczy. Oznaczało to dla nich, że im mniejszą kwotę oddadzą do wspólnej puli, tym lepiej na tym wyjdą – zwłaszcza, jeśli ich partner będzie hojny. Ale każdy gracz musiał brać pod uwagę to, że partner może źle zareagować na samolubną postawę – i również zacznie wpłacać niewielką kwotę. A wtedy zyski obu graczy będą minimalne. Trzecia gra miała podobną strukturę, ale brało w niej udział więcej graczy.

Przed podjęciem decyzji o wymierzeniu kary lub podjęciu współpracy badani zaznaczali na takim samym wykresie jak poprzedni, co czują w tym momencie – jak silne pobudzenie odczuwają i czy jest ono pozytywne czy negatywne. Nie nazywali emocji, które się z tym pobudzeniem wiążą – właśnie to miały zrobić algorytmy. Te na podstawie wcześniej zebranych danych nauczyły się, w których miejscach wykresu badani statystycznie najczęściej zaznaczali konkretne emocje, a następnie wykorzystały te informacje do stworzenia „mapy emocji". Kiedy więc badani w trakcie grania określili swoje pobudzenie na dwóch wymiarach, to algorytmy były już w stanie te emocje nazwać. Zasadność tej metody uzależniona jest oczywiście od tego, na ile te mapy adekwatnie identyfikują emocje, ale uzyskane wyniki są interesujące – i mogą być punktem wyjścia do kolejnych badań.

Okazało się bowiem, że gdy gracze decydowali się na stosowanie kary (odrzucanie nierównej oferty w grze w ultimatum), najczęściej wskazywali takie pobudzenie, które algorytmy rozpoznawały jako smutek, rozczarowanie i obrzydzenie – a nie złość, jak można by się spodziewać na podstawie wcześniejszych badań.

Inna metoda analizy pozwoliła stwierdzić, że to nie najsilniejsze negatywne emocje najbardziej motywują do zastosowania kary, ale negatywne emocje o neutralnym poziomie pobudzenia – do tej grupy zaliczyć można właśnie smutek czy rozczarowanie. Jeżeli coś faktycznie wzbudziło złość, to tylko niewielki odsetek ofert – te, które były naprawdę nierówne, a więc były uznawane za wyjątkowo niesprawiedliwe.

W kolejnych grach złość również nie była główną emocją, która poprzedzała decyzję o zerwaniu współpracy. Według algorytmów gracze, którzy zaprzestawali współpracy, odczuwali podobne emocje jak gracze odrzucający nierówną ofertę – smutek, rozczarowanie i obrzydzenie. Kiedy badani przyjmowali ofertę, najczęściej czuli satysfakcję, radość i byli pełni werwy, a kiedy decydowali się na współpracę – radość, satysfakcję i entuzjazm. A przynajmniej tak uznały algorytmy. ©

TOMASZ

Stawiszyński: *Nieprzewidywalność*

Znałem kiedyś człowieka, który w specyficzny sposób obchodził się z rozmaitymi, nazwijmy to, nieregularnościami i nieprzewidywalnościami życia. Od tych najprostszych, jak rozbijająca się znienacka filiżanka z herbatą albo przewracający z rumorem stos książek, aż po te najtragiczniejsze, jak choroba czy śmierć kogoś bliskiego. Otóż, ilekroć coś podobnego się wydarzało, człowiek ten natychmiast wskazywał winnego. W jego otoczeniu filiżanki nigdy nie spadały na podłogę tak po prostu, wskutek jakichś przypadkowych a nieuważnych poruszeń, za którymi nie stała żadna intencjonalność. Stosy książek nigdy nie wywracały się inaczej, jak tylko z powodu cudzych prowokacji, choćby nawet domniemanych prowokatorów fizycznie przy tym nie było. Wszelkie choroby zaś albo śmierć zawsze miały źródło w czyichś perfidnych zaniechaniach albo sabotażach. Jednym słowem: w wewnętrznym świecie tego człowieka panowało głębokie przekonanie, że to, co nie podlega jego kontroli, nie jest, by tak rzec, naturalnym składnikiem krajobrazu, lecz zawsze efektem świadomych inwazji dokonywanych przez możliwych do łatwej identyfikacji sprawców.

Centralną rolę odgrywała tu zatem fantazja o życiu przewidywalnym, policzalnym, bezpiecznym i okiełznanym. A także towarzyszący tej fantazji tyleż intensywny, co skrzętnie pod jej lukrowaną powierzchnią ukrywany lęk przed chaosem, stratą i destrukcją. Czyli po prostu przed tym wszystkim, co ostatecznie rozbija iluzję, że życie daje się utrzymać w jakiejś w miarę bezpiecznej, w miarę oswojonej ramie.

Rzecz bowiem właśnie w tym, że się go w tej ramie utrzymać na dłuższą metę nie da. Niezależnie od wszelkich wysiłków, metaforyczne i niemetaforyczne filiżanki i tak będą się rozpryskiwać na tysiące kawałków, a metaforyczne i niemetaforyczne stosy książek upadać z hukiem w najmniej spodziewanych chwilach. Jest to bodaj najbardziej powszechne, najbardziej uniwersalne doświadczenie. Równie jednak powszechne i uniwersalne są starania, żeby ten aspekt istnienia starannie przed sobą zasłonić. Jednym z nich – należącym niestety do najskuteczniejszych – jest wskazywanie winnych.

Mechanizm to uniwersalny, funkcjonujący z powodzeniem zarówno na poziomie jednostkowym, jak i społecznym, będący źródłem niezliczonych, mniej lub bardziej toksycznych mitologii i ideologii, których wspólnym mianownikiem jest żerowanie na naszym pragnieniu odegnania od siebie świadomości, że życie i świat mają także niezrozumiałe, bezsensowne i okrutne oblicze, i że także nas, a nie wyłącznie innych, w każdej chwili może dotknąć nieszczęście. Niedające się wyeliminować z pomocą żadnego algorytmu, procedury, egzorcyzmu.

Przypomniałem sobie niedawno tego znajomego, obserwując w mediach społecznościowych reakcje na wiadomość o wypadku polskiego autokaru, do którego doszło 6 sierpnia w Chorwacji. Osobliwość polskiej sfery publicznej dotkniętej wyjątkowo brutalną formą polaryzacji przejawia się także tym, że każdej tragedii – pandemii nie wyłączając – natychmiast używa się tutaj jako amunicji w politycznym konflikcie. Ma to określone konsekwencje. Cokolwiek złego się dzieje, zawsze jest winą tego czy tamtego polityka oraz jego zwolenników, nigdy nie jest więc nieszczęściem dotykającym nas jako wspólnotę poza tym politycznym podziałem, bowiem wspólnota poza tym politycznym podziałem już w zasadzie nie istnieje. A ponieważ nie istnieje – nie może sobie także z tymi tragediami wspólnotowo radzić. Poszczególnym frakcjom pozostaje więc wyłącznie przemieszczanie odpowiedzialności na siebie nawzajem, a tym samym intensyfikacja konfliktu.

I tak, w dyskusjach o wypadku w Chorwacji winą obarczono bez mała wszystkich, których się dało – nie wykluczając samego bóstwa, w którego istnienie wielu oskarżających wszak deklaratywnie nie wierzy. W tonie cokolwiek nadmiarowego – biorąc pod uwagę długą historię debat o teodycei – triumfalizmu zadawano pytania wierzącym, czy ich wiara, wobec tego, co się stało, nadal pozostaje w mocy. Przerzucano się najrozmaitszymi wersjami wydarzeń, spośród których każda zakładała, że w grę wchodzą tu czynniki możliwe do wydedukowania sprzed ekranu. Obwieszczano je następnie i dobitnie piętnowano tych, którzy ich odpowiednio wcześnie nie wydedukowali.

Poniekąd trudno się dziwić. Straszna, bezsensowna śmierć ludzi pielgrzymujących do Medziugorja – a zatem do miejsca domniemanych manifestacji transcendentnej siły, o której zapewne pragnęli oni wierzyć (a może skrycie pragniemy tego wszyscy?), że ich ma w opiece – jak każda podobna tragedia w jakiś fundamentalny sposób narusza nasze własne poczucie przewidywalności i bezpieczeństwa. Ujawnia prowizoryczność fundamentów, na których wznosi się nasz własny świat. Odsłania jego tymczasowy i nieprzewidywalny charakter.

Oczywiście, wiele wskazuje na to, że ten wypadek wziął się z mniej lub bardziej zawinionych błędów, niedopatrzeń i naruszeń procedur. Niemniej żadne procedury nie sprawią, że świat stanie się stuprocentowo przewidywalny. Niezależnie od tego, kogo za jego nieprzewidywalność obarczymy winą, a być może nawet przykładnie ukarzemy. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygn. I Ns 185/20 postępowanie z wniosku Asekuracja Sp. z o.o. o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Stanisławie Kordylasińskim, zm. 25 listopada 2019 r., ostatnio stale zamieszkałym w Żerkowie. Skład spadku po zmarłym jest nieznany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MOJA LISTA PRZEBOJÓW

ANNA GACEK, DZIENNIKARKA MUZYCZNA:

Gdy ze sceny dobiega świetny utwór, mam poczucie, że wszyscy jesteśmy dzieciakami, które skaczą i wrzeszczą. Na chwilę nie mamy twarzy i nazwisk. Jesteśmy wolni.

ANNA GACEK: Nagrywasz?

MONIKA OCHĘDOWSKA: Od kilku minut. Nigdy nie wychodzisz z roli tej, która trzyma mikrofon?

Kiedy byłam dzieckiem, moi rodzice prosili rodzinę i znajomych, by podpytywali mnie: „A gdzie ty, Aniu, mieszkasz?". I ta mieszkająca w Chorzowie, a potem w Bytomiu Ania odpowiadała: „na Jana Pawła Woronicza 17" (*śmiech*). Pierwszym adresem, jaki zapamiętałam, był ten odczytywany przez telewizyjnego lektora, służący do korespondencji widzów z TVP. Z jakiegoś powodu od zawsze czuję się związana z mediami.

Anię z Woronicza bardziej niż radio fascynowała telewizja?

Wbrew pozorom nawet w środku smutnych lat 80. było w niej sporo programów muzycznych. Olśniewał czar Sopotu, jeszcze jako festiwalu międzynarodowego, na którym wszystkie śpiewające panie wyglądały przepięknie. W świecie przed „Dynastią" nie widywało się jeszcze takich kobiet, no bo gdzie, jak, kiedy? Raz do roku w programie sylwestrowym? W tym wszystkim był jakiś urok, tym bardziej że byłyśmy wychowywane wśród bardzo tradycyjnych wizerunków kobiet. W polskiej telewizji były głównie księżniczki: spikerki w nieosiągalnych garsonkach z peweksu, łyżwiarki figurowe w cekinach albo koronowane miss świata. To dlatego pięknie uczesana pani w różowej sukience z diamentowym naszyjnikiem – Madonna w teledysku do „Material Girl" – robiła wrażenie. Ona także była księżniczką z dziecięcych fantazji, ale towarzyszyło jej coś jeszcze – przebój.

Często powtarzasz, że masz wspaniałych, kochających rodziców, którzy – mimo niepodzielania Twoich muzycznych zainteresowań – starannie oprawiali dla Ciebie pierwsze plakaty z Madonną, wręczali kieszonkowe na walkmany, sklejali zniszczone taśmy Pearl Jam...

Albo pozwalali na wagary, gdy premierę miała ważna dla mnie kaseta, dzięki czemu już od rana mogłam jej słuchać.

Kto Ci podpowiadał, co jest dobre?

W tamtych czasach kluczowa była oczywiście instytucja starszego rodzeństwa. Ponieważ jestem jedynaczką, w moim przypadku była to nastoletnia kuzynka, która nie tylko słuchała najmodniejszej muzyki, ale przede wszystkim ubierała się jak ówczesne gwiazdy. Doszłam do muzyki po wyznaczonej przez nią bardzo dziewczęcej ścieżce i dopiero później, choć także dzięki kuzynce, pojawiła się „Lista Przebojów Trójki" – jednocześnie zabawa i kształtowanie gustu. Na grundigu rodziców zaczęłam nagrywać ulubione piosenki, tworząc pierwsze mixtape'y sześciolatki (*śmiech*). Potem zrobił się z tego cały rytuał: miałam zeszyty z kolejnymi notowaniami listy, opracowany system kolorów do zaznaczania spadków i awansów, a kiedy wyjeżdżałam na kolonie, rodzice ↦

ANNA GACEK jest dziennikarką muzyczną, przez dwie dekady (do marca 2020 r.) związana była z radiową Trójką, gdzie poza prowadzeniem autorskich audycji relacjonowała największe polskie i światowe festiwale oraz przeprowadzała wywiady z ikonami muzyki, m.in. z Patti Smith, Paulem McCartneyem czy Nickiem Cave'em. Prowadzi podkast „Sweet Teens" o popkulturze pierwszej dekady XXI wieku. Niedawno w wydawnictwie Marginesy ukazała się jej pierwsza książka pt. „Ekstaza. Lata 90. Początek".

ALEKSANDRA MODRZEJEWSKA DLA „TP"

↦ obowiązkowo musieli dla mnie nagrywać wszystkie odcinki.

Najwcześniejsze wspomnienie?

Neonowy trójkąt z teledysku „Against All Odds" Phila Collinsa. 1984 rok.

„Wbrew wszelkim przeciwnościom" – przejmująca ballada nagrana po rozwodzie z Andreą Bertorelli.

Świetna lekcja muzyki. Elegancka, szlachetna produkcja, zakorzeniona w najlepszych tradycjach gatunku. Nigdy nie pociągał mnie kicz muzyki tamtych czasów, co przygotowało mnie chyba na jakościowy skok w lata 90., który zrobiliśmy za sprawą grunge'u. Kiedy pierwszy raz usłyszałam Nirvanę, coś się zmieniło i w muzyce, i we mnie. Poczułam potrzebę identyfikacji, muzyka zaczęła znaczyć więcej, jej słuchanie sprawiało nie tylko przyjemność. Ci ludzie z zespołu mieli ze mną coś wspólnego.

Madonnę zdetronizowała Courtney Love.

Dziewczynki obserwują i chłoną to, kogo i za co nagradza świat. Strasznie byłoby uwierzyć, że wygrywają najpiękniejsze. Madonna uczyła, że największe sukcesy odnoszą nie ci najbardziej utalentowani, ale ponadprzeciętnie pracowici i zdeterminowani, co przydało się, gdy z wadą wymowy zasiadłam przed radiowym mikrofonem.

Courtney Love, wokalistka Hole, żona Kurta Cobaina, także miała niezwykłą siłę przetrwania, ale uczyła czegoś innego – tego, że można być jednocześnie seksowną i inteligentną. Przypomnę, jakie mamy wtedy czasy: piosenkarka i pianistka Tori Amos zostaje przez dziennikarzy skrytykowana za ubiór, bo występuje w obcisłym topie bez ramiączek. Pyta: „Co powinnam mieć na sobie, żebyście traktowali mnie poważnie?".

Wiesz, wielu artystów mówi o momencie, kiedy po raz pierwszy, w telewizji czy na scenie zobaczyło Patti Smith i nagle świat wywrócił im się do góry nogami, bo w jej wizerunku nic się ze sobą nie zgadzało, a zarazem wszystko było całością, nieznanym wcześniej połączeniem poezji i punka. Ja miałam swój „moment Patti Smith" właśnie z Courtney Love.

Dlaczego?

Zobaczyłam wrzeszczącą, wściekłą, ostrą kobietę w obcisłej sukience i mocnym makijażu. Tego dnia powiedziałam mamie, że już nie będę chodzić w spodniach i flanelowych koszulach, czas kupić mi sukienkę.

Love nigdzie nie pasowała: była zbyt popowa dla sceny punkowej, za brzydka dla branży pop, zbyt popularna dla alternatywy. Ale nic sobie z tego nie robiła, szła po swoje, bez fałszywej skromności, bez kompromisów. W tym wszystkim wściekle inteligentna, oczytana, błyskotliwa, ale też seksowna i nieprzewidywalna.

Czuliśmy, że Cobain i Love są tak samo jak my wrażliwi, zagubieni, wściekli – dzieci we mgle. Czy nie żyjemy teraz w podobnych czasach? Nastroje społeczne są dość kiepskie, dlaczego właściwie nie wrzeszczymy o tym do mikrofonów jak 30 lat temu?

Emocje są podobne, ale zostają opakowane w coś zupełnie innego. Nie jest to muzyka gitarowa, bo ona się po prostu – na masową skalę – skończyła. Dzisiaj liczy się tylko hip-hop i pop. Hip-hop stał się sprawą bardzo męską, a pop, nie licząc fenomenu Harry'ego Stylesa i Eda Sheerana, kobiecą – począwszy od Beyoncé i Adele przez Dua Lipę, Taylor Swift, aż po odkrycie zeszłego roku, Olivię Rodrigo. Czy nam się to podoba, czy nie, to ekshibicjonistyczne, cukierkowe teksty Taylor Swift są mutacją emocjonalnej szczerości grunge'u. Spójrz na „Drivers License" Rodrigo, jeden z największych przebojów ubiegłego roku. Pod tym teledyskiem na YouTubie jest kilkaset tysięcy reakcji: „Mam teraz złamane serce, pomaga mi tylko ta piosenka". Cierpienie pozostało, ma tylko inną ścieżkę dźwiękową.

Powiedziałaś kiedyś, że to seriale i Netflix są nowym grunge'em.

I nadal tak sądzę. Kiedy oglądam „Euforię" Sama Levinsona na HBO, rozumiem, że świat emocjonalny, jaki przedstawiono w tym serialu, jest odzwierciedleniem ciemnego świata tych, którzy w 1992 r. pokochali „Jeremy'ego" Pearl Jam. Są tam trauma, wyalienowanie, samotność, patologiczny dom. To dramaty każdego pokolenia i każde potrzebuje kogoś, kto mu powie: mam tak samo, rozumiem cię.

Cobain chciał napisać piosenkę, która będzie zrozumiała tylko dla dzieciaków jego pokolenia.

I nasi rodzice nie pojmowali fenomenu wrzeszczącego obdartusa Cobaina, tak jak my dzisiaj nie potrafimy odnaleźć się na TikToku. Widzimy, co tam się dzieje, ale ten język, obraz, środki wyrazu nie są już nasze. „Smells Like Teen Spirit" Nirvany miało być głośne, agresywne, brudne. Miało być odczuwalnie właśnie dla dzieciaków, nie dorosłych.

To czym pachną nasze czasy?

Dobre pytanie. Dziesięć lat temu cały Manhattan pachniał Santal 33, było coś wręcz romantycznego w kultowości tego niszowego zapachu, który zdobył popularność wyłącznie swoim pięknem. Po czym właściciele marki sprzedali ją wielkiemu koncernowi i ich czar, dosłownie, prysł. A dziś? W trakcie procesu Johnny'ego Deppa z Amber Heard wrosła sprzedaż perfum Diora, które reklamował Depp. Może to jest odpowiedź.

Nie ma muzyki gitarowej, ikonicznych zapachów reklamowanych przez supermodelki. Co zostało?

Ludzie, po obu stronach sceny. Wciąż jest coś elektryzującego w momencie, gdy stoisz w stutysięcznym tłumie na koncercie i wszyscy śpiewacie tę samą piosenkę.

Wspólnota?

Lata 90., które nas ukształtowały, były latami bardzo muzycznymi, a koncert jest wspólnotowym doświadczeniem. Jeśli ktoś dorastał w tamtym czasie, to za tym tęskni.

Pamiętam swój pierwszy koncert The Rolling Stones. Miałam 17 lat, byłam pod Stadionem Śląskim od siódmej rano i przez cały dzień ruszyłam się stamtąd tylko raz, bo pęcherz na tę okoliczność trenowałam dwa tygodnie – przydało się na wszystkie późniejsze festiwalowe lata (*śmiech*). Wbiegłam na płytę stadionu pierwsza, stanęłam w pierwszym rzędzie, dotknęłam Keitha Richardsa, na zdjęciu w gazecie pokazano mnie z podpisem „Entuzjazm muzyków udzielił się wszystkim". Uwierz – było widać ten entuzjazm!

Co obok tych wszystkich emocji i wrażeń było najważniejsze?

Że stanęłam wśród kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy byli tacy jak ja. Pamiętam, że w którymś momencie tego koncertu po raz pierwszy poczułam się po

prostu na swoim miejscu. Nie chciałam być nigdzie indziej.

Albo koncert Blur na Glastonbury. Mogłaś przed koncertem niczego nie wiedzieć o tym zespole, ale po nim byłaś już pewna, że to uwielbiana w Anglii grupa. Było tam 180 tysięcy ludzi, coś niesamowitego. Dzień później lider zespołu, Damon Albarn, powiedział dziennikarzom, że kiedy będzie umierał, będzie miał przed oczami właśnie ten koncert. Musisz sobie wtedy pomyśleć, że mówi to mąż, ojciec, ktoś, kto przeżył kilkadziesiąt lat życia i ma w głowie wiele scen, które mógłby chcieć sobie wyświetlać w takim momencie. Ale zarazem doskonale rozumiesz, dlaczego to powiedział.

Jak jest teraz?

Gdy jestem na koncercie i ze sceny dobiega świetny utwór, mam poczucie, że wszyscy jesteśmy dzieciakami, które skaczą i wrzeszczą. Na chwilę nie mamy twarzy i nazwisk. Jesteśmy wolni. Jest coś niesamowitego, co wytwarza się wśród tłumu, zjednoczonego nie protestem czy buntem, ale właśnie czymś tak fajnym jak muzyka.

Praca w radiu sprzyjała podobnym emocjom.

O tak. Rozmawiamy chwilę po polskich koncertach Nicka Cave'a i z nim wiąże się ważna dla mnie radiowa historia. Cave wydał po zakończeniu poprzedniej trasy koncertowej epkę. Zagrałam te utwory w „Aksamicie", poniedziałkowej audycji w Trójce. Oczywiście natychmiast odezwali się słuchacze, wspominający w mailach swoje koncerty Cave'a. Kończy się audycja, chcę już wylogować się z komputera, wyjść ze studia i wtedy „ding!", przychodzi ostatni list. „Pani Anno, zagrała pani przed chwilą »Jubilee Street«, które było ulubionym fragmentem warszawskiego koncertu Nicka Cave'a mojej żony. Dzisiaj ją pochowałem. To, że właśnie usłyszałem ten utwór u pani w audycji, to znak od niej, że dotarła szczęśliwie i mogę przestać się martwić". Kurtyna.

Takie korespondencje przypominały mi, że w radiu chodzi o coś więcej niż „puszczanie" muzyki. To był wielki przywilej dzielenia się emocjami. Dzisiaj przyjemność sprawiają mi spotkania z ludźmi, którzy urodzili się w XXI w. i z mojej książki dowiadują się, kim był Kurt Cobain.

PAUL NATKIN / GETTY IMAGES

Wielu artystów mówi o momencie, kiedy po raz pierwszy, w telewizji czy na scenie, zobaczyło PATTI SMITH i nagle świat wywrócił im się do góry nogami, bo w jej wizerunku nic się ze sobą nie zgadzało, a zarazem wszystko było całością, nieznanym wcześniej połączeniem. Też miałam swój „moment Patti Smith"

MANFRED WERNER / WIKIMEDIA

COURTNEY LOVE była zbyt popowa dla sceny punkowej, za brzydka dla branży pop, zbyt popularna dla alternatywy. Ale nic sobie z tego nie robiła, szła po swoje, bez fałszywej skromności, bez kompromisów. W tym wszystkim wściekle inteligentna, oczytana, błyskotliwa, ale też seksowna i nieprzewidywalna.

RALPH ARVESEN / WIKIMEDIA

Rośliśmy przy FLORENCE AND THE MACHINE. To jest wiedźma, szamanka, od pierwszego przesłuchania wiedziałam, że jest „moja". Zrobiłam z nią wywiad w 2009 r. Była niezwykle ekspresyjna, cała w brzęczących bransoletkach i koralikach, a tu radio... Potem stała się gwiazdą, zbyt wielką dla polskich mediów.

W Trójce wtedy o tym wiedzieli?

Wiesz, pracownicy i słuchacze dawnej Trójki byli grupą ludzi, którzy bardziej niż inni interesowali się światem. A jednocześnie wiele osób z tej grupy nie chciało wyjść ze swojej bańki i zobaczyć, że dorastające dziś pokolenie – nie dlatego, że jest głupie, tylko dlatego, że minęło kilkadziesiąt lat – nie ma pojęcia, kim są postaci, które dla nas tworzyły alfabet popkultury: Jim Morrison, Janis Joplin, Tina Turner. Nie wszyscy – jak w przypadku Kate Bush i „Stranger Things" – mają szanse wrócić w wielkim stylu. Poza tym zawsze ktoś musi pierwszy raz usłyszeć Beatlesów.

Kto dzięki Tobie trafił pod strzechy?

Zawsze będę miała sentyment do tego, jak rośliśmy przy Florence and the Machine. To jest wiedźma, szamanka, od pierwszego przesłuchania wiedziałam, że jest „moja". Pamiętam nasz pierwszy wywiad z 2009 r., gdy zaczynało być o niej głośno, ale polskie media nie były nią jeszcze zainteresowane. Rozmowa odbywała się w warunkach festiwalowych, w Belgii, Flo była niezwykle ekspresyjna, cała w brzęczących bransoletkach i koralikach a tu, wiesz, radio...

Pamiętam, że skomplementowała moją bluzkę i potem długo wyrzucałam sobie, czemu jej nie sprezentowałam! (*śmiech*) Pierwsze słowa, które Florence wypowiedziała do polskiej publiczności, padły właśnie do mojego mikrofonu i to bardzo fajne uczucie, szczególnie gdy obserwuję dziś tłumy na jej koncertach w Polsce.

A potem, kiedy już było o niej głośno?

Kolejny wywiad zrobiłyśmy kilka miesięcy później, gdy wszystko już wybuchło. Wtedy spotkałam zupełnie inną dziewczynę – samotną, zmęczoną, jakoś w tym wszystkim szczęśliwą, ale wykończoną intensywnością zdarzeń. A potem stała się wielką gwiazdą, zbyt wielką dla polskich mediów. Oczywiście nie odpuszczałam, zasypując wytwórnię mailami. Aż któregoś dnia siedzę przy komputerze i przychodzi mail: „Możesz być jutro w Paryżu? Jest dla ciebie miejsce". Natychmiast wydałam trzy tysiące złotych na lot i złapałam Flo w bardzo refleksyjnym momencie, gdy miała ochotę mówić. Przywiozłam tę rozmowę do radia – jedyny polski wywiad z uwielbianą w naszym kraju, sprzedającą ↦

↦ miliony płyt artystką – i to był okropny moment, gdy kierownictwo oznajmiło, że nie będę mogła zagrać go na antenie, bo mam wadę wymowy i nie wolno mi się „odzywać". Udało się to ostatecznie wywalczyć, bardzo dużym kosztem... Kiedyś opowiem tę historię.

To powiedz, co ciekawego dzieje się w polskiej muzyce.

Zawsze mieliśmy i mamy wciąż skrzydła w jazzie – ten nasz jazz był inny, wolny, miał w sobie słowiańską nutę. Fajne jest także to, że zostawiliśmy zupełnie śpiewanie po angielsku. Rozmawiamy latem, trwa kolejna trasa Męskiego Grania, dziesiątki tysięcy ludzi bawią się do muzyki polskich wykonawców. To jest jakoś pozytywne, że jeszcze... polska muzyka nie zginęła. Ludzie chcą jej słuchać, chociaż słuchają dużego kompromisu: wszystko jest „pop".

Na przykład Sanah?

Ty to powiedziałaś! (*śmiech*) Sanah ma głos, który przyciąga, rozumiem ten fenomen. Edyta Górniak i Adele też mają takie głosy – nie chodzi nawet o ich piękno czy skalę, ale o to, że one natychmiast angażują i zabierają słuchaczy do swojego świata. To jedna z najtrudniejszych rzeczy w tej branży, wszystko inne oprócz tej charyzmy można sfabrykować. To było zresztą charakterystyczne dla lat 90., o których rozmawiamy – nadprodukcja barwnych osobowości.

Jak to nazwać? „Chemia"? „Przyciąganie"?

O, wiesz co, wyjaśnię to scenką z tenisa, mam bzika na jego punkcie. W finale ubiegłorocznego US Open wystąpiły dwie nastoletnie debiutantki. Pamiętam moment, gdy obie wychodzą na kort, towarzyszy im kamera, czekają, aż zostaną wywołane. Dwie młode dziewczyny, które świat poznaje właśnie na tym turnieju, przygodzie ich życia. Nikt wcześniej nie miał pojęcia, kim są. Patrzę na nie i myślę sobie: czym u licha jest ten czynnik? Nic o nich nie wiem, a doskonale rozumiem, że jedna chce po prostu wyjść i zagrać mecz, a druga skupia na sobie całą uwagę. Jeszcze nie odbiła piłki, a jest już gwiazdą.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

CHRISTIAN JUNGEBLODT / LAIF / FORUM

Siergiej Lebiediew w byłej wojskowej bazie radzieckiej w Poczdamie, Niemcy, luty 2021 r.

Zawsze wchodzą

ŁUKASZ NAJDER

Postanowiłem, że przeczytam raz jeszcze książki Siergieja Lebiediewa, bo aż przeszył mnie tweet z wyznaniem, że po lekturze jego „Ludzi sierpnia" wiadomo było, że inwazja Rosji jest nieunikniona.

Czy ktoś emocjonując się wspaniałym meczem Argentyna–Francja na rosyjskim mundialu 2018 r. pamiętał o niedawnej wtedy masakrze pod Iłowajskiem? Albo o zestrzeleniu pasażerskiego boeninga 777 malezyjskich linii lotniczych w okolicach Torez? A może o bezkarnych „zielonych ludzikach" czy bohaterskiej obronie lotniska w Doniecku i losie wziętych do niewoli ukraińskich „cyborgów" – poniżanych, bitych, mordowanych? Krym i część Donbasu brutalnie zaanektowane przez Rosję to wciąż nie

było nasze, polskie/europejskie „tu" i „dziś". Po wyrażeniu oburzenia i patriotycznej konsumpcji nadmiernej ilości jabłek dość szybko wróciliśmy do własnych spraw.

Dlatego, gdy armie Putina najechały teraz Ukrainę, ruszyliśmy z wysiłkiem analityczno-interpretacyjnym, by zrozumieć, jak, dlaczego i po co do tego wszystkiego doszło. Czemu na palcach jednej ręki dało się policzyć ekspertów, którzy przekonywali, że wojna z pewnością wybuchnie – a czemu tylu do ostatniego dnia uspokajało, iż to wyłącznie demonstracja siły bądź efekciarski blef słabnącego dyktatora, który w oczach swoich rodaków chce podtrzymać wizerunek pryncypialnego, silnego człowieka.

Zaskoczenie było tym boleśniejsze i większe, bo uważaliśmy się za znawców Rosji – anatomów „duszy rosyjskiej", speców od „braci Moskali". Czyż nie mieliśmy zawsze pod ręką cytatów z markiza de Custine, czyż nie potrafiliśmy w odpowiednim momencie dyskusji o ojczyźnie Puszkina i Pluszenki wtrącić słowo „knut" lub „dzicz"? Rosja fascynowała i odstręczała zarazem, Rosjanie widzieli się nam potężni i groteskowo pocieszni. Z jednej strony rosyjska kultura, obligatoryjnie „wspaniała", i ten ogromny, piękny, tajemniczy kraj, który zajmuje 1/6 powierzchni Ziemi i ciągnie się aż po rozmrożone nagle nekropolie mamutów i widoki na Alaskę. Z drugiej jednak strony Rosjanie jako bezlitosne, nieodmiennie czymś otumanione masy, jak nie komunizmem czy Cerkwią, to Putinem. Tak to widzieliśmy: zdesperowani „Ruscy" na polskich bazarkach w latach 90., nowobogackie prymitywy bez gustu wyrzynające się w gangsterskich porachunkach, szemrani oligarchowie kupujący stumetrowe jachty i kluby piłkarskie, postacie z memów – szczerbate, pijane, w fatalnych ciuchach i fryzurach, z siekierą.

By znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Rosja otwarcie i z użyciem całej swojej machiny wojskowej napadła na Ukrainę, choć nakładem ogromnych sił i środków budowała od dawna wizerunek nowoczesnego i racjonalnego państwa – organizatora olimpiad, przyjaciela i pracodawcy zachodnioeuropejskich elit, cieplarni rodzimej, zglobalizowanej klasy średniej – co to może i „zainterweniuje" u krnąbrnego sąsiada, ale ostatecznie logika ekonomicznego interesu weźmie górę, zaczęto przetrząsać nie tylko analizy geopolityczne i militarne, lecz i literaturę. Bo literatura jest ważna. Zwłaszcza ta rosyjska i o Rosji. Jakby nie dawało nam spokoju to nagłe, dotkliwe przeświadczenie, że w trakcie lektury Tołstoja i Brodskiego, Pielewina i Cwietajewej coś przeoczyliśmy – nasz rozum nie pojął czegoś, co było tam między wierszami albo ostentacyjnie wprost, najwyraźniej umknęła nam groźba, którą braliśmy za specyficzny urok tego pisania, ledwie techniczno-estetyczny chwyt.

Trach i nie ma...

Sam w tej literaturze szukałem odpowiedzi. Chciałem pojąć, co doprowadziło do sytuacji, w której w roku 2022 rozglądam się za informacjami o schronach na osiedlu, na którym mieszkam, a dworce Łodzi i okolicznych miasteczek zapełnione są skołatanymi, przerażonymi kobietami i dziećmi z Ukrainy. Nie tyle ich jednak nie znalazłem, co znalazłem płynne, różne, po częstokroć zaprzeczające sobie.

Kiedy trwało oblężenie Mariupola, a w Odessie otulano zabytki workami z piaskiem, czytałem „Czasy secondhandu. Koniec czerwonego człowieka" Swietłany Aleksijewicz. To wybitne dzieło białoruskiej noblistki – reportersko-gadane USG Rosji doby przełomu, opowieść o żmudnej, arcybolesnej transformacji z komunizmu w dziki kapitalizm, z którego to procesu miliony Rosjan wyszły oszołomione, zdruzgotane, bez grosza przy duszy. Lecz dzisiaj to już nie była ta sama lektura, co blisko dekadę temu. Bo owszem, wybrzmiewał tutaj wciąż wielogłosowy epos o upadku świata, zaniechaniu pewnych odwiecznych rytuałów, nowych okrutnych ludziach, opustoszałych świątyniach, zarazem jednak dość łatwo udawało się wychwycić imperialną pretensję, która wznosiła się ponad.

Rozmówcy Aleksijewicz ubolewają nad swoją i reszty pauperyzacją, ale pauperem został nie zwykły obywatel, a obywatel imperium, nie były inteligent musiał otwierać uwłaczający mikrobiznes, by przeżyć, a inteligent z imperium, nie nauczyciele, partyjniacy, lekarze i pracownicy akademii stawali się raptem nikim pośród kapitalistycznych dekoracji, a elita niegdysiejszego imperium. Wielki kraj, wielki język rosyjski, wielki naród – oto refren tej postradzieckiej jeremiady: „Tak się nas bali... a teraz... Proszę – kupa chłamu... Trach i nie ma imperium" (przeł. Jerzy Czech).

Wtedy też postanowiłem, że przeczytam raz jeszcze książki Siergieja Lebiediewa, bo aż przeszył mnie tweet, w którym dziennikarz Olgierd Kwiatkowski wyznał, że po lekturze jego „Ludzi sierpnia" wiedział, że inwazja Rosji jest nieunikniona.

Lebiediew, który w zeszłym roku skończył 40 lat, to powszechnie komplementowany na świecie poeta, eseista i prozaik, urodzony w Rosji, a dziś mieszkający w Niemczech, znany u nas z czterech powieści (wydanych przez Claroscuro). Prócz „Ludzi sierpnia" (2021), warte lektury są „Granica zapomnienia" (2008) i „Dzieci Kronosa" (2019). „Debiutant" (2020) to pozycja znacznie słabsza, w której za pomocą formy thrillera opowiedziane zostały sensacyjne koleje kariery rosyjskiego naukowca pracującego nad stworzeniem zabójczej neurotoksyny.

Jesienią wyjdzie po polsku tom jego opowiadań.

Kult i proch

Lebiediew nie milczy w czasie wojny. Tuż po agresji Rosji na Ukrainę do redakcji paru europejskich gazet – u nas podała go do druku „Gazeta Wyborcza" – rozesłał gorzki, płomienny esej „Rosja jest państwem rasistowskim. To nie zniknie z odejściem Putina", w którego już wstępnych partiach jasno dał do zrozumienia, co myśli o swojej ojczyźnie: „to dni hańby i najczarniejsze dni naszej historii" (przeł. Agnieszka Sowińska). Dalej rozwija swoją myśl o postimperialnym rasizmie, który infekuje Rosję – jej władze, media i społeczeństwo. Rasizm ów, który jest „bezpośrednim następstwem rosyjskiej imperialnej historii i polityki kolonialnej, historii przemocy, rusyfikacji", ciągle szuka – i co gorsza: znajduje – kolejne ofiary, na których można odreagować własne niepowodzenia i kompleksy. Były nimi wpierw „osoby narodowości kaukaskiej, terroryści i pasożyty, potem – »żółty« człowiek (...) brudny i niewykształcony, ale chytry", w którym stereotypizowano gastarbeiterów z Tadżykistanu, Uzbekistanu czy Kirgizji. „W stosunku do narodów Ukrainy i Białorusi funkcjonuje inny rodzaj rasizmu. To rasizm oparty na modelu paternalistycznym, na radzieckim etosie »rodziny narodów«. Ukraińcy i Białorusini uważani są za bliskie, »bratnie« narody – ale stojące ↦

↦ jakby o stopień niżej w tej wymyślonej rodzinnej hierarchii".

Niemniej intrygujący, i stanowiący zarazem ważne uzupełnienie jego twórczości prozatorskiej, jest opublikowany jesienią minionego roku w „Piśmie" esej „Ołtarz zwycięstwa" – choć tytuł wydania internetowego zdaje się być tu bardziej efektowny i trafniejszy: „Krótka instrukcja obsługi poległego żołnierza" – będący opisem radzieckich powojennych praktyk grzebalniczo-upamiętniających. Wbrew pozorom, weteranów i poległych nie traktowali przywódcy Rosji z przesadną czcią. Stalin bał się ich kultu. I nie chodziło tylko o konkurencję, ale też i oto, by obywatele nie uświadomili sobie, iż wielka wojna ojczyźniana była ciągiem gigantycznych rzezi, klęsk i triumfów okupionych stosami trupów.

Potem jego następcy kult ten rozdmuchali, ale by przesłonić swoją nieudolność, nietrafione decyzje gospodarcze i militarne albo – jak Putin – by napędzać bieżącą propagandę i żyrować agresywną politykę zewnętrzną. Pamięć indywidualna, czyjś konkretny los, prawdziwe przeżycie straty i poświęcenia, śmierć najbliższej osoby, wszystko to dosłownie zniknęło pod ogromem socrealistycznych monumentów, jakimi zabudowano rosyjską ziemię, w sztucznym blasku legend o niezniszczalnych gierojach, w nieoznaczonych zbiorowych mogiłach.

Kiedy latem 2021 r. na wakacjach pod Suwałkami czytałem „Dzieci Kronosa", rzecz o rekonstruowaniu dziejów rodziny o splątanych niemieckich korzeniach, zakreśliłem takie zdania: „Znów był dzieckiem, znów słyszał, jak poprzez szmer zakłóceń i śpiewne pojękiwania fal radiowych odbiornik obwieszcza: »W obwodzie moskiewskim przewidywany jest gwałtowny wiatr z porywami do dwudziestu dwóch – dwudziestu trzech metrów na sekundę«" czy „W dzieciństwie przynajmniej raz w miesiącu babcia Lina mówiła Kiriłłowi: w sobotę pojedziemy na Niemiecki Cmentarz" (przeł. Grzegorz Szymczak). Zapewne dlatego, że przeglądały się w nich i moje doświadczenia z dzieciństwa: z lekka już duchologiczne audycje i komunikaty radiowe upadającego PRL-u, ekskursje z babcią na cmentarze przy Rzgowskiej i na Kurczakach w Łodzi.

Natomiast blisko rok później, w maju, w trakcie rosyjskich ataków na Siewierodoneck i upadku kombinatu metalurgicznego Azowstal, moją uwagę przykuł następujący fragment: „Związek Radziecki rozpadł się jakby sam z siebie, bez większego rozlewu krwi; owa lekkość rozpadu ich zepsuła i dlatego nie byli gotowi do sprzeciwu. Myśleli, że całe zło zawierało się w ZSRR, i teraz, gdy Związku już nie ma, wydarzenia zostają skierowane na właściwe tory; nie rozumieli, że zło jest częścią historii, a demokracja to system minimalizacji zła, a nie tryumfującego dobra. Teraz byli podwójnie pozbawieni schronienia, dlatego że kraju, w którym się urodzili, już nie ma, nie ma też kraju, w którym dorastali".

Północ Rosji to świat, gdzie ukryła się wypierana przemoc, zbrodnia, skala irracjonalności industrialnego komunizmu, tragedia tego narodu, który przez wiele dekad sam się dziesiątkował i więził.

Archiwum Północy

Lebiediew za swoich mistrzów uważa Marcela Prousta i Warłama Szałamowa. Najbardziej jest to widoczne w jego niezwykłym debiucie, czyli „Granicy zapomnienia". Lebiediew wykorzystał w niej nie tylko fascynację cyklem „W poszukiwaniu utraconego czasu" i „Opowiadaniami kołymskimi", ale i obserwacje z ekspedycji geologicznych na północy Rosji i w Kazachstanie, w których brał udział jako nastolatek. Efektem jest hipnotyzująca opowieść, w której połączył poetyckie obrazy z konkretem wiedzy naukowej – malarstwo z mineralogią. Bohater podejmuje się podróży do tego, co minęło, i tam, gdzie rzadko ktokolwiek bywa – jest ona zarazem pielgrzymką, wyprawą badawczą, śledztwem genealogicznym, pokutą, etapem. Lebiediew czyni z niego intruza i odkrywcę w jednym. Pragnąc wyjaśnić tajemnicę życia (a nade wszystko charakteru pracy) Drugiego Dziadka, swojego nieformalnego opiekuna i nauczyciela, który umarł wraz z końcem ZSRR, wielokrotnie narusza rosyjskie tabu – wbrew nakazowi wygodnego niepamiętania i relatywizowania win ogląda zdziczałe cmentarze, ruiny łagrów, nędzne, opustoszałe przyłagrowe sadyby i zapomniane miasta, nieużywane od dawna sztolnie, hałdy odpadów, zarzucone projekty i budowle.

„Zrozumiałem, jaki był sens w wysyłaniu ludzi do tajgi, tundry: wykreślano ich z ogólnego bytu ludzi, wysyłano z historii, a ich śmierć zdarzała się nie w historii, lecz w geografii" (przeł. Grzegorz Szymczak). Północ to miejsce, gdzie ukryła się wypierana przemoc, zbrodnia, skala irracjonalności industrialnego komunizmu, tragedia tego narodu, który przez wiele dekad sam dziesiątkował się i więził. Przeszłość, ta materialna i duchowa, może się rozpaść, ale nie zniknąć, przekonuje Lebiediew. A jeśli w dodatku była krwawa, to bez prawdy o sobie, bez osądzenia katów i bez napiętnowania i wyrugowania ideologii, która dla gułagów, czystek, kultu jednostki i systemu totalnej inwigilacji stanowiła pseudoszlachetne uzasadnienie, przeistoczy się w wirus, który zatruje pokolenie za pokoleniem.

Teraz skończyłem „Ludzi sierpnia". Lebiediew wiedzie nas tutaj przez niszczejący, niekończący się Kazachstan, Czeczenię, „epokę Jelcyna", pucz Janajewa, ale sedno tej powieści to nie mistrzowskie opisy entropii zjadającej krajobraz czy „eszelonów nieboszczyków", lecz epifanie, w których narratorowi, autorowi i nam odsłania się rosyjskie fatum: „Zapach docierał zza muru gęsto oplecionego drutem kolczastym. (...) Oto właśnie jest radzieckość, jej istota, jej cielesny wymiar – pomyślałem, spoglądając na kolonię, już odrywając się od złudzenia. Gdy od strony kolonii zapachniało chlebem, wszyscy poczuliśmy to samo, widziałem po twarzach moich kompanów. To znaczy, że to już w nas pozostanie. Nie komunizm, w którym dostrzegano główne zagrożenie, lecz radzieckie sentymentalne dziedzictwo (...). Takie obrazy cechują się długim okresem rozkładu, ideologiczne obrazy rozkładają się szybko, a te – nie. One żyją dłużej, ponieważ nie potrzebują idei, symboli, w znacznym stopniu są częścią nastroju, nie zaś uczuć. I one jeszcze powrócą, ponieważ nigdzie nie odeszły" (przeł. Grzegorz Szymczak).

Nie umiem rozstrzygnąć, czy po tej lekturze – i dzięki niej – wiem już, że inwazja na Ukrainę była przesądzona, zapisana w gwiazdach świecących ponad najnowszą historią Rosji, niemożliwa do uniknięcia.

© ŁUKASZ NAJDER

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE / MATERIAŁY PRASOWE

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Fałsz kobiety – Autoportret z portretem Maryli Grossmanowej, 1927 r.

Czujny obserwator

PIOTR KOSIEWSKI

W twórczości Witkacego jest pokrewieństwo ze zjawiskami artystycznymi kluczowymi dla europejskiej kultury pierwszych dekad XX wieku. Był nie tylko wnikliwym jej obserwatorem, ale też krytykiem i polemistą.

Niby to żadna nowość. Przecież od lat 60. minionego stulecia trwa wzmożone zainteresowane twórczością Witkacego, czyli Stanisława Ignacego Witkiewicza. Wydano jego teksty literackie i filozoficzne. Jego obrazy, pastele i rysunki trafiły do zbiorów muzealnych oraz na liczne wystawy, także monograficzne, jak wielki pokaz w stołecznym Muzeum Narodowym w 1989 roku. Sztuki teatralne doczekały się dziesiątek realizacji. Odkryto twórczość fotograficzną. Powstały liczne teksty i książki na jego temat. Ekscentryczne portrety jego autorstwa stały się na tyle modne na rynku sztuki, że doczekały się licznych podróbek. Dziś Witkacy jest powszechnienie znany, trafił do podręczników szkolnych, jest wręcz częścią kultury masowej, z etykietą prowokatora i skandalisty.

Trudnym, a nawet ryzykownym pomysłem było w tej sytuacji zorganizowanie wielkiej, monograficznej wystawy Witkacego. Co więcej, podobne ekspozycje zbyt często ograniczają się do zebrania możliwie największej liczby dzieł, które mają potwierdzić to, co i tak już dobrze wiemy o artystce czy artyście. „Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia" w Muzeum Narodowym w Warszawie jest wyjątkiem od tej reguły. Jej kuratorom – Zofii Machnickiej i Pawłowi Politowi – udało się zaproponować nowe spojrzenie na twórczość, uczynić ją aktualną i ważną współcześnie. Zebrano ponad 500 starannie wybranych prac: obrazów, rysunków, pasteli i fotografii ze zbiorów muzealnych i kolekcji z całego kraju. Są wśród nich dzieła nieznane lub rzadko pokazywane. Zaprezentowano też m.in. archiwalia i pierwodruki książek. Jednak to nie liczba prac jest siłą ekspozycji, lecz zaproponowana przez jej twórców interpretacja dorobku Witkacego – tylko jego dzieła literackie pozostały trochę na marginesie.

Kuratorzy odeszli od najbardziej podstawowego i od lat stosowanego rozróżnienia między jego poszukiwaniami Czystej Formy w malarstwie, sztuki autonomicznej, oderwanej od realiów życia i motywacji praktycznych, a okresem twórczości „użytkowej", jaką była Firma Portretowa (w wydanym drukiem Regulaminie tej Firmy wszystkie rodzaje przedstawień zostały przez artystę szczegółowo opisane, podobnie jak to, czego może domagać się zamawiający). Do takiego dualizmu patrzenia walnie przyczynił się ↦

↦ zresztą sam Witkacy, ogłaszając w 1925 r. powstanie swojej Firmy. Pisał wtedy: „moich kompozycji nikt nie ceni, nie potrzebuje i nie kupuje, a krytyka je przemilcza albo pisze o nich rzeczy nieistotne, a nawet czasem bzdury”.

Wystawę otwierają wczesne „Kompozycje astronomiczne”, prace na papierze przedstawiające komety, mgławice czy gwiazdozbiory, które przypominają o fascynacji Witkacego kosmologią i jego próbami całościowego ujęcia Istnienia, spojrzenia z kosmicznej perspektywy na ludzi i zjawiska natury. Pojawiają się w nich znaki zodiaku, ale też tajemnicze postacie, potworne, demoniczne, które potem będę nieustannie przewijały się w jego pracach, w tworzonych przez całe życie rysunkach, powstających czasami pod wpływem narkotyków, pełnych fantazji, nierzadko erotyzmu, ale też nieoczywistego, podszytego absurdem humoru, podkreślanego także w tytułach prac, jak „Prof. Krzestomir jest dobry człowiek tylko trochę perwersyjny” (1936) czy „Metafizyczny rozporek wszechświata sztucznie ograniczonego” (1928).

Zainteresowanie kosmosem bezpośrednio wiąże się dla Witkacego z kwestią przeżycia metafizycznego, zasadniczego dla jego koncepcji Czystej Formy. W Warszawie po raz pierwszy od dawna można zobaczyć tak obszerny wybór prac, będących realizacją założeń teoretycznych artysty. Są one też świetnie wyeksponowane – wiele dzieł przeszło staranną konserwację. Dzięki temu wreszcie można dostrzec pełnię ich kolorystki, sposób kładzenia farby, fantazyjność przedstawionych w nich form.

KSIĄŻNICA POMORSKA W SZCZECINIE / MATERIAŁY PRASOWE

Portret Jadwigi Witkiewiczowej, VI 1925 r.

Sejsmograf

Wystawa przede wszystkim jednak zwraca uwagę na kwestie mniej dotąd dostrzegane w jego dziełach – jak cielesność. Ciała szponiaste, powyginane kończyny, umięśnione postacie z wydatnymi brzuchami. Zastosowanie tych zniekształceń miało kluczowe znaczenie dla „budowania” kompozycji prac, wyznaczające tak ważne dla Witkacego „napięcia kierunkowe”. A jednocześnie są one bardzo niepokojące, hybrydalne, bo ludzkie postacie u Witkacego mają wiele wspólnego ze zwierzętami, a granice między tymi światami są płynne. Przypominając zaś naszą łączność z innymi bytami, również zwierzęcymi, okazuje się obecnie niezwykle aktualny i daje wyjście – co dziś coraz silniej jest postulowane – poza perspektywę antropocentryczną.

Jednocześnie wystawa pokazuje Witkacego jako wnikliwego obserwatora ludzkiej osobowości. Celnym pomysłem okazało się zestawienie jego portretów kategorii C i D, zbliżających się – jak zaznaczał sam artysta – do granicy Czystej Formy, tworzonych nierzadko pod wpływem narkotyków czy innych używek, w których stosował zniekształcenia postaci, nieoczywistą kolorystykę i kompozycję, z wczesnymi zdjęciami, wykonanymi przez siebie w latach 1910-1913. Stosował w nich bardzo mocne zbliżenia, manipulował ostrością odbitek, co daje wrażenie, jakbyśmy znaleźli się bardzo blisko sfotografowanych osób.

Niejednokrotnie jego portrety to ostre, brutalne studia pojedynczych przypadków, bezwzględne, bez upiększeń pokazujące konkretne osoby. Czasami, i to najbardziej niezwykłe ze zgromadzonych na wystawie prac, jak „Emil Breiter jako kobieta” (1918), grał z samą płcią, podważał tożsamość przedstawianych osób, zaburzał binarne podziały. Postać Leona Reynela z jednego z tych transgresyjnych portretów przypomina słynne zdjęcie Man Raya z 1923 r., przedstawiające Marcela Duchampa jako Rrose Sélavy. Nie jest to zresztą jedyne powinowactwo Witkacego z artystą, który tak zasadniczo podważył fundamenty sztuki. Wymienić można chociażby upodobanie do gier językowych czy mistyfikacji. Wresz-

MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE / MATERIAŁY PRASOWE

Fantazja – Bajka, 1921–1922, olej na płótnie

cie sama decyzja Witkacego o zaniechaniu tworzenia obrazów i otwarciu Firmy Portretowej nie jest aż tak bardzo daleka od duchampowskiej rezygnacji ze sztuki, na rzecz... gry w szachy (chociaż, jak wiadomo, nie był to ostateczny jego wybór).

Na wystawie znalazły się prace nie tylko Duchampa, ale też m.in. Umberta Boccioniego, Maksa Ernsta i Wassilego Kandinskiego. Jej kuratorzy odeszli od dominującej u nas tendencji prezentowania polskiej sztuki jako czegoś wsobnego. W twórczości Witkacego można odnaleźć pokrewieństwo ze zjawiskami artystycznymi kluczowymi dla europejskiej kultury pierwszych dekad XX wieku. A Witkacy był nie tylko wnikliwym obserwatorem, ale często też krytykiem i polemistą. Uważnie i wnikliwie przyglądał się swoim czasom. Jak to określono w tytule ekspozycji – był sejsmografem, czujnie wyłapującym zmiany, także te ukryte, zachodzące pod powierzchnią życia społecznego czy kultury. Przekonywał zresztą w wydanych w 1919 r. „Nowych formach w malarstwie", że artysta współczesny „zmuszony jest żyć w tej samej atmosferze, co inni ludzie. On się w niej rodzi, patrzy od dzieciństwa na wszelkie możliwe dawne i nowe arcydzieła w reprodukcjach (...) poddaje się ogólnej szybkości życia (...) przejmując się gorączkowym tempem całości".

Portret podwójny

Czternastoletni Witkacy robił zdjęcia parowozów. Był nimi zafascynowany. Jednak dość szybko dostrzegł, że rozwój techniki skorelowany jest z wprowadzaniem coraz doskonalszych form organizacji społecznej i prowadzi do stagnacji kultury oraz do zaniku „uczuć metafizycznych".

Stał się jednym z tych, którzy wcześnie dostrzegli nadchodzący kryzys cywilizacji europejskiej. W swym pesymistycznym spojrzeniu bliski był zresztą młodemu pokoleniu poetów, przedstawicielom tzw. drugiej awangardy z Czesławem Miłoszem i Jerzym Zagórskim na czele, którzy dobrze uchwycili rzeczywistość lat 30., narastania podziałów społecznych, budowy systemów, autorytarnych i totalitarnych. Życia, w którym, jak pisał Józef Czechowicz, „gwiżdżą syreny nienawiści". W czasach poczucia niepewności i lęków przed naciągającą katastrofą twórczość Witkacego ponownie staje się bardzo aktualna.

Wystawę kończy wybór portretów. Są efektowne, niektóre wykonane w dużym formacie.

Według klasyfikacji samego artysty reprezentują typ A i B, czyli są „wylizane, z elementami ładności". Jest wśród nich jeden szczególny: powstały w 1927 r. „Fałsz kobiety – Autoportret z portretem Maryli Grossmanowej". Jest to bowiem portret w portrecie: Witkacy przedstawił w nim aż dwa wizerunki żony bogatego praktykanta: konwencjonalny, w typie A, oraz zdeformowany, w typie D. Nie wiemy, który z nich uznał Witkacy za właściwy, pokazujący rzeczywistą twarz zamawiającej.

Zgromadzone tu dzieła nawiązują do dawnej, długiej tradycji portretów oficjalnych, będących potwierdzeniem prestiżu i znaczenia osób na nich przedstawionych. A jednocześnie jest w nich coś nierzeczywistego, zaskakującego, a zarazem melancholijnego: dziwaczne tła z tajemniczymi zabudowaniami czy egzotyczną roślinnością etc. Jakby Witkacy chciał uchwyć wyobcowanie, pustkę. Pokazać świat, który przemija i którego nie mógł ocalić. 18 września, dzień po wkroczeniu wojsk sowieckich na wschodnie tereny Polski, artysta popełnił samobójstwo. W 1942 r. Niemcy wywieźli Marylę Grossmanową wraz z mężem Hugonem do obozu zagłady.

© PIOTR KOSIEWSKI

WITKACY.
SEJSMOGRAF EPOKI PRZYSPIESZENIA
Warszawa, Muzeum Narodowe, wystawa czynna do 9 października br., kuratorzy: Zofia Machnicka, Paweł Polit.

Taniec na kraterze

ANITA PIOTROWSKA

Katia i Maurice uciekli do krainy wulkanów kontestując ludzki porządek, oparty na ciągłej walce o zasoby i władzę. Gdy smażą na zboczach wulkanu jajka sadzone, są niczym ostatni i zarazem pierwsi ludzie.

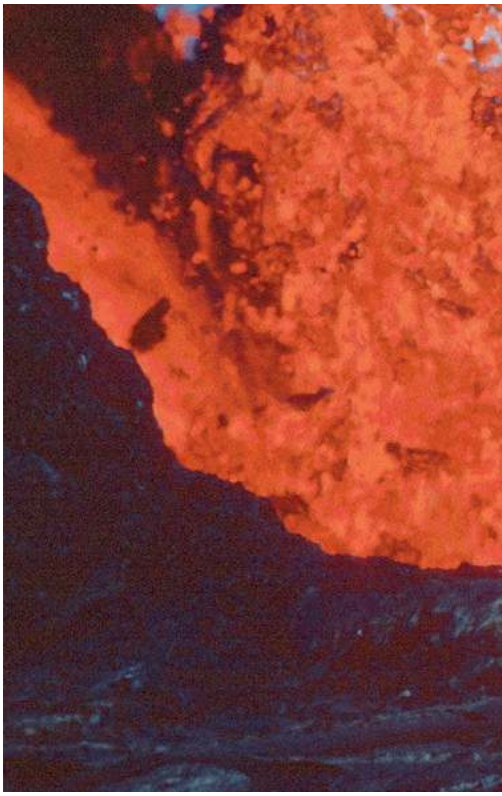

Nyiragongo, Krafla, Mauna Loa, Mount St. Helens... – głosi na początku „obsada" filmu. Są w niej wymienione nazwy wulkanów, które stały się gwiazdami tego dokumentu niemal na równi z jego bohaterami ludzkimi. Bo z pewnością taki miały status dla Katii i Maurice'a Krafftów, którzy poświęcili swe niedługie życie rozległym badaniom wulkanologicznym. Zostawili po sobie archiwa pełne zdjęć i nagrań filmowych, ale też własną legendę, z czego młoda amerykańska reżyserka Sara Dosa utkała intymną opowieść o tym, jak dwoje francuskich badaczy i marzycieli postanowiło zstąpić do piekieł i wyrwać chtonicznym bóstwom ich tajemnice. A mówiąc prozą: pół wieku temu, kiedy wulkanologia była jeszcze w powijakach, chcieli za wszelką cenę poznać funkcjonowanie wulkanów. Na tyle, by wreszcie przestały być zagrożeniem dla ludzkości i środowiska.

Dystrybuowany na świecie przez National Geographic film ma wszelkie cechy wielkiego przyrodniczego spektaklu, jednak Dosę najbardziej ciekawi to, co połączyło geochemiczkę i geologa na zawsze – pasja, która zamieniła się w treść ich życia, stapiając w jedno prywatne i zawodowe. Bezdzietni z wyboru, przemierzyli razem cały świat, od Alaski przez Islandię, Stromboli, Santorini, Indonezję aż po Japonię. I przez cały czas igrali z żywym ogniem. Ponieważ historia opowiedziana została od końca, nie trzeba ukrywać, że w 1991 r. zginęli oboje pod stratowulkanem na wyspie Kiusiu, zmieceni przez tzw. spływ piroklastyczny. Spędzili ze sobą, w towarzystwie licznych wulkanów, 25 pracowitych lat.

Czy byli straceńcami? Takie pytania zadaje się, ilekroć trudno pojąć czyjeś ekstremalne hobby. W filmie mówi się o rosyjskiej ruletce i byciu „kamikadze nauki", aczkolwiek wiadomo, że małżonkowie od początku odgrywali publicznie pewne role. Ona miała być w tym związku rozważną, drobną kobietką, on zaś, pragnący podejść jak najbliżej wulkanicznego „brzucha" albo przepłynąć kajakiem przez strumień lawy, uchodził za typowego męskiego romantyka. Na jednym z nakręconych przez nich materiałów widzimy łuszczącą się płatami nogę Maurice'a – właśnie przeszedł „chrzest wulkanologa", wpadając do płynu o temperaturze 140 stopni Celsjusza. Z zachowanych archiwaliów telewizyjnych wynika, iż ceną ich naukowej wolności było właśnie spełnianie oczekiwań w kwestii określonego wizerunku, w imię sprzedającej się w mediach narracji. Musieli też od czasu do czasu powracać między ludzi, żeby uporządkować wyniki badań i zarobić na kolejne wyprawy.

Mimo to bohaterowie „Wulkanu miłości" zdają się działać całkowicie na własnych warunkach. Realizują swoje ambicje bez oglądania się na konkurencję, przy czym dogłębne poznawanie nie ma dla nich nic wspólnego z kolekcjonowaniem czy akademickim klasyfikowaniem. Każdy wulkan to ponoć inna osobliwość. Im wystarczył prosty podział na „czerwone" i „szare"; te drugie, szczególnie niebezpieczne, stały się przedmiotem ich największej miłości. Zresztą sposób, w jaki fotografują bulgocące oceany ognia i skłębione chmury pyłu, ma posmak tyleż infernalny, co niezwykle zmysłowy, wzbogacony w dokumencie Dosy przez nienachalne animacje.

Filmowi Katia i Maurice mają w sobie coś ze zbuntowanych, acz wielce pożytecznych hippisów. Uciekli do krainy wulkanów kontestując ludzki porządek, oparty na ciągłej walce o zasoby i władzę. W srebrnych kombinezonach ochronnych wyglądają na kosmitów, a gdy smażą na zboczach wulkanu jajka sadzone i obracają w palcach naturalne rzeźby z tufu, są niczym ostatni i zarazem pierwsi ludzie, jakkolwiek Dosa daleka jest od romantyzowania ich misji. Wszak codzienność wulkanologów to nie tyle mistyczne uniesienia czy tańce na kraterze, ile mało efektowna harówka: zbieranie próbek gazów do analizy, żmudne obserwacje, pomiary, obliczenia. Misja Krafftów naznaczona była także przytłaczającą odpowiedzialnością – za siebie nawzajem, za innych towarzyszy podróży, wreszcie za tysiące ludzi, którym przyszło mieszkać od pokoleń u stóp wulkanu i trwać w biernym wyczekiwaniu na jego nieprzewidywalne humory.

Niewątpliwie jednak rządzi w tym filmie dyskurs miłosny, choć o tym, że zaglądanie do kraterów łączy się z erotyczną obsesją bądź ma jej wyraźny posmak, wiadomo nie od dzisiaj. Susan Sontag w powieści „Miłośnik wulkanów", wydanej

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Wulkan miłości", 2022 r.

w 1992 r. (w Polsce pięć lat później), opowiadała o namiętności w cieniu Wezuwiusza u schyłku XVIII wieku, z udziałem historycznych postaci. Na gruncie kina takim miłośnikiem jest od lat Werner Herzog. Już w roku 1976 nakręcił krótkometrażowe „La Soufrière", w którym odwiedził z kamerą Gwadelupę, by w towarzystwie miejscowych „ostańców" wyczekiwać na erupcję tytułowego wulkanu. Z kolei w „Spotkaniach na krańcach świata" (2007) rozmawiał z ekscentrycznymi wulkanologami pracującymi na Antarktydzie, co rozwinął w „Infernie" (2016), dostępnym na Netfliksie. Dokument zrealizowany wespół z badaczem Clivem Oppenheimerem to już prawdziwy list miłosny – do potoków lawy, wulkanicznych wyziewów i do całego „plemienia" dzielącego z reżyserem tę miłość (są wśród nich i Krafftowie). Z połączenia natchnionego wykładu, podróżniczego reportażu, operowych arii powstał esej na temat roli, jaką niesamowite wykwity natury odegrały w mitologiach rozmaitych kultur. Gorzej z mitami bardziej współczesnymi. Zrealizowana w tym samym czasie fabuła „Salt and Fire" traktowała o przygodach amerykańskich naukowców, którzy badają katastrofę ekologiczną boliwijskiego solniska wśród pomruków drzemiącego w jego pobliżu superwulkanu Uturuncu, i okazała się dziełem wybitnie nieudanym.

Ciekawe, co wniesie do tematu dokument „The Fire Within: A Requiem for Katia and Maurice Krafft", ukończony przez Herzoga niedługo po powstaniu „Wulkanu miłości" i również bazujący na materiałach autorstwa nieustraszonych Francuzów. Czy dołączą do grona pięknych dziwaków, na czele z Fitzcarraldem i Grizzly Manem? Lecz nawet filmowemu antropologowi i twórcy rozkochanemu w różnej maści obsesjonatach trudno będzie przebić pasję, z jaką Sara Dosa traktuje Krafftów w swoim filmie. Nie mówiąc o narracyjnym nerwie tej historii, gdzie tony rodem z melodramatu lub katastroficznego thrillera bynajmniej nie przesłoniły refleksji nad urządzeniem tego świata ani dokumentalnej pokory wobec żywiołu. Słychać ją chociażby w komentarzu czytanym za kadrem przez Mirandę July, głosem ściszonym i jakby trochę złamanym, pozbawionym efektownego gawędziarstwa. Czasami ten odautorski głos milknie na dłużej, z zachwytu i w poczuciu autentycznej grozy. ©

WULKAN MIŁOŚCI *(„Fire of Love")*
– reż. Sara Dosa. Prod. USA/Kanada 2022.
Dystryb. Against Gravity.
W kinach od 19 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Poświęcenie Hasana

Dramat, reż. Semih Kaplanoğlu, Turcja 2021, Cinemax, 18 VIII, 7.40, 15.45, HBO Max, Player, Play Now

W tureckim kinie napięcie między aspiracjami związanymi z nowoczesnością a przywiązaniem do tradycji jest nadal obecne. W tym przypadku historia anatolijskiego rolnika, który wymarzył sobie pielgrzymkę do Mekki i jednocześnie zawzięcie walczy o swój stan posiadania, przynosi złożone, naznaczone hipokryzją studium charakterów.

2. Yang

Science fiction/dramat, reż. Kogonada, USA 2021, MOJEeKINO, od 9 VIII

Odwieczne pytanie: czy w człekokształtnej maszynie może zagnieździć się ludzki duch, tu zostaje nieco zmodyfikowane. Zepsuty robot okazuje się magazynem ulotnych wspomnień, nie tylko swoich. A pachnąca chińską herbatą i na poły „analogowa" opowieść nadaje się przede wszystkim do kontemplacji, smakowania nastrojów i detali. Plus niecodzienna rola Colina Farrella.

3. Kiedyś byliśmy dzieciakami

Dokumentalny, reż. Eddie Martin, USA/Australia 2021, vod.mdag

Larry Clark nakręcił „Dzieciaki" w 1995 r.; uznano je za portret pokolenia. Niezależny, udający dokument film miał odsłaniać całą brutalną prawdę o zabawach amerykańskich nastolatków. Po latach dowiadujemy się, jak wyglądała ówczesna rzeczywistość „dzieciaków". Dawni aktorzy mają dziś poczucie, że zostali wykorzystani w imię reżyserskiej wizji.

4. Elvis

Biograficzny, reż. Baz Luhrmann, Australia/USA 2022, VoD

To raczej luźna przebieżka przez życiorys Króla, podczas której na pierwszym planie są dekoracje, przebrania, aktorskie transformacje (Austin Butler, Tom Hanks) i wokalne imitacje. Legenda, której narratorem jest niesławny menedżer Presleya, wzbogacona została przez konteksty rasowe, ale w efekcie dostajemy ekscytujący muzyczno-filmowy fajerwerk.

JAN

Klata: *Jeśli zimową nocą podróżny*

Jeśli zimową nocą podróżny... o nazwisku – dajmy na to – Izdebski bądź Cieszyński lub Szumowski... zapragnąłby odmienić swe życie, zmienić tożsamość na radykalnie odmienną, to musi uważać, dokąd śmiało się udaje. Na przykład Nowa Zelandia – to brzmi dumnie, „Oto wszystko czynię nowe!". Daleko, daleko, wystarczająco daleko, żeby coś gruntownie zadzierzgnąć i nikt się nie będzie czepiać. Krzyż południa nade mną, prawo moralne we mnie. Można odetchnąć od respiratorów i takich tam błahostek z przeszłości, z żywymi naprzód iść.

Na południowej półkuli teraz zima, ale przyjemna, na/w Nowej Zelandii wszystko jest przyjemne jak w Hobbitonie, nie przymierzając. A zatem część naszych narodowych nowych elit z pewnością rozważa ową piękną „destynację turystyczną" jako atrakcyjną, może nawet wymarzoną, jako wypoczynkowy plan B, gdyby jednak w Polsce nie wszystko im wyszło, to znaczy nie tyle nie wyszło, bo przecież im wyszło, ale nie zostaliby za to docenieni w dłuższym terminie. I tutaj ostrzeżenie: minister turystyki Nowej Zelandii ostatnio udzielił wskazówek, pod jaką postacią należy się objawiać. Wytyczne są jasne, nie można sobie po prostu przylecieć byle czym i wędrować z plecakiem, konsumując zupki błyskawiczne i wyszarpywać 10 dolarów na dobę. Minister Nash takie życie potępia w czambuł, proponując jednocześnie konstruktywnie pożądany typ przybysza.

Jeśli zimową nocą podróżny... o nazwisku – choćby i – Izdebski bądź Cieszyński lub Szumowski... rozważałby przybycie do Nowej Zelandii z namiotem i hamakiem, niech się dwa razy namyśli, a później zmieni podejście. Bowiem minister Nash zdecydowanie rekomenduje korzystanie z lotów co najmniej *business class*, sute kolacje w wielogwiazdkowych restauracjach, zwiedzanie atrakcji z helikoptera oraz zatrzymywanie się w luksusowych hotelach. Nowe życie w/na Nowej Zelandii musi kosztować, ale przecież naprawdę warto trochę uciułanych oboli wydać. Jak umierać, to w Tiranie, jak zmartwychwstać, to w Kraju Długiej Białej Chmury. ©

PAWEŁ

Bravo: *Słodki bilans*

Szesnaście złotych kosztuje jagodzianka w prestiżowej krakowskiej śniadaniowni – bo powiedzieć: piekarnia to za mało na miejsce, gdzie zwykły chleb jest małą gwiazdką na niebie doświadczenia – która ostatnio przeniosła się w moje sąsiedztwo. Ta raczej brzydka ulica, znana dotąd w świecie z wybrzuszających się tramwajowych szyn. Czyli jako drugie po CERN w Genewie miejsce, gdzie człowiek umie zakrzywić przestrzeń. Teraz z wymytych witryn pada na nią blask frymuśnych wypieków. Krążę czasem w pobliżu, sycę się ściszonymi rozmowami, pamiętając, że dynamika wygaszania zgiełku jest jednym z lepiej opisanych przez antropologów miasta aspektów procesu gentryfikacji. W dobrych dzielnicach się nie krzyczy, nie trąbi, tramwaje suną bez zgrzytów po łukach, słychać wiatr i ptaki.

Akurat z ptakami to raczej słabo, i to nie dlatego, że niezgentryfikowana jedynka łomocze po torach jak wózek ze złomem, po prostu jerzyki wzięły i odleciały, zostawiając za sobą puste już, zdychające lato. „Gwiazdy i planety, stańcie na chwilę" – prosił bezskutecznie w „Nocy sierpniowej" Iwaszkiewicz, autor najlepiej po polsku pisanych instrukcji obsługi tych momentów w roku, kiedy szczególnie dotyka nas przemijanie. Zresztą, gdybym mieszkał w tak osobliwie pięknym – można się o tym przekonać, to niecała godzina jazdy kolejką z centrum Warszawy – miejscu, też miałbym podobną obsesję.

Gwiazdy nie dają się namówić na naruszenie kosmicznego ładu w imię naszej zachcianki, żeby podwoić porcję momentalnego szczęścia, która wydaje się nałożona zbyt skąpo, tak jak dobre lody na stacyjce w Podkowie, gdy po wizycie na stawiskiej dziedzinie czekamy na kolejkę powrotną do miasta. „Takiej drugiej nocy nie będziesz już miał" – słyszę wtedy głos pana Jarosława, a jednak częściej prześladuje mnie powtarzalność doznań.

Łypiąc przez szybę na jagodziankę i inne słodkie bułki (piękne, brakuje mi tylko jednego elementu: kręcących się dookoła uporczywych os), przypominam sobie, ile to już razy w sierpniu zanudzałem was apelami o asertywny stosunek do cukru i rzeczy słodkich. Bo to zwykle ten miesiąc, kiedy okresowe skoki popytu czynią ten surowiec problemem, źródłem rozmów w kolejce o tym, że tak drogo to jeszcze nigdy nie było. Inflacja i okołowojenne stadne odruchy konsumentów wyostrzają zachwiania rynku i ostatnio po prostu znika z półek. Ale sam sierpniowy problem z kryształem jest w swej istocie stary jak odruch, żeby nakupić owoców i zapakować je w słoiki.

Odruch zrozumiały, przynajmniej kiedyś, ze względów oszczędnościowych, choć dziś przy gigantycznej skali przemysłowego przetwórstwa raczej nie pobijemy kosztowo dżemu z wielkiego koncernu. Ale tu wchodzi druga, na pewno ważniejsza od ekonomicznej racja – zdrowotna. Czytamy etykiety i wyciągamy wnioski. Ogarnia nas chęć kontroli nad tym, co jemy, dopilnowania, żeby do słoika nie trafiały dodatkowe świństwa. Choć tak po prawdzie to i cukier wystarcza za „świństwo" – nie z powodu swej chemicznej natury, co ilości, która już od dawna czyni go *de facto* trucizną.

Nasza dieta – nawet kogoś, kto nie je typowych „słodyczy" – jest tak naszprycowana syropem glukozowo-fruktozowym, że mechanizmy przyswajania cukrów mamy na ogół zaburzone, i to w sposób perfidny, bo np. fruktoza nie powoduje reakcji enzymatycznych, które mózgowi dają sygnał, żeby zatrzymać poczucie głodu. Syrop produkuje się z kukurydzy, więc zapewne i on wkrótce zdrożeje, może zaczną go mniej dodawać, ale na razie jest naprawdę wszędzie, trudno go tak po prostu wyciąć, żeby powrócić do słodkiego bilansu ludzi z pokolenia naszych dziadków. Z drugiej zaś strony nawet w najzdrowszych powidłach cukier musi być jako najskuteczniejszy „naturalny" konserwant, podobnie jak w wypiekach, które nie tylko smak, ale i chrupkość oraz barwę zawdzięczają różnym aspektom karmelizacji. Z tego błędnego koła nie ma ucieczki innej niż przez daleko posuniętą powściągliwość. Te parę słoików dżemu zrobię w tym roku dla samej przyjemności robienia, bo lubię się upaćkać przy tej pracy i kojarzy mi się z troską o siebie. Ale w imię tej samej troski oddam wszystkie słoiki, tylko jeden zachowam na pamiątkę tego lata.

I zjem, póki ono jeszcze trwa, jagodziankę. Jedną jedyną, nie dlatego, że kosmiczna cena, tylko że słodkie szkodzi. Niechże raz beztrosko zanurzę zęby w nadzieniu, ani się obejrzymy, kiedy głos Iwaszkiewicza z radiowych nagrań (ostatnio przypomniał je Radosław Romaniuk w świetnym podkaście „Pełnia literatury") napomni nas inwokacją jesiennego tym razem wiersza o żalu: „Plejady to gwiazdozbiór już październikowy". ©℗

Gdy mnie kto w trakcie salonowej konwersacji spyta: „jaką książkę zabrałbyś na bezludną wyspę", uchylam się od odpowiedzi, ale wiem, jakie byłoby „szkodliwe" ciasto, gdybym miał już zjeść tylko raz – to szczególny rodzaj sernika na zimno. Rozpuszczamy 6 g żelatyny w trzech łyżkach chłodnej, ledwo letniej wody. W garnuszku o grubym dnie podgrzewamy, stale mieszając, prawie do wrzenia ok. 180-190 g śmietanki 30%. Dodajemy tabliczkę drobno posiekanej białej czekolady, trzy łyżki cukru i żelatynę, ostrożnie mieszamy, dalej podgrzewając na bardzo małym ogniu kilka minut. Krótko studzimy i ostrożnie łączymy z 250 g (niecały kubek) tzw. greckiego jogurtu (najbardziej lubię ten firmy Maluta). Wylewamy masę na spód do tarty z kruchego ciasta. Odstawiamy pod przykryciem do lodówki na co najmniej dwie godziny. W połowie chłodzenia delikatnie „osadzamy" w masie maliny, jagody albo połówki truskawek.

AFRICA-STUDIO.COM / ADOBE STOCK

CAŁY TEN SEKS

MARTA NIEDŹWIECKA:

Ciało jest drogą do samopoznania i poznania w ogóle. Można dzięki niemu dotknąć świata za zasłoną. Świętej przestrzeni.

MICHAŁ OKOŃSKI: Zastanawiam się, czy możemy porozmawiać o seksie bez używania tych wszystkich słów, które zwykle się z nim kojarzą.

MARTA NIEDŹWIECKA: Możemy. Tylko ja się z kolei zastanawiam, czy nie wytworzymy kolejnej, niepotrzebnej sfery tabu i nie każemy czytelnikom zbyt wielu rzeczy się domyślać.

Pięć najważniejszych słów Pani książki „Slow sex" – czas, ciało, świadomość, uważność i rytuały – nie pochodzi raczej z tej dziedziny.

Dodałabym jeszcze duchowość i *sacrum*. Nie wszyscy muszą ów obszar odwiedzać, ale on istnieje.

Seks daje możliwość skontaktowania się z jakąś wyższą formą rzeczywistości?

Wolałabym raczej mówić: seksualność, bo to pojęcie niekojarzące się już tak jednoznacznie z fizjologią i anatomią. Dla mnie seksualność to nie jest coś, co ludzie robią w piątek wieczorem po butelce wina – to coś zarazem tak prozaicznego jak wyrzucanie śmieci i coś tak wzniosłego jak modlitwa. Nie chodzi tu tylko o poznawanie własnej anatomii, żeby osiągnąć maksimum rozkoszy, czy o lekturę poradnika „Jak zostać lepszą kochanką w weekend". Oczywiście to też jest jakaś część tego uniwersum, ale zajmuje mnie dużo mniej, bo mam przekonanie, że nie liczy się „co", ale „jak". Stąd tych pięć słów, które pan wymienił: rzeczywiście mam nadzieję, że odsyłają czytelnika do miejsc, z którymi seksualność nie jest zwykle kojarzona.

A z czym jest zwykle kojarzona, Pani zdaniem?

Z jednej strony z grzechem, a z drugiej z działaniem sportowo-wydajnościowym. Bywa też kojarzona z towarem. I z narzędziem władzy: ludzi nad sobą, ale też państwa nad jednostką czy systemu pojęciowego nad umysłem. Ludzka seksualność – by użyć języka powieści szpiegowskiej – jest więc terenem działania wielu agentur, czasem mających interesy niezgodne z rozwojem, satysfakcją i szczęściem jednostki. A ja lubię myśleć o niej jako o sferze, w której odzyskujemy wolność samostanowienia. Niekoniecznie przez transgresję, po prostu przez przeżywanie tego obszaru na swoich zasadach.

Przez spotkanie z sobą samym i z partnerem?

Tak. I przez poszukiwanie wspólnej płaszczyzny, bo przecież każda osoba może przeżywać swoją seksualność inaczej. Jedni szukają miłości w rozumieniu romantycznym, inni rozkoszy albo doświadczeń związanych z chodzeniem po granicy – możliwości jest tyle, ilu ludzi, a niektóre mogą występować równocześnie.

Tylko że na tym się jeszcze nie kończy, bo ciało jest drogą do samopoznania i poznania w ogóle. W seksie można dotknąć tego świata za zasłoną. Świętej przestrzeni. Czegoś, co odkrywa się zwykle, kiedy się modli albo medytuje.

To wykracza poza tę dychotomię: albo bezpieczeństwo i czułość, albo jazda po bandzie i przekroczenie.

Seksualność w ogóle rozparta jest między dychotomiami. Ciało i umysł. Męskie i żeńskie. Mroczne, niepokojące i jasne, bezpieczne, w naszej kulturze związane (jakże często: pozornie...) z ukonstytuowanym prawnie małżeństwem monogamicznym. W końcu: ja i inny, bo seks to miejsce najgłębszego kontaktu z intymnością drugiego człowieka. Tylko rodząca kobieta doświadcza porównywalnego kontaktu z życiem innej osoby.

Jak Pani wspomniała o wynoszeniu śmieci, usłyszałem w tym metaforę – pomyślałem, że trudno o intymny kontakt bez uprzedniego wyczyszczenia przestrzeni między partnerami, ale też uznałem, że mówimy przecież o normalnej, codziennej czynności.

Pewnie to nieuniknione, że po rewolucji obyczajowej lat 60. nastąpiło zachłyśnięcie się poczuciem, że wszystko

można. A dziś seksualność została strywializowana i zmerkantylizowana, w wielu miejscach zredukowana do mechaniki stosunku i metody sprzedaży. Albo zamykana w pojemniku jako rzecz zbyt niebezpieczna, żeby się nią zajmować. Wydaje mi się, że czas na zmiany.

W jakim kierunku?

W kierunku odzyskania statusu wyjątkowego stanu naszej psychiki, szczególnie wartościowego i szczególnie podatnego na zranienie, ale też ludzkiego, realnego. Na razie mamy tak rozbuchane wyobrażenia, że na wyrzucanie śmieci nie ma już miejsca.

Pan wspomniał o metaforycznym podejściu do tej czynności: jakże ważne jest czyszczenie przestrzeni, rozmowa między partnerami, ustalenie i nazwanie ich potrzeb i oczekiwań...

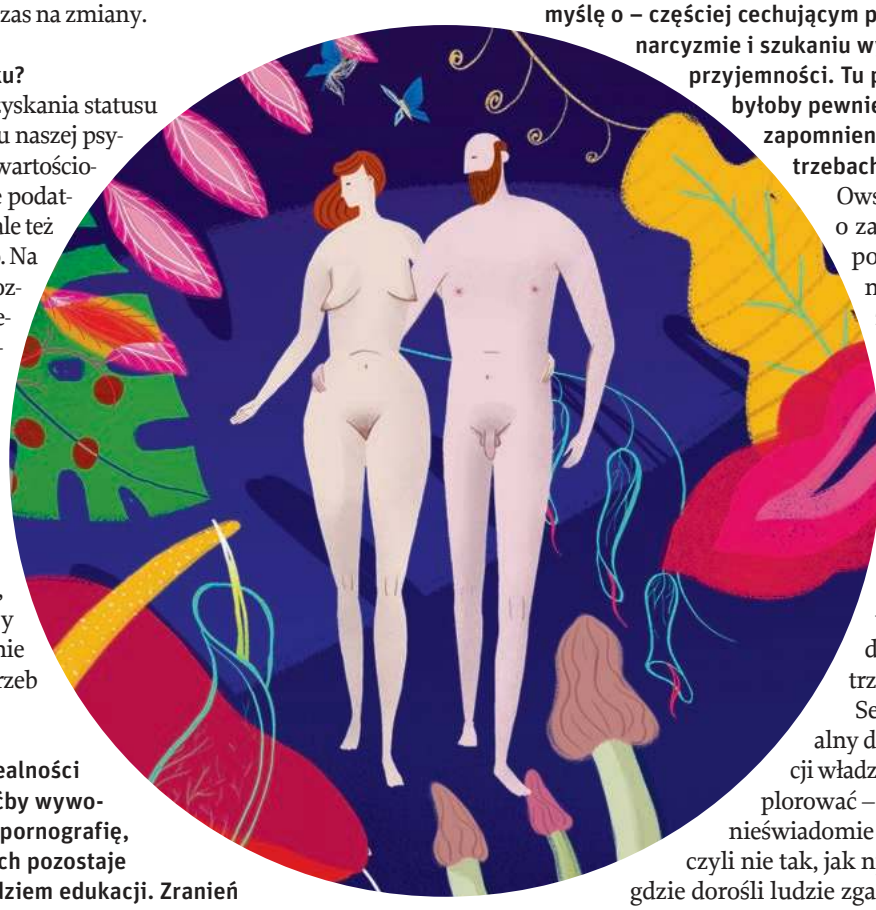

Myślę o tej nierealności oczekiwań, choćby wywoływanych przez pornografię, która dla młodych pozostaje głównym narzędziem edukacji. Zranień i frustracji związanych z próbami przeniesienia ich do życia jest pewnie tyle, że mówienie przez Panią o duchowości w seksie może być odebrane jako blokujące.

Dlatego najpierw naprawdę trzeba się nauczyć wyrzucania śmieci. Trzeba też nabrać świadomości, że partycypujemy w jakimś wspólnym „my", a nie wszystko jest „winą" albo „zasługą" jednego z kochanków. Śmieci same nie wyrosły, to myśmy je wspólnie wyprodukowali.

Oczywiście rozumiem, że modele życia są różne. Nie wszyscy razem mieszkają, nie wszyscy żyją w monogamicznych i heteroseksualnych związkach. Ale wszyscy – może oprócz szukających przygód na jedną noc – powinni dostrzec, że w akcie seksualnym stwarzają jakiś rodzaj relacji. Nawet ci, którzy spotykają się od paru miesięcy, ani im w głowie myśl o zakładaniu rodziny i generalnie mnóstwo ich różni, tworzą przestrzeń spotkania, za którą trzeba wziąć odpowiedzialność. W ogóle uważam, że w rozmowach o seksualności słowo „odpowiedzialność" jest niedoceniane. Kojarzy się z dyscyplinowaniem i odbieraniem radości, a chodzi w nim bardziej o widzenie skutków, pytanie o przyczyny, autorefleksję. Daleko tu od dziecięcej postawy, w której widzi się loda i chce się go natychmiast zjeść.

A pożądanie nie na tym polega?

A dobry seks nie bierze się także z umiejętnego kierowania pożądaniem?

Kiedy Pani mówi o odpowiedzialności za „my", to myślę o – częściej cechującym pewnie mężczyzn – narcyzmie i szukaniu wyłącznie własnej przyjemności. Tu przeciwieństwem byłoby pewnie kompletne zapomnienie o własnych potrzebach.

Owszem, myślenie tylko o zaspokojeniu swoich potrzeb seksualnych może mieć związek z narcyzmem, ale istnieje też coś takiego jak negatywny narcyzm – sytuacja, w której przeżywam siebie jako osobę niegodną miłości czy zainteresowania i dlatego oddam wszystko, w tym siebie, żeby dostać to, czego potrzebuję.

Seks jest w ogóle idealny do rozgrywania pozycji władzy. Można w nim eksplorować – częściej to się dzieje nieświadomie i niekonsensualnie, czyli nie tak, jak np. w świecie BDSM, gdzie dorośli ludzie zgadzają się na pewien rodzaj gry – wszystkie stosunki władzy i podległości. „Płacę rachunki, więc wymagam seksu", „mogę, więc reglamentuję dostęp do seksu" – chyba tylko w polityce jest równie dużo miejsca na nadużycie drugiej osoby i siebie.

I tak rozmowa o seksualności staje się rozmową o codzienności.

Czasami przychodzą do mnie klienci i zaczynają narzekać na pustynię seksualną. Pytam ich wtedy, jak jedzą. Dziwią się. Mówią: „Wrzucam coś rano na szybko, piję kawę i idę do biura". „A kiedy jadłeś/jadłaś coś takiego, co cię naprawdę ucieszyło? Naprawdę smakowało? Sprawiło zmysłową przyjemność?". Nie można mieć dobrego seksu z niedorozwiniętym aparatem zmysłowym.

Rozmawiamy zdalnie, bo jestem teraz w Azji. U mnie jest późny wieczór, zrobiłam długi spacer przez pola ryżowe, potem wracałam szybkim krokiem, żeby się nie spóźnić. I nagle naszła mnie wątpliwość: „Kurczę, co ja mu powiem? Nie myślałam od czterech dni!". W końcu ten Zachód we mnie zwyciężył i próbuję z panem rozmawiać, ale nie jest łatwo. Codziennie wstaję i patrzę na słońce, wokół dżungla, pachnie, śmierdzi, martwe zwierzęta się rozkładają, na wulkanicznej ziemi wszystko obłędnie wzrasta. Widzi pan, kiedy o tym mówię, to czuję, jak bardzo w normalnych warunkach jestem od tego zmysłowego odczuwania odcięta ↦

↦ – chociażby dlatego, że żyjąc w mieście nie mam kontaktu z naturą.

Wyobraziłem sobie, jak Pani idzie w tym pejzażu, jak przez szybki krok zmienia się Pani oddech... Słowem: naprawdę zaczynamy rozmawiać o seksualności.

Zaczynamy rozmawiać o zmysłowym pobudzeniu, które można erotycznie wykorzystać. O odczuwaniu świata przez ciało, o odczytywaniu jego bodźców. Serdecznie rekomenduję.

Ja przyjechałem do redakcji hulajnogą wzdłuż Wisły. Zlał mnie deszcz, spodnie lepiły mi się do nóg, musiałem zdjąć przemoczone buty. Jestem boso.

I to jest to samo: zmysłowy obraz, który może stać się erotyczny.

To ciekawe, że nam zmysły pobudza głównie obraz. Patrzymy na filmy i zdjęcia, na bieliznę i nagość, oddziałuje na nas czyjś ruch. Słabiej postrzegamy innymi zmysłami. Słabiej też ich uwagę kierujemy do wewnątrz.

Fiński teoretyk zmysłów Juhani Pallasmaa mawiał, że wzrok jest zmysłem oddzielenia. Nasza kultura jest okulocentryczna i w seksualności również przyzwyczailiśmy się pobudzać przez oczy. A to ślepy zaułek, czego najlepszym przykładem jest porno. Patrząc na nie, doświadczamy dużego wyrzutu dopaminy, a relatywnie mało innych neuroprzekaźników. Z czasem mamy coraz większą potrzebę silnego bodźca – neurobiologiczny mechanizm jest podobny do mechanizmu uzależnienia. Będziemy chcieli tego coraz więcej i coraz intensywniej podanego, żeby nastąpiło pobudzenie.

To jakie są zmysły przybliżenia?

Słuch, a przede wszystkim dotyk. W codziennym życiu niemal nieobecny, szczególnie, mam wrażenie, w męskim życiu. To się zaczyna wcześnie: podczas gdy dziewczynki są dotykane w zasadzie przez całą adolescencję, chłopców zostawia się w dotykowej próżni. Co jest niszczące, bo przecież dwunastolatek nadal tego dotyku potrzebuje, tak samo jak dorosły mężczyzna.

Obawiamy się, że otwartość na dotyk osłabi nas, wyeksponuje albo obnaży nasze emocje?

A efekt jest taki, że w seksie wielu z nas woli skupić się na kontakcie genitalnym, bo czuje przy tym relatywnie mało emocji i relatywnie dużo kontroli. Podczas gdy o dotyk prosi całe ciało.

Zamknięcie oczu w czasie kontaktu seksualnego może oddalać partnerów od siebie – wywoływać poczucie, że ten drugi jest nieobecny. Z drugiej strony może być w tym zaufanie i pozwolenie sobie na to, by poczuć więcej. Proponuje Pani w książce ćwiczenie związane z pójściem z kimś przez miasto albo na łąkę z zawiązanymi oczami i doświadczanie świata innymi zmysłami.

Najlepszy jest taki moment, w którym naprawdę mamy zamknięte oczy, a przecież się widzimy. Tylko że on wymaga świadomości obojga partnerów.

Znowu dychotomia.

Z seksem tak już jest, że do każdego „fajnie" można by dopisać jakieś potencjalne niebezpieczeństwo.

Jak z życiem.

Pełna zgoda: seks, jak życie, jest czymś potencjalnie niebezpiecznym.

Kłopot w tym, że seks, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, może służyć rozładowywaniu nagromadzonego napięcia, które gdzie indziej nie znajduje ujścia.

Wiele osób tłumi emocje, a potem reguluje ciśnienie za pośrednictwem kompulsywnej aktywności seksualnej. Często też, zanim się nauczymy, o co chodzi w całym tym seksie, już mamy gotowy nawyk lub nawet kompulsję, bo zaczynamy życie seksualne masturbując się do pornografii.

Może tak jest bezpieczniej?

Tylko w takim sensie, że nikt nie jest nam do tego potrzebny. Żeby jednak pójść dalej, trzeba zwrócić uwagę na drugiego człowieka, nawiązać relację, a tu już rzeczy nie działają jak w porno.

Bo przecież my możemy o tym mówić trochę jak o jedzeniu: pytanie, czy jesteśmy w fast foodzie, dzięki któremu nasycimy głód kosztem niestrawności i szybkiego powrotu uczucia głodu, czy zjemy coś, co nas naprawdę nakarmi. W duchu slow food.

W latach 80., kiedy kształtowała się *hustle culture*, czyli kultura zasuwania w pogoni za pieniądzem, narodził się też ruch *slow*. Powoli zaczęliśmy widzieć zagrożenia wynikające z kultu pracy ponad siły i sukcesu, który eliminuje z naszego życia proste przyjemności. Minęło 40 lat i choć pojawiło się w tym czasie wiele pomysłów na spowolnienie, generalnie nie jest dużo lepiej. Chyba dopiero w pandemii zobaczyliśmy, że zatrzymanie się jest możliwe. Oczywiście było to podszyte lękiem, chorobą i śmiercią, ale być może pokazujące również, że da się wygospodarować czas na zatroszczenie się o jakość swojego życia, na kontakt z dziećmi czy na lekturę, ale bez presji i kolejnego wyścigu typu: „przeczytam 52 książki w roku".

O takie nastawienie na challenge i efektywność w seksie też łatwo.

Nawet bardzo. Ile razy, jak długo, osiągi i atrakcyjność seksualna jako mierniki wartości – to często jedyne zrozumiałe dla ludzi pojęcia. Tylko że one nas sprowadzają do roli obiektów. Możemy budować sobie tożsamość jako „ogier" albo „kurtyzana" i latami nie mieć pojęcia, o co nam tak naprawdę chodzi. Dlaczego chcę być seksowna i chcę, żeby mnie wszyscy pożądali? Dlaczego pragnę sukcesu opartego na wskaźniku zewnętrznej popularności? Skąd mam pomysł, że jeśli osiągnę ten stan, to zapewni mi spokój wewnętrzny, równowagę, poczucie spełnienia? Czy pobieżna obserwacja stężenia nałogów, przedwczesnych śmierci, rozpadów związków u różnych ikon masowej wyobraźni nie powinna skłaniać do ostrożności? Czy patrząc na rozprawę Amber kontra Depp, nie widzimy ludzi tyleż popularnych i pożądanych, co wewnętrznie wydrążonych i głęboko nieszczęśliwych?

KAMIL PIKLIKIEWICZ / EAST NEWS

MARTA NIEDŹWIECKA jest psycholożką i sex coach. Nakładem wydawnictwa Agora ukazała się jej książka „Slow sex. Uwolnić miłość" – rozmowa rzeka z Hanną Rydlewską. Autorka poświęconego psychologii i seksualności podkastu „O zmierzchu".

Proponuje Pani w książce ćwiczenia rozłożone na wiele dni. Albo spotkania z partnerem rozpisane na wiele godzin. W pośpiechu dnia codziennego, kiedy walczy się o przetrwanie w czasach drożyzny, to mało realne.

Świadoma seksualność jest antysystemowa. Kontestuje warunki świata, w którym żyjemy. Coś tu nie działa, skoro mając dzieci, nie możemy z nimi spędzać czasu, bo musimy zarobić na ratę kredytu. Już nie mówię o aspekcie klasowym sytuacji, w której przywilej dbania o jakość życia mają tylko najlepiej zarabiający.

Czyli nie mówimy już tylko: „to wina mojego partnera" albo „to moja wina", ale także „świat nam nie sprzyja"?

Poczucie dyskomfortu związanego z faktem, że nie ma się czasu dla siebie czy dzieci, albo że się nie ma czasu na seks, może być narzędziem zmiany. Generacja „Z" pokazuje nam to coraz wyraźniej. Oni mówią: „Ej, my nie zamierzamy pracować tyle, co wy. I nie na takich warunkach". Nie zgadzają się na reguły, które my uznajemy za oczywiste.

Seksualność jest nam dana na poziomie biologicznym. W zasadzie każdy jest w stanie odbyć jakąś formę aktu seksualnego. Ale zrobić z tego coś, co nas zasila, niesie rozkosz, buduje więzi – to się samo nie zrobi. No i teraz pytanie o nasze priorytety. Jeśli wolimy obejrzeć siedemnasty serial albo marnotrawić godziny na portalu społecznościowym, to zabraknie nam czasu na inne rzeczy. Świat jest, owszem, źle urządzony, ale nie musimy się temu poddawać. Naprawdę są lepsze rzeczy do robienia w łóżku niż przeglądanie Instagrama.

Gdy Pani mówi o tym poziomie biologicznym, nie mamy do czynienia z mistyką i uniesieniami. Raczej ze świadomością, jak się oddycha i jak funkcjonują mięśnie dna miednicy. I jak się umiemy otwierać, na siebie i na innego.

Trzeba coś wiedzieć o swoim ciele, o systemie emocjonalnym. O swoich potrzebach – czy bardziej zależy mi na ryzyku i zmianach, czy na stałości i bezpieczeństwie? Musimy rozumieć temat granic, własnych i innych ludzi. To wszystko wcale nie musi być o seksie i raczej sprzyja funkcjonowaniu w świecie.

Jest jeszcze inna postawa niż „nie mam czasu na seks". Streszczają ją słowa „nie chcę seksu". Wiemy, że to coraz częstsze zjawisko.

Dla różnych generacji wycofanie się z aktywności seksualnej będzie miało różny kontekst. Przez ostatnie kilkadziesiąt lat mieliśmy tak niestrawnie zseksualizowaną kulturę, że może przytomniejsze od nas młode pokolenia mówią, że wcisną pauzę.

To byłoby wspaniałe. Ale może też w tym być lęk przed wejściem w relację i możliwością zranienia. W cieniu tych słów kluczy Pani książki są przecież inne: ból, strach, trauma, nadużycie.

Wspominaliśmy już, że seksualność ma potencjalnie groźną stronę. A zjawisko aseksualności jest przedmiotem debaty naukowej – czy szukać traum, które mogą być jego przyczyną, czy uznać, że to jedna z możliwych ekspresji naszej orientacji i dać ludziom spokój.

Bo wydawałoby się, że energia seksualna jest najpotężniejszą, jaką znamy. Że wyraża się w potrzebie kreacji, w działaniu, nawet w tym, że z Panią rozmawiam i powstanie z tego wywiad.

Powtórzę: mam nadzieję na wyrwanie seksualności z kręgów piekła i przywrócenie do obszaru *sacrum*. Nawet jeśli nie duchowego, to przynajmniej osobistego, wyjątkowego doświadczenia. A jeśli pan mówi, że to jest potęga, cóż... zachowajmy trochę szacunku do tego, co potężne.

Dobrze wyczuwam tu obietnicę czegoś większego niż fantastyczny orgasm?

Obietnice są dwie. Jedna to obietnica uśmierzenia bólu, którego wokół naszej seksualności odczuwamy bardzo dużo. Uśmierzenia nie za pomocą tabletki, tylko usunięcia realnych źródeł tego bólu. I obietnica znalezienia skarbu, który domagałby się właściwie języka poetyckiego. Skarbu, który wiąże się z poznaniem siebie, ze zrozumieniem, pogodzeniem się i przetransformowaniem także tego, co przydarzyło się nam w przeszłości. Po latach pracy z seksualnością wielu sytuacji potencjalnie raniących albo pogłębiających dawne zranienia można uniknąć. A zaczynając żyć w zgodzie z własnym ciałem i z jego seksualnością, wchodzę do świata ludzi dysponujących dużą mocą psychiczną. Moc to nie jest przemoc, podkreślam: to integrowanie siły i słabości.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Pełna wersja powyższej rozmowy znajduje się w najnowszym wydaniu specjalnym „Tygodnika Powszechnego", zatytułowanym „Ciało się udało", które właśnie trafiło do sprzedaży.

STANISŁAW

Mancewicz: *Czerwona łapa*

Ktoś – patrząc na tytuł – mógłby pomyśleć, że oto chcemy dziś, posługując się stosowną terminologią, poruszyć jakieś sprawy lustracyjne bądź napisać kilka zdań o czasach historycznych. Nie mamy takich planów, choć oczywiście tak byłoby najprościej.

Polska jest krajem-rajem, w którym pisanie o historii sprawia problemy garstce ludzi. Reszta traktuje ją jak rozrywkę, a może dziedzinę sportu. No więc w żadnym sensie nie mamy zamiaru zajmować się dziś historią, ale narzucający się kontekst językowo-historyczny sformułowania „czerwona łapa" jest na tyle oczywisty, że musieliśmy to na początku wyjaśnić.

Czymże jest zatem nasza „czerwona łapa", jeśli nie symbolem przeszłości, złego pochodzenia i ucisku? Oto – mówiąc wprost – „czerwona łapa" jest dziś znakiem zmian klimatycznych, a ściślej rzecz ujmując: upału. Ktoś teraz zada, skądinąd słuszne pytanie, o co tyle hałasu, po co te wywody, dlaczego „czerwona łapa" miałaby być jakimś tematem na felieton w piśmie katolicko-społeczno-kulturalnym. Czy chodzi o oryginalny wypełniacz pustki wynikłej z bezsensownego przerwania przez Gospodarza tournée po kraju, czy o jałowe bytowanie pomiędzy przemówieniami Mateusza Morawieckiego na temat polityki, społeczeństwa, energii, pieniędzy, seniorów, juniorów, kogokolwiek i czegokolwiek, co zawsze jest śmieszne, nawet gdy jest nieśmieszne?

Otóż „czerwona łapa" rzuciła nam się w oczy dawno jako bodziec stosowany przez osoby teoretycznie piśmienne. Zdanie: „Czerwona łapa zaciska się nad Polską", dotyczące wysokich temperatur w nadchodzących dniach, musi być – takie mamy wrażenie – nagradzane w wewnątrzredakcyjnych konkursach i rankingach na „najzdolniejszego reportera naszej gazety", a więc musi być takoż opłacalne. Oczywiście „czerwonej łapy" nie można używać codziennie ani w co drugim zdaniu, o czym wie każdy, nawet początkujący pracownik mediów. Zbyt częste używanie „czerwonej łapy" – bo jest przecież bezustannie gorąco – może przynieść piszącemu kłopoty: wezwanie do sekretarza redakcji na osobistą rozmowę, obniżkę stawki za słowo albo krytykę w mediach społecznościowych. Trzeba zatem pomyśleć i uruchomić wyobraźnię, jak wybrnąć z powtarzalności.

Komu nie starcza fantazji ani refleksu, kto mimo ociężałości umysłowej chce być uznanym dziennikarzem trzymającym rękę na pulsie, powinien, tak jak my, prowadzić „Notes komentatora, felietonisty i reportera". Gdy tylko robi się zbyt ciepło, wymyślamy (rzadko) bądź spisujemy cudze pomysły (często). Oto próbka z zaledwie kilku tygodni: „Czerwona kopuła zamyka się nad Europą", „Czerwony alarm od Atlantyku po Ural", „Australia się smaży". Popatrzmy teraz, że jeśli idzie o kraje i kontynenty – inwencja nie powala rozmachem. Prócz zamykającej się „czerwonej kopuły" nic nas w zasadzie nie kręci. Gdy jednak upały spadają na nasz kraj, żarty się kończą. „Nadciąga apokalipsa" jest, zważmy, tytułem niby banalnym, ale jednak ludziom biorącym serio klasykę literatury religijnej i kinomanom dostarcza emocji z górnej półki.

Przeglądając notesy z ostatnich lat, zauważamy w polskich mediach dużą skłonność do symboliki pochodzenia właśnie religijnego przy opisywaniu anomalii meteorologicznych. Lubimy stosunkowo częsty motyw piekła: „Lucyfer znów atakuje", „Szpony szatana znów maźną Polskę". W tym tytule – popatrzmy – jest i nastrój, i siła. Każdy przyzna, że od samego czytania pojawiają się człowiekowi na piersiach nie tyle sine ryby, ile szatańskie bordowe pręgi, a emocje sięgają szczytu. „Rozżarzone kleszcze zaciskają się nad Polską" czy „Czerwona Kula Ognia nad Mazowszem" (koniecznie dużymi literami) to też frazy spisane przez człowieka z silną motywacją intelektualną i finansową. Ktoś nas teraz szturchnie i poprosi, byśmy jednak kończyli: że są ważniejsze sprawy, że wychodzimy z Unii Europejskiej albo że zaraz zrobi się zimno. Owszem, to prawda, ale właśnie dlatego postanowiliśmy napisać coś luźniejszego, póki się da i póki Prezes nie wróci na polskie drogi. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

SALTWAVE
SALI WAVE
festival

THE AVALANCHES DJ SET · RY X
BALTHAZAR · SAINT MOTEL · YOUNG LEOSIA
ŁONA I WEBBER +THE PIMPS · BITAMINA
MERY SPOLSKY · KID FRANCESCOLI · PIOTR ZIOŁA · FRANC MOODY
MIĘTHA · LIME CORDIALE · ZALIA · ANIA LEON

19-20 08 2022
JASTARNIA, PÓŁWYSEP HELSKI
BILETY DOSTĘPNE NA WWW.SALTWAVE.PL

ORGANIZATOR: GOOD TASTE
SPONSORZY: Red Bull, SAMSUNG Galaxy
PRZYJACIELE FESTIWALU: SURF
PATRONI MEDIALNI: skillizet, NOIZZ, VOGUE, wyborcza.pl, ams, zwierciadło

REKLAMA

Jazz Around Festival

16-17.09.2022
Moszna Zamek

POLUZJANCI
JULES BUCKLEY CONDUCTS QUINCY JONES + AUKSO
JORDAN RAKEI · THEO KATZMAN · SCARY POCKETS
DJ AMIR PRESENTS JAZZANOVA (LIVE)
DIRTY LOOPS · MAREK NAPIÓRKOWSKI „HIPOKAMP"
ADAM BAŁDYCH & ŁUKASZ OJDANA · CODY FRY · KINGA GŁYK
DAVID RYAN HARRIS · EABS · KUBA WIĘCEK TRIO · ANOMALIE
BARTEK KRÓLIK · SECRET NIGHT GANG · MARTA WAJDZIK QUARTET
CHERISE · BIBOBIT · ACID GROOVE · ZK COLLABORATION

BILETY DOSTĘPNE NA WWW.JAZZAROUND.PL

ORGANIZATOR: GOOD TASTE
PARTNERZY: MOSZNA ZAMEK, OPOLSKIE
PATRONI MEDIALNI: wyborcza.pl, ams, RADIO 357, jazz forum, Jazzcross

LETNIE BRZMIENIA FINAŁ NA MALCIE POZNAŃ

10–11.09.2022

ZALEWSKI

DARIA ZAWIAŁOW

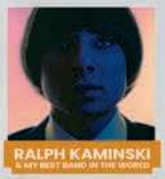
RALPH KAMINSKI & MY BEST BAND IN THE WORLD

BRODKA

VITO BAMBINO

JULIA WIENIAWA

OFELIA

AREK KŁUSOWSKI

BRYSKA

ORGANIZATOR: GOOD TASTE
PARTNER STRATEGICZNY: eventim
PATRONI MEDIALNI: onet, zwierciadło, kultura poznań.pl, codziennypoznan.pl, wyborcza, ZET

WWW.LETNIEBRZMIENIA.PL